

Franciszek od lewa
do prawa → 12

Kradzież jako bunt
społeczny → 22

Ile kosztuje
Dwurnik? → 54

PRZE KROJ

nr 11 (3530), 18 marca 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Polskie suchary

Abelard Giza, Michał Figurski, Marek Raczkowski
i Maciej Buchwald o granicy dobrego smaku w satyrze → 6

EKS
424

ISSN 0033-2488

1 1

„Przekroj” ukazuje się od 1945 roku

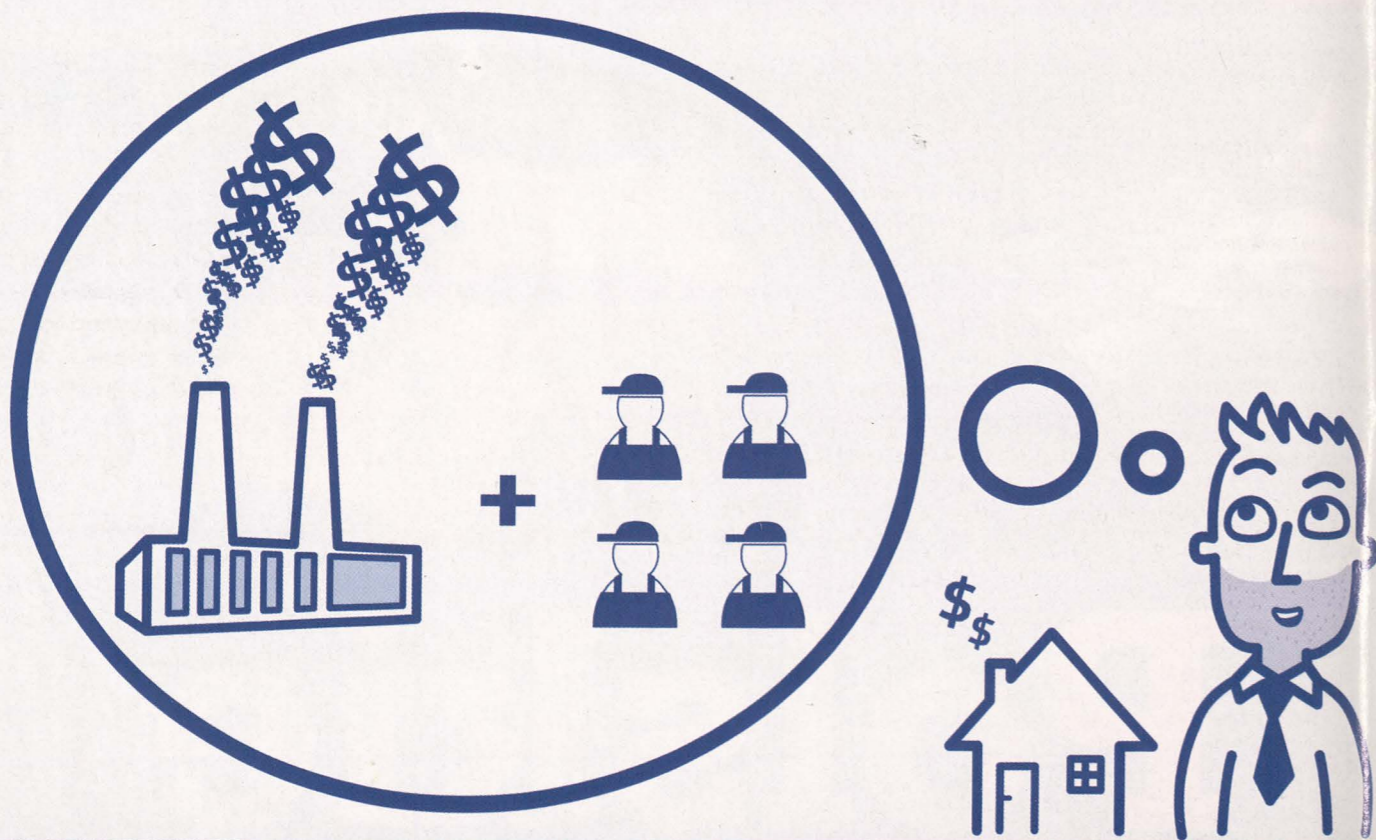
Mały biznes w małych miejscowościach

Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkaś w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?

Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj 50 000 zł



www.rp.pl/malybiznes


Bank Pocztowy

 **RZECZPOSPOLITA**

ATKearney

 **IBS**
Instytut Badań Strukturalnych



 **NZA**

Studenckie Forum
Business Centre **Club**

 **PARKIET**

**PRZE
KROJ**

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o tym, że w maju wystartuje kampania reklamowa Małopolski, której gwiazdą będzie Parviz Ghodsi. Przystojniak, na co dzień mieszkający w Londynie, ma przekonać zagranicznych inwestorów z branży IT, że warto rozwijać biznes w tym regionie naszego kraju. Szkoda tylko, że Parviz to sobowtór George'a Clooneya. „Prawie George” w „prawie Dolinie Krzemowej”? Nie możemy się doczekać.

...o wielkim powrocie programu „997”, który dorobił się już etykiety „produkt kultowy”. Magazyn kryminalny Michała Fajbusiewicza zostanie reaktywowany w kanale Polsat Play. Kto wie, może „prawie George” wpadnie gościnnie do „prawie Miami Vice”.

...o tym, że reporterka Polsatu Agnieszka Milczarz przewidziała wybór kardynała Bergoglio na papieża. Nie zniechęcimy się, jeśli dziennikarka zostanie teraz felietonistką „Wróźki”.

...o rewii, która została bohaterką konklawe, też nie piszemy. Mewa odrzuła z okolic słynnego komina, nim zaczął z niego ulatywać biały dym. A potem fruwać zaczęli niektórzy korespondenci.

...o wadze koncernu McDonald's. Reklama sieciówki wyemitowana w Austrii uraziła narodowe sentymenty Austriaków. Poszło o... kanapkę z kielbasą (tzw. Wurstsemmel), którą zdeklasować miałyby hamburger za jedno euro. Strzał w kielbasę okazał się strzałem we własną stopę.

...o tym, że warszawskie nadwiślańskie plaże zostały przez magazyn „National Geographic” obwołane jednymi z najpiękniejszych miejskich plaż na świecie. Cieszymy się, że stołeczne piaski zyskały uznanie obok tych w Paryżu czy Kapsztadzie. Wciąż płacemy jednak nad zaniedbaniami i tandetą, które widać na brzegach Wisły. Mamy nadzieję, że komplementy zmobilizują urzędników i urbanistów.



FRANIEK MAZUR (Z)

ZUZANNA ZIOMECKA

Drobna kradzież jest tajemnicą młodości wielu z nas. Często nawet bardzo wczesnej młodości. Znam małego chłopca, który włożył sobie pod zimową czapkę całą plastikową kolejkę, którą rodzice odkryli, kiedy rozbierali go po powrocie ze sklepu. Dzieci uczą się uczciwości metodą prób i błędów. Czymś innym są kradzieże w wykonaniu społecznie dojrzałych młodych ludzi. Przypomina mi się przypadek bardzo rozsądnej, uczciwej kujonki (ahem) przyłapanej podczas studiów na gorącym uczynku w drogerii, która musiała odpracować występki wieloma godzinami czynów społecznych. Jej rodzice żyli w błogiej nieświadomości, tak jak rodzice współczesnych młodych złodziejasków, o których piszemy w tym tygodniu (str. 22). Nowy typ złodziejstwa to pokazanie swoistego faka „systemowi” i światu dorosłych, testowanie granic własnej odwagi i prawa. Ale czy może znaczyć coś więcej? Z rozmowy z socjologiem Tomaszem Sobierajskim (str. 26) wyłania się obraz pokolenia, które ma zaskakująco wiele powodów, by czuć frustrację. Choć kradzieży nic nie usprawiedliwia, diagnoza motywacji, jak w każdym porządnym śledztwie, jest najważniejszym krokiem do rozwikłania zagadki przestępstwa.

NA POCZĄTEK



MARCIN PROKOP

Po pierwsze, straszenie kogoś dawaniami po mordzie, zamykaniem w więzieniu, Sądem Ostatecznym albo wszystkim naraz w rewanżu za kabaretowy żart (nawet nieśmieszny) nie jest czymś, z czym kojarzy mi się demokracja. Nawet jeśli taka sytuacja, jak w przypadku niefortunnego skeczu o papieżu w wykonaniu Abeldarda Giza, ma miejsce w telewizji publicznej (str. 6). Publicznej – a więc takiej, której widzami są zarówno ci, których to śmieszy, jak i ci, których to oburza. Jedni mogą zrobić głośniejszy, drudzy zmienić kanał albo wyłączyć odbiornik. Pluralizm. Po drugie, odrobinę dziwni mnie ci, którzy przy podobnych okazjach, płonąąc z religijnego oburzenia, wysuwają argument z cyklu: „jak z ciebie taki kozak, to sobie pożartuj z Mahometem”. Czy naprawdę chcielibyście, aby standardem obowiązującym w waszym kraju było nakładanie klątwy, kamienowanie lub robienie innego terminalnego kuku tym, którzy ośmielają się krytykować, choćby w kabaretowej formie, waszą religię? Po trzecie, skoro Bóg ulepił człowieka na własne podobieństwo, a człowiek posiada poczucie humoru, to logiczne wydaje się założenie, że Stwórca również jest nim obdarzony. I choć z pewnością zna lepsze żarty niż Giza, to jestem przekonany, że nie pisałby z tego powodu donosów do KRRiT.

RACZKOWSKI

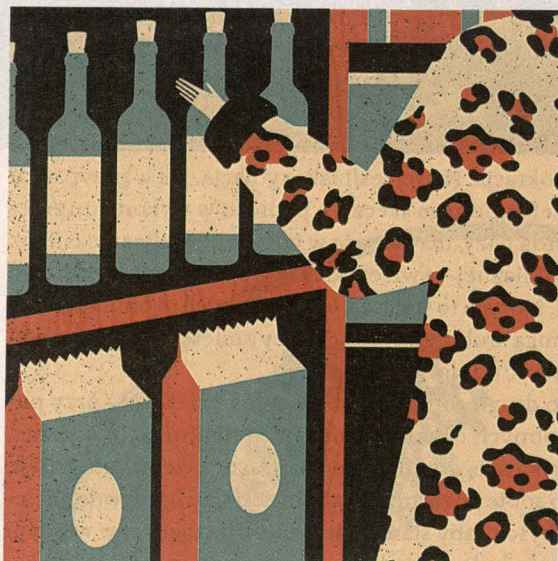


18 marca 2013

AKTUALNOŚCI

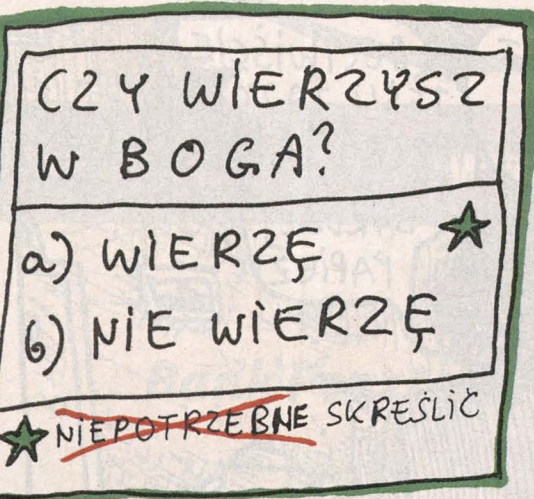
- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Cenzura w satyrę Jerzy Ziemiacki sprawdza, czy można się śmiać ze wszystkiego.
- 12 → **WIARA** Papieska mozaika Edyta Borkowska
- 14 → **WIARA** Anglikanie też mają nowego pasterza Anna Gwozdowska
- 20 → **TEDXWARSAW** Siła słów Edyta Borkowska

GRUBE SPRAWY



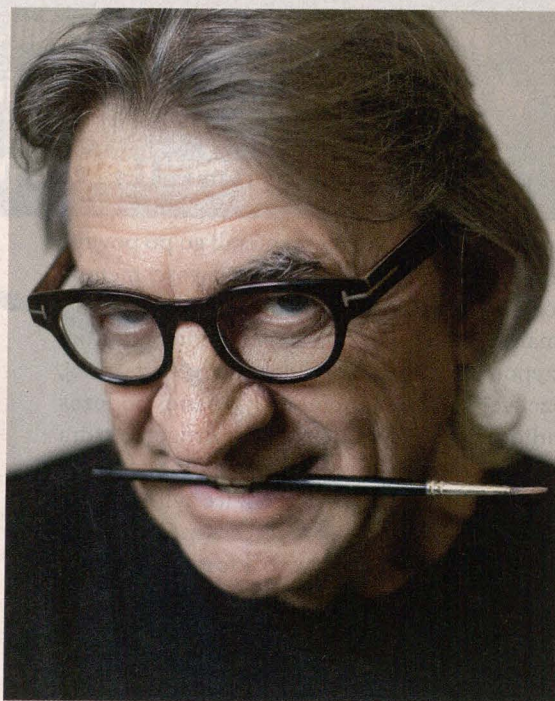
- 22 → **KRADZIEŻ** Młodzi złodzieje w natarciu Patryk Chlewicki
- 26 → **KRADZIEŻ** Spójrz na mnie! O złodziejstwie w proteście z dr Tomaszem Sobierajskim rozmawia Zuzanna Ziomecka
- 28 → **ZMIENNICZY** Kulturalni reformatorzy Instytucjami kultury zaczynają kierować młodzi ludzie - przekonuje Mike Urbaniak
- 34 → **LAGODNI** FACECI Macho i pluszowy miś w jednym Z niemieckim publicystą i pisarzem Matthiasem Lohrem rozmawia Anna Przybył

RACZKOWSKI



- 38 → **WYMIANA** Nowe spojrzenie na barter Anna Sańczuk
- 44 → **LOWELASI** Piłka, bramka... seks Michał Kołodziejczyk
- 48 → **PRACA** Ludzki szef O najlepszych pracodawcach z Davidem Plinkiem z Instytutu CRF, rozmawia Anita Błaszczak
- 50 → **NAZI CHIC** Powrót „chłopca” Agnieszka Brzezińska-Widera

KULTURA



DOMINIK PIŚAREK

- 54 → **WYSTAWA** Nikifor ubiera się u Prady Z Edwardem Dwurnikiem rozmawia Jacek Tomczuk
- 58 → **TEATR** Remiks Komuny Agnieszka Berlińska
- 64 → **KINO** Odbić małą od miłości Z reżyserem „Miłości” Sławomirem Fabickim rozmawia Barbara Hollender
- 68 → **MUZYKA** Jestem bardzo współczesnym dzieckiem Yoann Lemoine o obsesji na punkcie przeszłości w rozmowie z Angeliką Kucińską

ROZMAITOŚCI

- 70 → **KLIMAT** Czas ekstremów Dlaczego pogoda wariuje, wyjaśnia Andrzej Holdys
- 74 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Agnieszka Błońska Monika Brzywczy
- 76 → **PIERWSZA PRACA** Czeszka, koper i gumki Z Jackiem Borcuchem o sprzedawaniu butelek, myciu stoików i pakowaniu kopru rozmawiają Bartosiak & Klinke
- 79 → **PO-PATRZ** Myśl skromnie Kuba Dąbrowski o reklamie małego niemieckiego samochodu
- 80 → **WINA** Ufff, jak gorąco Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 19 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Gdzie nasz optymizm
- 21 → **MICHAŁ OLSZEWSKI** GOŚCINNIE Z poziomu morza
- 62 → **MACIEJ NOWAK** Węgierski nocnik

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, 22 463 03 00, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnicka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski, Kuba Dąbrowski, Aga Krak, Angelika Kucińska, Wojciech Mikoluszek, Katarzyna Nowakowska, Cezary Polak, Marek Raczkowski, Marianna Saska, Karolina Sulej, Stach Szablowski, Mike Urbaniak, Jerzy Ziemiacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka

Korekta: Dominika Stępień, Agnieszka Ujma

Strona internetowa: KRCEMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska (p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69; fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57; reklama@presspublica.pl

Dyrektor Biura Sprzedaży Korporacyjnej Witold Trzcinski
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencji i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 45,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje:
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803 lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl, www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl
Dostęp na stronie www i wersji na iPad
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €, rok – 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł, miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł, miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwis@platne@rp.pl, tel. 22 46 30 066

Okładka:
Reprodukcja Jan Morek/PAP, 123RF

Co dziś pasuje Twojej firmie, nie musi pasować jej jutro



Samsung GALAXY Note II

- rysik S Pen o wyjątkowej wrażliwości na dotyk
- ekran HD Super AMOLED 5,5"
- funkcja Multi Window pozwalająca na korzystanie z kilku aplikacji jednocześnie
- czterordzeniowy procesor zapewniający szybkość i płynność działania

Dzięki elastycznym pakietom wartościowym sam decydujesz, czego w danym miesiącu potrzebuje Twoja firma.



Potrzeby firmy zmieniają się z miesiąca na miesiąc. Ty wiesz najlepiej, co w danej chwili jest najbardziej przydatne Twojej firmie. W ramach promocji Zyskaj Więcej otrzymasz powiększony pakiet wartościowy, który możesz swobodnie wykorzystać, na co tylko chcesz: rozmowy krajowe i międzynarodowe, SMS-y, MMS-y i inne usługi.

Rozwijaj z T-Mobile swoją firmę i wybierz Samsunga Galaxy Note II (N7100) – już od 1 zł.

Szczegóły na www.t-mobile.pl/biznes

Chwile, które łączą.



JERZY ZIEMACKI

Cenzurą w satyrę

Skecz kabaretowy o Benedykcie XVI zbulwersował Polaków. Telewizja Polska przeprosiła urażonych widzów. Ale na pytanie, gdzie przebiegają **granice dopuszczalnego humoru** w sferze publicznej, nie ma jasnej odpowiedzi. Czy można się śmiać ze wszystkiego?

Benedykt XVI wygląda przez okno Pałacu Apostolskiego. Jest ubrany tylko do połowy: ma slipy w grochy albo w Jezusy, kalessony w 12 apostołów z Judaszem na środku. Potrafi jak rock and rollowiec rzucić się w tłum wiernych i powiedzieć do nich: jesteście zajeźbili! Gra na PlayStation. Upomina w języku niemieckim dzieci, które majstrują przy śmietniku. W sumie jest zupełnie zwyczajnym człowiekiem, który jak każdy: je, wydała i pierdzi. 8 marca 2013 r. Abelard Giza z kabaretu Limo zaskoczył Polaków. Postanowił sparodiować odchodzącego Ojca Świętego. Odegrał ekspresyjny monodram. W państwowej telewizji TVP 2. Podczas programu „Tylko dla dorosłych” emitowanego na żywo w późnych godzinach wieczornych. Wywołał skandal obyczajowy. Podzielił opinię publiczną. Jedni twierdzą, że przekroczył granice, których nie wolno przekraczać, inni natomiast uważają, że takich granic – współcześnie, w pluralistycznej demokracji – nie ma. Każdy może śmiać się ze wszystkiego. Na tym polega wolność słowa.

Kto się nie śmiał

Abelard Giza w swoim skeczu śmieje się z papieża, ale również z historii Kościoła: „Kiedyś za wszystko było jeb na stos!

Abelard Giza z kabaretu Limo zaskoczył Polaków niewybrednymi żartami o ustępującym papieżu. Skecz z programu „Tylko dla dorosłych” jednych rozbaawił, innych zaś oburzył.

Jeb na stos!”. Celem jego satyrycznych ataków jest religijny fanatyzm. Pod każdą postacią. Wczoraj i dziś. Wyśmiewa islamskich zamachowców, ale snuje również groteskową wizję polskich terrorystów religijnych: starsza kobieta w moherowym berecie wysadza się w powietrze w osiedlowym warzywniaku na znak sprzeciwu wobec wszechobecnego pogaństwa. Ma ze sobą trolity, ten, który opisała „Rzeczpospolita” w kontekście tragedii smoleńskiej. „Nie wiesz, czy przyszła po pomidory, czy cię zajebać” – żartuje w blasku reflektorów Giza. Publiczność w Gdańsku, gdzie trwa noc kabaretowa, zanosi się od śmiechu. Następnego dnia rano w siedzibie TVP 2 rozdzwaniają się telefony od oburzonych widzów. Niektórzy z nich są wstrząśnięci tym, co usłyszeli w państwowej telewizji.

Chamstwo, wulgaryzm, prymitywizm – to najczęstsze zarzuty pod adresem kabaretu. Dzwonią głównie ludzie starsi. Mówią o czasach PRL-owskich nagonek na Kościół, o powadze religii i świętości papieża. Potępiają zachowanie komików. Domagają się oficjalnych przeprosin. Pretensje zaczynają się mnożyć. Nie tylko Giza jest winny temu „seansowi nienawiści”, „grze na najniższych instynktach”, „plebejskim wygłupom”. Chwilę przed nim na gdańskiej

scenie wystąpił Rafał Ruciński, jego kolega z kabaretu. Wzbudził nie mniejsze kontrowersje. Odegrał sceny biblijne: w betlejemskiej stajence właśnie urodził się Jezus i „trwa popijawa jak na każdym pępku”. Owca pyta świętego Józefa: „To mówisz, Józek, że masz syna, a nawet nie bzykałeś?!”. W Polsce, w kraju o katolickich tradycjach, te słowa mogą szokować. Dotyczą Boga chrześcijan. Szokują. Ale tylko niektórych.

– Według mnie nie ma tematów tabu i można się śmiać ze wszystkiego. Nie mam pojęcia, dlaczego nie można żartować z tematów związanych z religią. To jest jakiś newralgiczny punkt, przy którym ludzie w Polsce zaczynają się wściekać – mówi w rozmowie z „Przekrojem” Abelard Giza, autor zamieszania. – Lubię dowcip finezyjny, niedopowiedzenia i aluzje, ale lubię też czasem mocne i ostre słowa. Jeśli mnie bawią, to dlaczego mają być gorsze? Oczywiście nie każdy musi być fanem takiego humoru, ale żeby karać i się zbulwersować? Tego nie rozumiem – mówi z przekonaniem. Zapewnia, że nie wstydział się tego, co zrobił. Chętnie powtórzyłby swój występ z 8 marca jeszcze raz. – Fragment o fanatykach doskonale się sprawdził. Nie poruszam tych tematów, żeby szokować. Mówię, o czym chcę i jak chcę. Jeśli mam potrzebę bycia fi-



niezycznym, jestem. Jeśli chcę uderzyć z grubej rury, robię to – mówi Giza.

Co mówi prawo

Protesty nie cichną. Przybierają na sile. Na oburzonej części społeczeństwa kapitał postanawia zbici politycy. Do akcji ruszają posłowie Prawa i Sprawiedliwości. Troje z nich: Andrzej Jaworski, Małgorzata Sadurska, Bartosz Kownac-

ki, złożyło wniosek do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji o ukaranie TVP za „nadawanie antykatolickich, poniżających osoby starsze i niepełnosprawne” treści. We wniosku napisali, że „program kabaretu nigdy nie powinien być nadany w żadnej telewizji, zwłaszcza w telewizji publicznej. Przekroczył on nie tylko granicę obrzydliwości, ale naruszył art. 18 ust. 1 i 2 ustawy o ra-

diofonii i telewizji”. Jak widać, politycy oprócz uprawiania barwnej retoryki powołują się na konkretną treść ustawy. I w świetle obowiązującego prawa mają swoje racje.

Treść ustawy w tym punkcie brzmi: „1. Audycje lub inne przekazy nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością

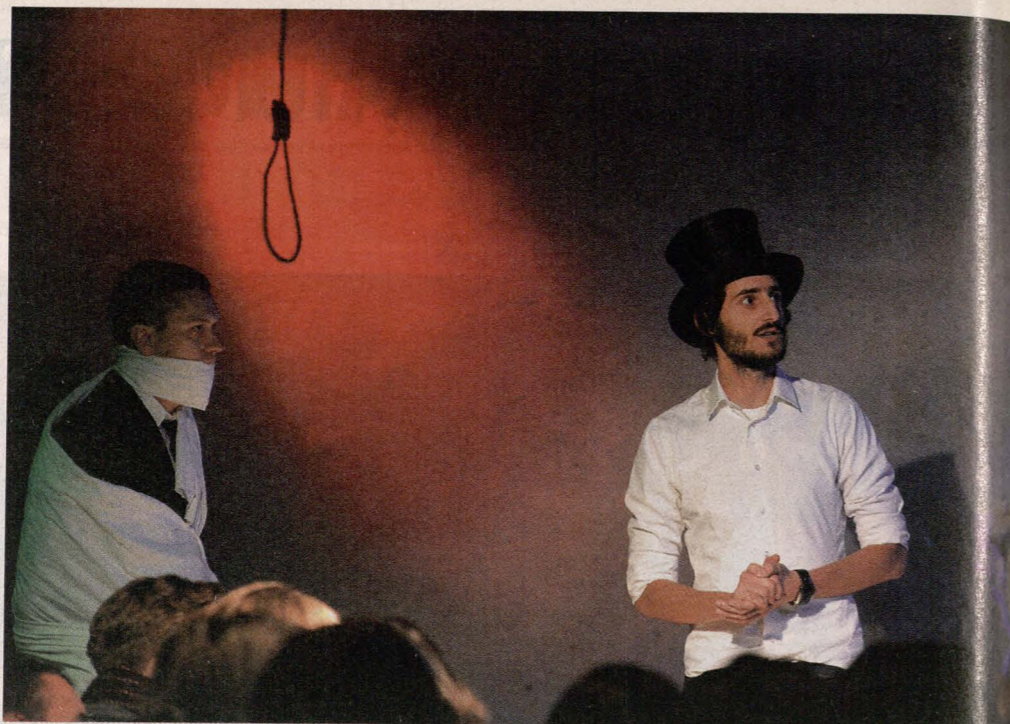
i dobrem społecznym, w szczególności nie mogą zawierać treści nawołujących do nienawiści lub dyskryminujących ze względu na rasę, niepełnosprawność, płeć, wyznanie lub narodowość". Kto miałby wątpliwości, czy śmianie się w publicznej telewizji z chrześcijaństwa jest przeciw ustawie, powinien przeczytać kolejny punkt: „2. Audycje lub inne przekazy powinny szanować przekonania religijne odbiorców, a zwłaszcza chrześcijański system wartości". Według polityków PiS w tym przypadku nie uszanowano chrześcijańskiego systemu wartości, użyto treści dyskryminujących oraz propagowano poglądy sprzeczne z moralnością i dobrem społecznym.

Za co przeprasza telewizja

„Przed wojną, gdy Polska była państwem wielowyznaniowym bardziej niż teraz, w wielu środowiskach powtarzano tezę, że w czasie każdej, nawet najbardziej pijackiej imprezy po mordzie daje się tylko w dwóch momentach: gdy ktoś obraża twoją matkę lub gdy ktoś obraża twoją religię. Dziś dochodzi do tego, że te dwa elementy są wyszadzane. Czas to ukrócić i nie pozwalać na wyszadzanie naszych matek i religii” – grzmiał Andrzej Jaworski, oburzony poseł PiS. – Uważam, że nawet gdy jesteśmy w mniejszym gronie, nie można serwować żartów, po których część poczuję się urażona, a nie daj Boże wszyscy. Nie można walić, przeklinać, ładować pieprznych żartów. Zawsze lepiej ostre słowo zastąpić innym, a publiczność i tak będzie wiedziała, o co chodzi – mówi Marcin Daniec, któremu kabaret Limo również nie przypadł do gustu. Występem nie jest zachwycony Robert Górski, lider Kabaretu Moralnego Niepokoju. W wywiadach dyplomatycznie przyznaje: „to nie moja estetyka”.

11 marca 2013 r., trzy dni po głośnej emisji, dyrekcja TVP 2 przeprasza tych, którzy poczuli się dotknięci. W oświadczeniu czytamy o okolicznościach łagodzących, które trzeba wziąć pod uwagę przy ocenie całej sytuacji. Przede wszystkim program był emitowany

Maciek Buchwald (po prawej) z Teatru Improvizowanego Klancyk od lat działa na scenie stand-upu. Uważa, że każdy żart należy oceniać w kontekście miejsca, w jakim został wypowiedziany.



JAKUB OSTALOWSKI

na żywo, w godzinach nocnych, w dodatku opatrzonej kwalifikacją wiekową od 16 lat. Był skierowany do widzów dorosłych, świadomych satyryczno-kabaretowej konwencji programu. Kontrowersyjność treści mogła wynikać z różnic kulturowych. Młodzi kabareciarze żartujący z religii uprawiają sztukę stand-up. Formuła stand-up, która przywędrowała do Polski ze Stanów Zjednoczonych, zakłada dużą swobodę wypowiedzi, utrzymanej często w tonie ostrej, bezkompromisowej satyry, w której komik wykorzystuje środki takie jak przerysowanie, przejawskawienie czy świadomie wywołana kontrowersja, aby rozbawić publikę. Nie znaczy to jednak, że myśli tak naprawdę. To pewna abstrakcja.

Poprosiliśmy dyrektora TVP 2 Jerzego Kapuścińskiego o komentarz w tej sprawie. Oto odpowiedź: „Zdecydowaliśmy się przeprosić tych spośród naszych widzów, którzy mogli poczuć się dotknięci treścią emitowanego skeczu, ponieważ zdajemy sobie sprawę, że nasza widownia jest szeroka i są wśród niej również takie osoby, które satyryczną konwencję programu mogły odebrać zbyt dosłownie. Tymczasem urażanie czyichkolwiek uczuć nie było naszą intencją. Przeprosiny były zatem wynikiem szacunku i swoistej empatii w stosunku do naszych widzów, nie zaś bezpośrednią reakcją na protest grupy po-

słów PiS”, twierdzi dyrekcja TVP 2. Jednocześnie broni swoich decyzji: „Kabaret, który nie odnosi się do aktualnych wydarzeń, jakimi żyje opinia publiczna, jest po prostu martwy. Nie jest naszą intencją obrażanie kogokolwiek, ale chcielibyśmy podkreślić, że formuła programu jest satyryczna i w ten sposób należy ją odbierać. Jeżeli treści kabaretowe mielibyśmy czytać dosłownie czy zero-jedynkowo, wniosek byłby taki, że ten gatunek należy całkowicie wycofać z mediów publicznych”.

Humor bez cenzury

„Taki nam zrobili PR, że w ciągu kilku godzin przybyło nam ponad półtora tysiąca osób”, pisze na swojej fanstronie kabaret Limo. Dzięki kontrowersji zyskali nowych fanów, którzy szczerze popierają ich poczucie humoru. „Tak trzymać!”, „Polska nie jest krajem wyznaniowym!”, „Polacy nie mają poczucia humoru!” – piszą na forach internetowych. W obronę kabaret Limo wziął Kuba Wojewódzki, który jakiś czas temu sam przechodził przez moralny czyściec po publicznych żartach na temat Ukrainek. Teraz na swojej tablicy na Facebooku napisał: „Państwo, które ściga satyryków, samo odważa kabaret! Wspólnie módlmy się o rozum dla posłów PiS”. Politykom Prawa i Sprawiedliwości odpowiedzieli politycy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Tłumaczą,

że ironia i humor w demokratycznym państwie nie potrzebują żadnej cenzury. Można się śmiać ze wszystkiego. Bo to tylko żarty. Proponują nowelizację ustawy o radiofonii i telewizji. Z wymogu poszanowania przekonań religijnych chcą wykluczyć audycje o charakterze satyrycznym i artystycznym. Kabarety powinny być według posłów SLD azylem kulturowym. Miejscem, w którym można obśmiać wszystko: Biblię, Koran, papieża i osoby wierzące. Bez żadnych konsekwencji.

W rozmowie z nami Michał Figurski przyznaje: – Łgarzem jest ten, kto twierdzi, że nie zna ani jednego dowcipu o papieżu czy Jezusie, tak samo jak ten, który powie, że nigdy się z takich żartów nie śmiał. Z tego, co się orientuję, Abelard Giza zawsze jechał po bandzie, szczególnie w tematyce religijnej, więc jak na jego artystyczne emploi to żadna nowość.

Figurski twierdzi jednak, że problemem jest emisja kontrowersyjnych treści w mediach publicznych. Czym

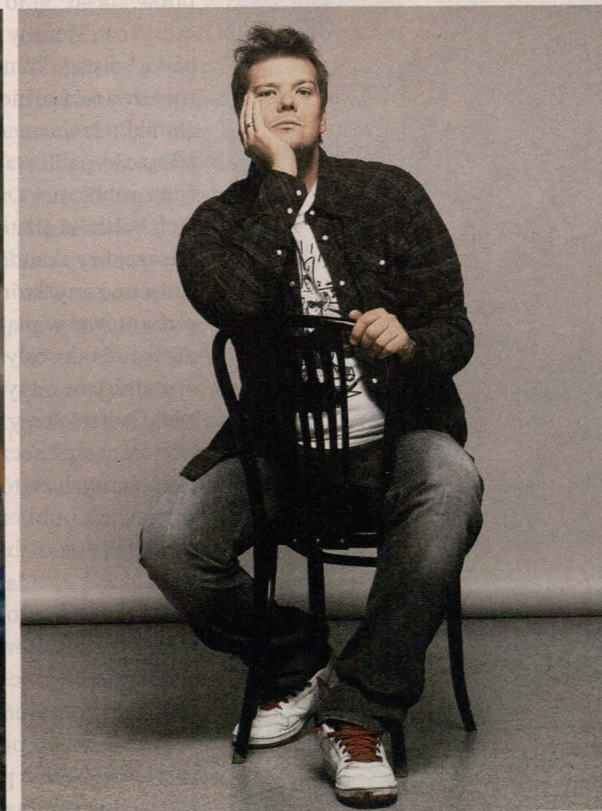
innym jest prywatny rechet, a czym innym oficjalny śmiech. Polacy mają wieczną potrzebę udowadniania rzekomej pruderyjności. Dlatego bezpieczne kabarety w Polsce dzielą się na dwa schematyczne nurty: ten, w którym przebrany za babę facet przychodzi do lekarza, i ten, który obśmiewa nielubianych polityków. Obie formuły kabaretu są w Polsce akceptowane publicznie: humor cyrkowy i satyra polityczna. – Natomiast wyjście poza którąś z tych ograniczonych ról jest uważane w Polsce za obrazoburcze. Satyryk uznawany jest wtedy za dyletanta grającego na najniższych instynktach lub inspirowanego przez siły jakiejś tajemniczej, złej propagandy – tłumaczy Figurski, który razem z Wojewódzkim został 25 czerwca 2012 r. zwolniony z Radia Eska Rock za żartowanie z Ukrainek (3 września Wojewódzki wrócił z programem na antenę, ale bez Figurskiego).

Abelard Giza podkreśla, że jego idolami są tacy komicy, jak: George Carlin, Louis CK, Bill Hicks, Eddie Izzard,

Robert Górski z Kabaretu Moralnego Niepokoju (po lewej) o wygłupach Limo mówi: „To nie moja estetyka”. Michał Figurski za wygłupy na antenie Eski Rock zapłacił wysoką cenę.



MAGDA STAROWIEJSKA



ALBERT ZAWADA/AGENCJA GAZETA

Dave Chapelle. Być może przy nich Polak jest całkiem poprawny politycznie. Ale Polska to nie Stany Zjednoczone ani Wielka Brytania. Normy humoru są tutaj inne. Jest to zrozumiałe ze względu na różnice kulturowe i historyczne. Polacy mają inną mentalność niż Amerykanie i Brytyjczycy. Giza o tym wie, ale próbuje to zmieniać. – W Polsce stand-up rozwija się od niedawna, ale bardzo prężnie i dynamicznie. Kluby wypełniają się liczną i głodną tej formy publicznością. Komicy mają coraz lepsze teksty. Wszyscy uczymy się otwartości, luzu i dystansu. Jeszcze daleka droga do tego, abyśmy byli całkiem wyluzowani, ale wierzę, że wyjdzie nam to tylko na dobre – relacjonuje lider kabaretu Limo. Sam jest obyczajową awangardą tego gatunku w Polsce. Przekraczanie granic lokalnego tabu, szokowanie Polaków, zmienianie ich mentalności należy do jego misji. Lubi jechać po bandzie. Ze sceny mówi o niewygodnych, wstydliwych tematach. Na przykład takich jak masturbacja: „Wszyscy to robimy. Wszyscy!”, krzyczy podczas skeczu i podkręca salę: „Ale się wczoraj zesrałem, myślałem, że mi oczy pękają!”. Sala ryczy ze śmiechu.

Najnowsze żarty kabaretu Limo są szczególnie wyraziste na tle aktualnych wydarzeń. Wybór nowego papieża to wyjątkowy moment w dziejach świata. Ale również w dziejach Polski, bo kojarzy się z osobą Jana Pawła II. Wielu jednak uważa, że telewizja źle zrobiła, że przeprosiła za żarty z papieża. Stworzyła bowiem precedens, z którego będą korzystać obywatele oburzeni innymi sprawami. Jak żartować, aby nikogo nie urazić?

Granice ironii

Sytuacja jest patowa. Rację mają obie strony. Kabaret Limo szczerze zbulwersował dużą część opinii publicznej. Z drugiej strony – ten sam kabaret – rozśmieszył do łez olbrzymią grupę odbiorców. Oburzeni i rozśmieszeni należą do dwóch światów o zupełnie innych wartościach. Oburzeni uważa-

ją, że istnieją świętości, z których śmiać się nie należy – pod żadnym pozorem. Rozśmieszeni nie mają z tym problemu, uważają, że nie ma świętości. Jak przebiega linia podziału? Między wierzącymi a niewierzącymi? Między młodymi a starymi? Między optymistami a pesymistami? Trudno jednoznacznie określić. W tym konkretnym przypadku urażeni poczuli się przede wszystkim ludzie wierzący i ludzie starsi (a nade wszystko starsi wierzący). Ale bywa, że jakimś kabaretem urażeni są również młodzi niewierzący: gdy żarty dotyczą mniejszości seksualnych lub mniejszo-

ści narodowych. Można zaryzykować tezę, że każdy żart ma w sobie ostrze satyry, które kogoś może zranić. Jak mawiał Antoni Słonimski, „dowcip jest bronią, ale nie należy karać za jej nielegalne posiadanie”.

– Nie ma obiektywnych kryteriów oceny żartów. Trudno powiedzieć, co kogo urazi. Mielśmy kiedyś skecz o sybirakach, wyśmiewaliśmy w nim konwencję sztywnych spotkań literackich wokół nudnych książek historycznych. Publiczność dobrze się bawiła. Wydawało się nam, że wszyscy przyjęli konwencję. Jednak po naszym

występie podszedł do mnie elegancki młodzieniec i oznajmił, że czuje się obrażony. Jego dziadkowie umarli na Syberii z głodu i zimna. Przeszedł mnie dreszcz. Zrozumiałem, że dla tego człowieka te żarty były podłe – mówi „Przekrojowi” Maciej Buchwald, znany stand-uper, związany z Teatrem Improvizowanym Klancyk. Przyznaje, że przy dużej liczbie żartów trudno przewidzieć wszystkie konsekwencje. Komicy występujący przed publicznością sami często nie wiedzą, w którą stronę płyną ich żarty. Pamięta, że nawet telewizja komercyjna, w której miał swój występ, wycięła kilka scen ze skeczu, w którym wciela się w postać Jezusa Łatynosa. – Rozumiem, dlaczego wycięli mi te sceny. One dotyczyły sfery sacrum. Moja rodzina w ogóle nie była zachwycona, że parodiuję Syna Bożego. Z kolei dla moich rówieśników to zupełna norma – tłumaczy.

Jak ocenia występ Abelarda Gizy? – Od wielu lat słyszę podobne żarty na spotkaniach kabaretowych w całej Polsce. Tam przychodzi głównie młoda publiczność. Są to ludzie wychowani często na „Monthly Pythonie” i „Southparku”, dlatego kpina z religii czy duchowieństwa nikogo nie szokuje – mówi Buchwald. – Problemem kabaretu Limo jest fakt, że wypalili z takimi żartami w telewizji publicznej. Oficjalnie. Do wszystkich Polaków. Dlatego zrobił się z tego obyczajowy skandal – uważa. Jednym słowem: żarty, które kabaret Limo zaprezentował w piątkową noc, w cyklu „Tylko dla dorosłych”, nie były wcale brutalniejsze od tych, które opowiada wielu kabareciarzy w knajpach i na małych scenach. Rzecz w tym, że tych niebezpiecznych żartów nie wolno mówić w telewizji publicznej. Bo to miejsce zbyt oficjalne. Kabaret Limo podskórnie wierzył, że uda mu się legitymizować półoficjalny rodzaj humoru, który króluje w kabaretowym podziemiu. Ale przeniesienie go do polskiego mainstreamu okazało się niemożliwe.

Laura Bush po wygranej swego męża w wyborach prezydenckich opowiedziała rodzinną anegdotę o tym, że

Posel PIS Andrzej Jaworski jest oburzony skeczem kabaretu Limo. Zachęca do tego, żeby zaprzestać drwin z „naszych matek oraz naszej religii”.

Marek Raczkowski nie jest ofiarą politycznej poprawności. Dywagacje nad fizjologią papieża uznaje jednak za uczniackie.



DOMINIK SADOWSKI/AGENCJA GAZETA

George bywa tak roztrzępany, że raz pomylił byka z krową i dobrze wydoił byka. Żart usłyszał cały świat. Laura Bush implicite powiedziała, że jej mąż masturbował byka. Jej dowcip został przyjęty z wielką życzliwością. Nikt się nie obraził. Co byłoby, gdyby taki sam żart opowiedziała żona urzędującego prezydenta RP Bronisława Komorowskiego? Inny przykład: w brytyjskich mediach tuż po żałobie popularne były kabarety dotyczące śmierci Diany. Nie wyśmiewały one tragedii księżnej, ale psychozę społeczną, która zapanowała po jej tragicznym wypadku. Brytyjczycy akceptowali te żarty, choć balansowały na krawędzi obyczajowego tabu. W polskich realiach trzeba być szczególnie ostrożnym. Żarty o Henryku Walezym, nawet wulgarnie, nikogo nie dotkną. Dotyczą odległych czasów i nieaktualnych spraw. Jednak podobne żarty z powstania warszawskiego mogą się zakończyć skandalem. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych wielu amerykańskich Żydów śmieje się z Holocaustu.

Komedia i tragedia

– Problem granic satyry jest często problemem politycznym. Jedna strona konfliktu oburza się o żarty z papieża, druga strona o żarty z mniejszości sek-

sualnych. Każda strona ma swoje racje. To nie jest łatwy problem. Osobiście nie uważam, że wszystko wolno. Ale jestem też wrogiem nakładania kar, ścigania, pociągania do odpowiedzialności, targania po sądach za humor – mówi Marek Raczkowski. W 2006 r. przyznał na antenie Radia TOK FM, że umieścił 70 biało-czerwonych flag w psich odchodach na trawnikach Warszawy. Jego żart wzbudził duże kontrowersje. Wywołał debatę publiczną na temat granic satyry. Prokuratura umorzyła śledztwo. Ale Raczkowski do dziś wspomina machinę sądowno-polityczną, która ruszyła wtedy z powodu niewinnego, jak sądził, dowcipu. Do skeczu kabaretu Limo odnosi się z dystansem. Wskazuje na bogatą tradycję żartów antyklerykalnych w Polsce. Choć dywagowanie nad fizjologią papieża wydaje mu się żartem na poziomie uczniaków. Czytelnikom „Przekroju” przypomina scenę z filmu „Ucieczka z kina Wolność” z 1990 r., który pokazuje absurdalność cenzury PRL. Komunistyczny cenzor, w którego wciela się Janusz Gajos, jest świadkiem powstawania III RP. Na koniec filmu rozgoryczony utratą pracy mówi słynne zdanie: „Jeszcze zatęsknicie za cenzurą. Bo teraz sami będziecie musieli się cenzurować!”.



MACIEJ ZIEMKIEWICZ/AGENCJA GAZETA



Gdańsk
26-28 kwietnia
2013

SIESTA FESTIVAL

www.siestafestival.pl

MELODY GARDOT
LURA **JEHRO**
CUCA ROSETA **BONGA**

Polska Filharmonia Bałtycka
Miasto Aniolów/Barka
Klub Parlament

Bilety
www.ticketpro.pl
www.eventim.pl
www.biletyna.pl
www.ebilet.pl



Współorganizator
Polska Filharmonia Bałtycka
im. Fryderyka Chopina w Gdańsku





EDYTA BORKOWSKA

Papieska mozaika

Przed konklawe światowe media spekulowały, kim będzie nowy papież. Teraz zajmują się prześwietlaniem życiorysu oraz przekonania kardynała Jorge Bergoglio, który jako **Franciszek** stanął na czele Kościoła katolickiego. My sylwetkę następcy Benedykta XVI kreślimy na bazie wypowiedzi ważnych postaci życia publicznego w Polsce – od lewa do prawa. Wszystkich zapytaliśmy o to, kim jest dla nich papież z Argentyny.



prof. Zbigniew Mikolejko, filozof, religioznawca, eseista i pedagog

To zaskakujący wybór, wynikający być może z tego, że nie bardzo było wiadomo, kto mógłby reformować Kościół. Zachowano więc konserwatywny status quo – tak jak w przypadku wyboru kardynała Josepha Ratzingera w 2005 r., choć wtedy wybrano teologa, a teraz kogoś z duchowością i postawą franciszkańską. To pokorne chrześcijaństwo i ubóstwo może być znakiem, że Kościół powinien być skromniejszy, ale czy Jorge Bergoglio uda się narzucić ten wzór całości? Lepiej byłoby, gdyby wybrano kardynała z Filipin Luisa Antonia Tagle lub Odilo Scherera z Brazylii, którego wybór byłby bardziej wyrazistym zwrotem w stronę Kościołów Trzeciego Świata. Argentyna jest przecież na tle innych państw Ameryki Południowej krajem ustabilizowanym. Z kolei w Bra-

zylii istnieje bardzo duży problem z powołaniami, nie ma kto udzielać sakramentów, a jednocześnie powstaje tam dużo nowych Kościołów i sekt. Problematyczna jest również sprawa domniemanego współpracy Bergoglio z juntą, chociaż Horacio Verbitsky, autor książki „El Silencio”, w której znalazły się zarzuty przeciwko papieżowi Franciszkowi, sam nie jest czysty. Zresztą w 2012 r. kardynał przeprosił naród argentyński za postawę kleru katolickiego w czasie rządów Jorge Rafaela Videli.



Krystian Legierski, działacz LGBT, polityk i przedsiębiorca

Wybór nowego papieża nie jest dla mnie sprawą istotną, ale cieszę się, że to człowiek z Ameryki Południowej. Może wniesie do Kościoła lekkiego, łatynoskiego ducha. Jorge Bergoglio jest bliżej ludzi, jeździł autobusem, sam

sobie przygotowywał posiłki. Choć nie zgadzam się z ideologią Kościoła katolickiego, podoba mi się, że nowy papież wydaje się wierniej podążać śladami Jezusa Chrystusa. To zupełnie nowa jakość w porównaniu z tą, do której przyzwyczaili nas kardynałowie i biskupi otoczeni przepychem i oddaleni od wiernych. Pozytywne również jest to, że papież Franciszek wydaje się człowiekiem otwartym na ludzi. Jeżeli to prawda, może w większym stopniu będzie rozumiał współczesny świat, zamiast go odrzucać. I choć nie spodziewam się zmiany stosunku do gejów i lesbijek, to życzę wszystkim katolikom, żeby nowy papież zdołał uczynić Kościół instytucją z ludzką twarzą.



Anna Dryjańska, socjolożka, związana z Feminoteką, współorganizatorka III Europejskiego Kongresu Kobiet

Moja opinia może obrazić niektóre osoby, ale uważam, że grono starszych pań wybrało spośród siebie starszego pana. Z tego wyboru absolutnie nic nie wynika. Z dostępnych cytatów wynika, że papież Franciszek ma poglądy homofobiczne i mizoginiczne. Nic się nie zmieni. Będzie tylko dużo medialnego szumu wokół tego, że papież się przejechał metrem lub autobusem.



Szymon Hołownia, pisarz, dziennikarz, były dyrektor programowy stacji Religia.tv, szef Stacji 7.pl

Myszę, że to bardzo dobry wybór, który na moment nam uświadomi, że te wszystkie sprawy, którymi się zajmujemy, to ziemia, a nad nami jest jeszcze niebo. To zapowiedź dobrych czasów dla Kościoła, rewolucyjnych zmian. Mam nadzieję, że papież Franciszek sobie z nimi poradzi. Wszyscy powinniśmy mu pomóc. Imię, które przybrał, jest symboliczne. Każdy, kto zna historię Kościoła, pamięta sen papieża In-

nocentego III, w którym św. Franciszek podtrzymywał walące się mury bazyliki laterańskiej, siedziby biskupa Rzymu. Reformę Kościoła powinniśmy zacząć od naszych serc.



prof. Magdalena Środa, filozofka, teoretyczka etyki, publicystka, feministka

To nie jest papież, który wiele zmieni. Różnice polegają jedynie na osobowości. Jest też wyższy i młodszy od poprzednika, choć nie na tyle młody by zabrać nadzieję na w miarę szybkie następne konklawe. Przyjął imię Franciszek, symbolizujące ubóstwo i czystość, co w Watykanie musi brzmieć obco. To jednak bardzo bogate i wyrafinowane państwo, no i trudno tam jeździć autobusem. Jest papieżem wywodzącym się z kolegium kardynałów utworzonego przez z bardzo konserwatywnego Josepha Ratzingera, nie mogło więc być żadnych niespodzianek; nie ma szans na jakąkolwiek zmianę w zakresie norm obyczajowych czy nowoczesności. Nie sądzę też by ruszył do walki z pedofilią. Ta wymaga otwartości, trzeba mówić o seksualności księży (nienaturalnie tłumionej), o homoseksualizmie (Kościół katolicki to przecież największa organizacja gejowska na świecie!), o karalności za przestępstwa seksualne, trzeba nałożyć jakieś obyczajowe reguły na zajęcia z katechezy, wprowadzić ostre zasady kontroli kontaktów z dziećmi.... Nie wyobrażam sobie w tej roli tego papieża. W Polsce szybko o nim zapomnimy, nie jest Polakiem, nie jest Europejczykiem, nie jest w ogóle „nasz”. To przyspieszy proces laicyzacji.



Tomasz Terlikowski, publicysta, filozof, redaktor naczelny portalu Fronda.pl

Cieszę się zawsze, gdy Duch Święty prowadzi Kościół. Papież Franciszek jest człowiekiem Ducha Świętego, nie mediów. Panowało przekonanie, że

Dryjańska: Nic się nie zmieni. Będzie tylko dużo medialnego szumu wokół tego, że papież przejechał się metrem.

to będzie administrator, a mamy papieża kochającego ludzi ubogich. W Internecie można znaleźć zdjęcia z jego wizyty w hospicjum dla chorych na AIDS. Umył wtedy nogi 12 osobom. Przyjął nowe, z perspektywy papieskiej, imię. Jest bardzo charyzmatyczny, odważny w swoich wypowiedziach. Zdecydowanie broni rodziny. Jest przeciwny wprowadzaniu do prawa argentyńskiego związków gejowskich. Nazwał to manipulacją, za którą stoi ojciec kłamstwa, czyli szatan. Prezydent Argentyny odwdzięczyła mu się, zwracając się do niego w gratulacjach po wyborze per pan.



ks. Wojciech Lemański, proboszcz parafii Narodzenia Pańskiego w Jasienicy, działa na rzecz upamiętnienia historii Żydów polskich

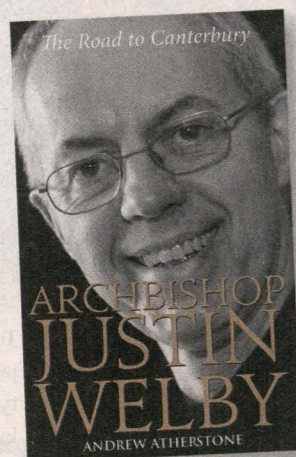
To papież świadomy wyzwań i zadań, jakie zostawił po sobie Benedykt XVI, tych, które – jak sam wyznał, abdykując – przerosły jego siły. W 2005 r. Jorge Bergoglio otrzymał już znaczącą liczbę głosów. Podobnie jak Jan Paweł II mógł po poprzednim konklawe przypuszczać, że mogą go wybrać na następcę Jana Pawła I, tak papież Franciszek mógł się spodziewać, że może zostać wybrany po Benedyktie XVI. Miał osiem lat, by o tym myśleć. To, że jego decyzja jest przemyślana, potwierdza wybór imienia. Choć miał wielkich poprzedników – Jana XXIII, Jana Pawła II czy Benedykta XVI – wybrał zupełnie nowe imię, które określa kształt papieństwa, jakie chce realizować. Tak jak św. Franciszek z Asyżu chce być świadkiem Chrystusa. Będzie głosił Ewangelię. Mam nadzieję, że administrowanie Kościołem, problemy finansowe i te związane z nieuporządkowanym życiem kapłanów powierzy ludziom, których powoła specjalnie do rozwiązywania tych zadań – sprawdzonym, być może nowym i niewykłanym w skandale.

ANNA GWOZDOWSKA

Anglikanie też mają nowego pasterza

Justin Welby, były menedżer w branży energetycznej, wychowanek Eton i Cambridge, ojciec piątki dzieci, 21 marca zostanie uroczystie zaprzysiężony na arcybiskupa Canterbury, a zarazem duchowego zwierzchnika 77 milionów anglikanów na całym świecie.

Nowy, 56-letni arcybiskup Canterbury jest pod każdym względem nietypowym hierarchą Kościoła anglikańskiego. Zdobył wykształcenie w Eton, kuźni brytyjskich polityków i urzędników państwowych, a teologię studiował tylko przez trzy lata. Po studiach w Cambridge pracował w londyńskim City. Był m.in. menedżerem w firmie paliwowej i zarabiał 100 tys. funtów rocznie. Ożenił się i dorobił trójki dzieci. Nic też nie wskazywało na to, aby miał w jakiś radykalny sposób zmienić swoje życie.



Biografia nowego arcybiskupa autorstwa Andrew Atherstone'a ukazała się 11 marca.

Wezwanie

A jednak w latach 80. zrezygnował ze świetnie płatnej pracy i kariery w biznesie. – Zrozumiał, że został powołany w czasie kazania, w kościele (nawrócił się jeszcze na studiach – red.) – mówi „Przekroju” jego biograf wieloletni dr Andrew Atherstone i dodaje: – Sporządził wtedy listę „za” i „przeciw”, a wśród negatywów znalazł się np. brak bezpieczeństwa finansowego, co mogło zagrozić jego rodzinie. Welby zdawał sobie jednak sprawę z tego, że usłyszał Boże wezwanie i dlatego zdecydował się na ten skok w nieznaną stronę.

Welby rzucił City i rozpoczął trzyletnie studia teologiczne na Uniwersytecie w Durham. Został wyświęcony w wieku 36 lat. W szybkim tempie przeszedł

kolejne szczeble anglikańskiej kariery. – Ale biskupem (Durham – red.) był tylko przez rok. Można powiedzieć, że debiutując w roli arcybiskupa, ma mniejsze doświadczenie niż którykolwiek z jego poprzedników od XVII w.! Jego nominacja była więc pewnym zaskoczeniem – przyznaje Atherstone. – Ma za to spore doświadczenie w świecie biznesu, chyba największe wśród dotychczasowych arcybiskupów. To z pewnością pomoże mu w zarządzaniu Kościołem

anglikańskim. W biznesie przywykł do podejmowania trudnych i poważnych decyzji.

Lenon z dzwonnicy

Ryzyko to według Atherstone'a jeden z motywów przewodnich posługi nowego arcybiskupa. Welby nie będzie się wahał postawić wszystkiego na jedną kartę w obronie Kościoła anglikańskiego, który w Wielkiej Brytanii umiera. – W diecezji Durham, w której był biskupem, liczba wiernych biorących regularnie udział w nabożeństwach spada tak szybko, że według Welby'ego potrzeba zaledwie 7–10 lat, by tamtejsza katedra zamieniła się już tylko w zabytek – opowiada Atherstone. – Jest więc realistą, ale równocześnie optymistą, nie chce zachowywać status quo, ma nadzieję, że Kościół anglikański będzie ro-

snąć, tak jak w wielu miejscach na świecie poza Anglią, np. w Nigerii.

Welby jest przyzwyczajony do podejmowania ryzyka i nie boi się go także w Kościele. – Ryzyko to jego ulubione słowo. Nie chce, żeby Kościół robił to, co zawsze. Chce wprowadzać nowe – przyznaje Atherstone.

Już jako biskup Welby próbował nowych form ewangelizacji. Pozwolił na przykład na odegranie z dzwonnicy katedralnej piosenki Johna Lennona „Imagine”, która przez wielu duchownych uznawana jest za manifest ateistyczny. – On jednak chciał w ten sposób przyciągnąć młodych ludzi – mówi Atherstone. – Pozwalał też nawet na organizowanie w kościele eventów w stylu Halloween dla nastolatków, a na Wielkanoc organizował inscenizację, w których wierni symbolicznie wyskakiwali z trumien. Próbuje w ten sposób nawiązać kontakt z ludźmi, którzy żyją daleko od Kościoła.

Zdolności Welby'ego zauważył już wcześniej jego poprzednik na tronie arcybiskupa dr Rowan Williams. Na jednej z ostatnich konferencji prasowych udzielił mu nawet rady, cytując teologa Karla Bartha: „Nowy arcybiskup powinien głosić Słowo Boże z Biblią w jednej ręce i gazetą w drugiej”.

Nowoczesna tradycja

Wbrew pozorom Welby nie jest jednak współczesnym liberałem, który spró-



W diecezji Durham, liczba wiernych biorących regularnie udział w nabożeństwach spada tak szybko, że według Welby'ego potrzeba zaledwie 7–10 lat, by tamtejsza katedra zamieniła się już tylko w zabytek.

buje dopasować Kościół anglikański do obowiązującej mody. – Jego nauczanie będzie klasycznie ortodoksyjne w znaczeniu wierności Biblii, pełne ewangelizacyjnej pasji i konserwatywne w sprawach moralności seksualnej – tłumaczy Atherstone.

Arcybiskup Welby jest na przykład przeciwnikiem adopcji dzieci przez pary homoseksualne i uważa, że seks powinien łączyć się z małżeństwem na całe życie, rozumianym jako związek kobiety i mężczyzny. I choć nie miał na razie okazji komentować rządowej ofensywy w sprawie usankcjonowania małżeństw homoseksualistów, podziela w tej sprawie krytyczne stanowisko Kościoła anglikańskiego. Jednocześnie Welby jest wielkim orędownikiem wyświęcania kobiet, a to przyczyna wyraźnego rozłam w anglikańskich wspólnotach na świecie. Sporo Anglikanów przechodzi z tego powodu na katolicyzm, a dynamicznie rozwijające się wspólnoty, np. w Afryce, są coraz bardziej krytyczne wobec brytyjskich duchownych. Ale według Atherstone'a nowy arcybiskup będzie umiał sobie z tym problemem poradzić. – Jest zwolennikiem debaty, niezgadania się z kimś, ale w sposób ugodowy. Na pewno zachęci zwaśnione strony do rozmów – przekonuje Atherstone.

Arcybiskup Welby zaskakuje jeszcze pod jednym względem. Jego duchowym przewodnikiem jest od wielu lat szwajcarski katolicki mnich. Zresztą arcybiskup świetnie mówi po francusku, co przecież nie jest typową umiejętnością Brytyjczyków. Welby ma bardzo dobre relacje z francuskojęzycznymi katolikami i, jak zapewnia Atherstone, sporo się od nich nauczył.

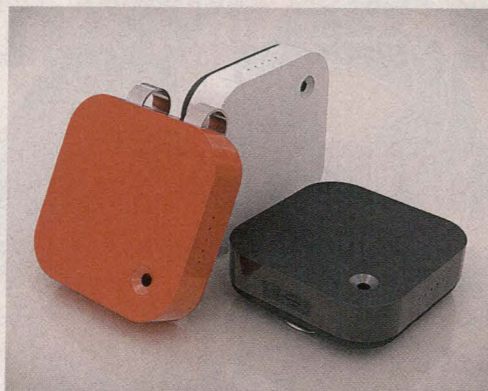
– Jednak uważa, że chrześcijaństwo jest zbyt europocentryczne. Chciałby położyć większy nacisk na anglikanizm afrykański, skorzystać z doświadczeń choćby Nigerii – tłumaczy Atherstone.

Ciekawe, że także wśród papabili wymieniano czarnoskórych kardynałów spoza Europy.

TECHNOLOGIA

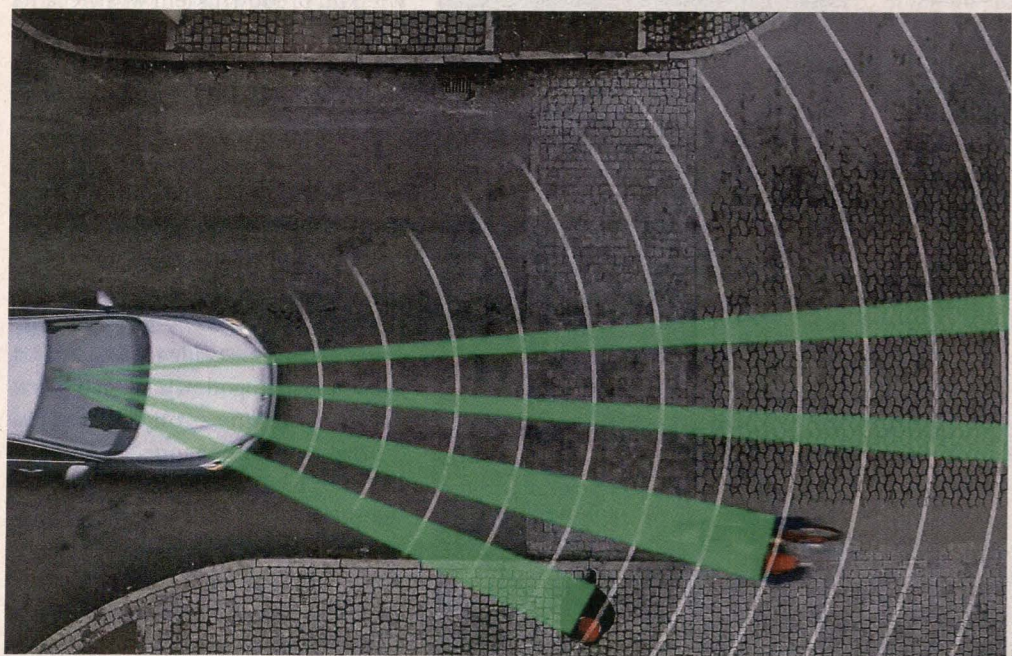
Pocztówki z życia

Już na przełomie kwietnia i maja na rynek ma trafić miniaturowa kamera Memoto. Ma 8 gigabajtów pamięci i rozdzielczość 5 megapikseli. Ale nie to jest istotne – urządzenie automatycznie robi zdjęcie co 30 sekund. Rejestruje wszystko, co widzimy. Później zdjęcia można zgrać do komputera lub na internetowy serwer i zdecydować, które pozostawić. – Nie chodzi tylko o rzeczy, o których wiemy, że będziemy chcieli je zapamiętać – mówi Martin Kallstrom, jeden z twórców Memoto. – Zwykle chwile mogą okazać się – później – wyjątkowe. Ale jedynym sposobem, aby się o tym przekonać, jest fotografowanie wszystkiego. Założona w 2011 r. Memoto



MATERIAŁY PRASOWE

zebrała w serwisie Kickstarter od użytkowników Internetu ponad 550 tys. dolarów (liczyli na 50 tys.). To właśnie internauci jako pierwsi otrzymają wyceniany na 279 dol. gadżet. → peka



MATERIAŁY PRASOWE

MOTORYZACJA

Volvo hamuje przed cyklistami

Kierowcy nie znoszą rowerzystów. Zresztą vice versa. Tym pierwszym z pomocą spieszy technologia. System obserwujący drogę przed maską samochodu pozwoli uniknąć kolizji z rowerzystami. Gdy wykryje jednośląd przecinający drogę samochodu, najpierw uruchomi alarm, a gdy kierowca nie zareaguje – wciśnie za niego hamulec. Rozwiązanie zaprezentowane przez Volvo podczas genewskiego salonu motoryzacyjnego opiera się na działaniu radaru i kame-

ry wideo. To rozwinięcie znanego już systemu automatycznie hamującego przed pieszymi. Ponieważ rowery poruszają się szybciej niż piesi, system musiał zostać przeprojektowany – od nowa napisano oprogramowanie i zastosowano mocniejszy procesor. Inżynierowie Volvo pracują teraz nad kolejną wersją tego gadżetu. Tym razem ma rozpoznawać zwierzęta przebiegające przez drogę i przed nimi hamować. → peka

EKOLOGIA

Niech stanie się ciemność!

Chciałbyś zobaczyć Jana Tomaszewskiego (PiS), Joannę Senyszyn (SLD) i Dorotę Niedzielę (PO) na jednym rowerze, wesoło przemierzających warszawskie ulice? A może bardziej ubawi cię Kasia Tusk w stylizacji „na pandę” lub Michał Piróg z Agnieszką Szalim przepływający Wisłę na tratwie z plastikowych butelek PET? Dla bardziej pragmatycznych może być setka nowiutkich miejskich stojaków na rowery albo jednodniowe wegańskie menu. Ale nawet jeśli wszystko co powyżej masz w poważaniu, zrób to z innych powodów – z tych samych zresztą, dla których robią to setki milionów ludzi na całym świecie. W najbliższą sobotę 23 marca o godzinie 20.30 niech zapamiętasz ciemność. Zgaś światło, włącz się do akcji WWF „Godzina dla Ziemi”. Ta prosta idea przerodziła się w największą na świecie inicjatywę społeczną. Co roku światła gasną nie tylko w prywatnych mieszkaniach, ale także w najbardziej charakterystycznych budynkach na całym świecie: wieży Eiffla czy Operze w Sydney. W Warszawie na „ciemną stronę” przejdą PKiN oraz Zamek Królewski, w Katowicach Spodek, a w Krakowie – Sukiennice i kopiec Kościuszki. → kw



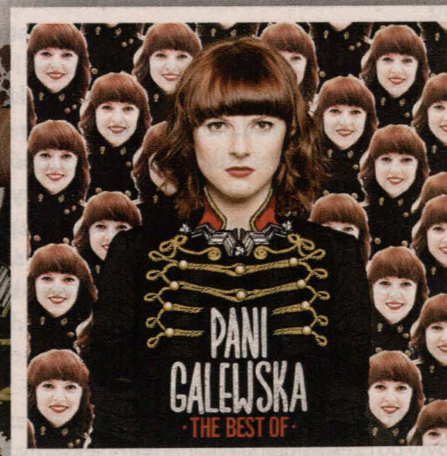
ROBERT GOSWICK/ON



BACZYŃSKI - muzyka i poezja z filmu
Album zawiera muzykę skomponowaną przez **Bartosza Chajdeckiego** oraz fragmenty slamu poetyckiego. Wydawnictwo promuje utwór „Baczyński - Pieśń o szczęściu” w wykonaniu duetu **Czesław Śpiewa i Mela Koteluk**.
W sprzedaży!

SYBERIADA POLSKA
Muzykę do filmu skomponował **Krzysztof Dębski**. Piosenkę promującą film, zatytułowaną „Syberjada”, wykonują **Anna Wyszkonji i Piotr Cugowski**.

W sprzedaży!



PANI GALEWSKA “The Best Of”
Pani Galewska prezentuje „The Best Of”. Debiutancki album, dzięki któremu Artystka daje światu to, co najlepsze. 10 utworów powstałych w wyniku fascynacji wokalem i dźwiękiem.
Premiera 19 marca 2013!

MIKROMUSIC “Piękny koniec”
“Piękny koniec” to płyta inna od wcześniejszych krążków, gdzie “koniec” oznacza również “początek”. “Piękny koniec” to rozważania o śmierci, miłości i końcu wszechświata, ale z dystansem i przymrużeniem oka.

W sprzedaży!



Mikromusic Piękny Koniec

Dostępne w iTunes



AUKCJA

Sztuka wstaje z popiołów

Wspierajmy polską sztukę. Okazją do tego będzie aukcja charytatywna, z której cały dochód zostanie przeznaczony na urządzenie nowych pracowni artystów poszkodowanych w pożarze zabytkowej kamienicy przy ul. Inżynierskiej w Warszawie.

– Wszystkich rzeczy nie pamiętam, staram się ich sobie nie przypominać – opowiada o utraconych pracach Karol Radzi-szewski. W spalonych pomieszczeniach miało swoje atelier kilkunastu artystów, funkcjonował klub Sen Pszczoły i Teatr Remus. Swój dorobek stracili znani malarze, fotograficy, rysownicy, twórcy instalacji i filmów video, performerzy, wśród nich Nicolas Gropierre, Piotr Kopik, Agnieszka Kicińska i Jan Mioduszewski. Ich koledzy artyści dopisali. Wspólnie z galeriami sztuki, organizacjami i osobami prywatnymi ofiarowali na aukcję w sumie 140 prac. Są wśród nich dzieła Pawła Althamera, Rafała Bujnowskiego, Roberta Kuśmirowskiego i Maurycego Gomulickiego. Wszystkie będą miały cenę wywoławczą 200 zł. Można je oglądać na Facebooku, stronach Artvolver, Artinfo i domu aukcyjnego Polswissart.

– To duża strata dla kultury polskiej. Od II wojny światowej nie zdarzyło się, żeby w jednym pożarze zginęło aż tyle prac. Ci artyści dali wiele od siebie, teraz środowisko chce im pomóc. Uważam, że ta akcja ma sens, choć niektórzy nam zarzucają, że jest wiele innych potrzeb. Gdy czyta się listę strat, widać ogromnisz zniszczeń. Spaliły się nie tylko prace, ale również narzędzia. Pieniądże zbieramy na wyposażenie pracowni, na nowy start – mówi Michał Krasucki, historyk sztuki i współorganizator aukcji. – Wszystko zaczęło się od informacji na Facebooku. W ciągu kilku godzin do współpracy przyłączyli się kuratorzy Katarzyna Szydłowska i Konrad Schiller oraz Fundacja Nizio i Fundacja Kultury Polskiej. Chciałbym, żeby ta aukcja stała się pretekstem do integracji środowiska artystycznego, platformą do dyskusji wokół problemu pracowni artystycznych – dodaje.

Aukcja już w najbliższą sobotę 23 marca o godz. 13 w bibliotece przy ul. Koszykowej 26 w Warszawie. Wystawa przedaukcyjna zostanie otwarta w czwartek. → eb

WYSTAWA

Triatlon z sercem Chopina

Guido van der Werve to holenderski pianista i performer. W swoim projekcie od-tworzył trasę, którą przebyło serce Fryderyka Chopina w 1849 r., pomiędzy warszawskim kościołem św. Krzyża a paryskim cmentarzem Père Lachaise. Artysta pokonał 1700 km w ciągu 20 dni w formie triatlonu. W warszawskim CSW można oglądać film „Numer czternaście, dom”, w którym zarejestrował swój wycieczny.

Trasę z Warszawy do Paryża można przebyć na dziesiątki różnych sposobów. Dlaczego akurat triatlon?

Zacząłem go uprawiać trzy lata temu. Z czasem trenowałem coraz więcej, ok. 25 godzin tygodniowo. Potem pojawił się pomysł, żeby w soundtracku filmu było requiem, którego struktura jest podzielona na trzy części, tak samo jak triatlon (pływanie, maraton i kolarstwo).

Co łączy sztukę performance'u ze sportem?

W biografii Chopina trafiłem na fragment o jego ostatnich słowach przed śmiercią: „Nie czuję więcej bólu”. Podobne uczucie pojawia się, gdy uprawiasz sport wytrzymałościowy. Organizm produkuje endorfiny, ćwiczysz płuca i serce, by puls był minimalnie niski. Wysiłek fizyczny i wyczerpanie sprawiają, że sztuka staje się niezwykle realna, w przeciwieństwie do aktorstwa i fikcji.

Tak bardzo realne, że trasę pływacką przebył pan Wisłą.

Wisła ma silny nurt i dodaje prędkości, choć miejscami jest płytka na pół metra. Poza tym to otwarty kanał, więc jest dosyć brudna. Prawdopodobnie złapałem jakąś bakterię z wody, bo po 10 dniach miałem problemy z żołądkiem i musiałem brać antybiotyki. To było dosyć niekomfortowe, zwłaszcza że w ostatnim tygodniu musiałem codziennie przebiec dystans maratoński.

W filmie poza Chopinem pojawia się też Aleksander Macedoński.

Chopin był na swój sposób bezdomny. Podobnie Aleksander. Wyruszył na wojnę i nigdy z niej nie wrócił. Wszystko szło dobrze, dopóki szedł naprzód z wojskiem. Zawrócił, kiedy jego ludzie naciskali, by wstrzymali pochód, ale nigdy nie dotarł do domu, bo zmarł. Poza tym do dziś trwa spór pomiędzy Grekami a Macedończykami, czyim bohaterem jest Aleksander. Podobnie jak z Chopinem, o którego zabiegają Polacy i Francuzi. Poczuliem jakąś bliskość takiego losu. Wyprowadziłem się z Amsterdamu siedem lat temu. Od tego czasu mieszkalem w różnych miejscach i miałem poczucie, że nigdzie nie przynależę.

Trasa jest odwrotna do tej pierwotnej, dlaczego?

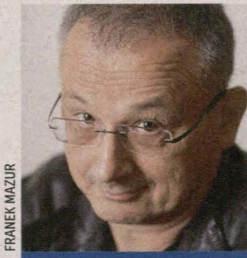
Przyczyny były po części pragmatyczne. Nurt Sekwany płynie w zupełnie przeciwnym kierunku do Polski, a nie mógłbym płynąć pod prąd, bo jest jeszcze silniejszy niż w Wiśle. Dlatego zacząłem od Warszawy. → Rozmawiał Marcin Kube



VIDEO ROOM, Guido van der Werve „Number Fourteen, Home” / „Numer Czternaście, dom” centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, Zamek Ujazdowski. Wystawa czynna do 24 marca. Projekcja filmu rozpoczyna się o równej godzinie i trwa 60 minut.

Mariusz Ziomecki

Gdzie nasz optymizm?



FRANEK MAZUR

Byliśmy naiwni jak alkoholik, który myśli, że gdy tylko przestanie pić, nie będzie miał już żadnych problemów.

Nie wiadomo jak i kiedy, ale zrobiło się nieciekawie – i to w skali globalnej. Może to jeszcze nie koniec świata, ale gdzie nie spojrzeć, poza Chinami i częścią Afryki, nastroje na przednówku 2013 są depresyjne. Wygląda na to, że cywilizacja, przynajmniej w jej z grubsza zachodniej odmęcie, znalazła się w defensywie.

Papież abdykował, a proces wybierania nowego, mimo wysiłków kolegów Durczoka, Kraśki i Gugały, jakoś nie wzbudził szczególnego zainteresowania. Chyba mało kto już wierzy, że kolejny namiestnik w Stolicy Piotrowej nada grzęznącemu chrześcijaństwu życiodajny impuls. Po świeckiej stronie rzeczy kryzys finansowy i gospodarczy mimo zaklęć wciąż nie chce się zakończyć, na dodatek wybija dech jednemu z najambitniejszych projektów współczesności – europejskiej integracji. O Japonii mówi się już tylko przy okazji trzęsień ziemi. Również Amerykanie, nieuleczalni, wydawało się, optymiści, są jacyś słabszeni: przestraszyli się życia na kredyt.

Pod naszej, polskiej stronie płotu też słabo. Spowiła nas jakaś dziwna mgła irracjonalizmu. Między rozkwitem egzorcyzmów, religią smoleńską, renesansem poglądów społecznych rodem ze średniowiecza, „premierem technicznym”, który okazał się tabletem, heterykiem Wałęsą, spęczniałym od szczawiu Niesiołowskim i niejałową profesorem Pawłowicz normalny człowiek ma ochotę iść się napić czegoś mocnego.

Ale problem jest chyba szerszy, cywilizacyjny. Z wielu ludzi nauki np. wyparowało przekonanie, że coś wiedzą. Japońscy sejsmolodzy wywiesili białą flagę po trzęsieniu ziemi w 2011 r., a ekonomiści, którzy jeszcze niedawno głosili, że już potrafią spełnić marzenie o nieustającym wzroście bogactwa narodów, pozostają ogłuszeni po zapaści rynków finansowych. Jak w czasie wielkiego kryzysu najbardziej utytułowani mędrcy wodzą się dziś za łby w kwestiach absolutnie elementarnych. Medialny Jeff Sacks (pomagał przy reformach Balcerowicza) zarzuca Paulowi Krugmanowi nierozumienie istoty problemu długu publicznego, tuż z le-gendarnej szkoły chicagowskiej wiszą u gardła również słynnego, arcysympatycznego Josepha Stiglitz... Gdy nobliści oferują rządowi biegunowo sprzeczne reko-

mendacje, czego możemy oczekiwać od polityków i przywódców?

Nauki medyczne też przestały generować triumfalne komunikaty. Już nie wyznaczamy, do kiedy „pokonamy” raka i „uwolnimy ludzkość” od tej czy innej plagi. Żyjemy dłużej i jakość ludzkiego życia wciąż rośnie, ale nie tak szybko jak kiedyś i kosztem już astronomicznym. Za to alarmy w laboratoriach włączają się regularnie. Jeden z ostatnich to wysyp lekoopornych odmian znanych od lat i, wydawało się, ujarzmionych mikroorganizmów chorobotwórczych. Badacze uprzejmie informują, że jeśli rządy i koncerny farmaceutyczne nie zauważą wreszcie problemu i nie zaczną na gwałt finansować badań nad radykalnie nowymi odmianami np. antybiotyków, to za 20 lat ludzie będą znów masowo umierali od banalnych zakażeń.

Dodajcie do tego stale pogarszające się prognozy globalnego ocieplenia (w miarę napływu danych pojawiają się opinie, że przyjdzie ono szybciej, niż sądzono, i będzie tak gwałtowne, że ludzkość może w ogóle nie przetrwać zmian klimatu...) oraz wypatrywanie komet, które mogą gruchnąć w matulę Ziemię i skrócić nasze męki. Mieliśmy kolejną kompromitację „czystej” energetyki atomowej. Nawet firma Boeing, kiedyś symbol technologicznej Ameryki, daje wszystkim powód do śmiechu w postaci uzimionego dreamlinera.

Tylko zabijający prasę Internet i zabijające ludzi technologie wojskowe wydają się wciąż rozwijać. Rządy zbroją się na potęgę, a na Półwyspie Koreańskim już zapachniało wojną, bo jeden z najbardziej klaustrofobicznych reżimów na planecie zdołał sklecić kilka bomb nuklearnych oraz prymitywne rakiety i teraz rzuca wyzwanie Wielkiemu Szatanowi. Czyż nie jest uderzające, że to tapnięcie nastrojów ludzkości nadchodzi tak szybko po zapowiedziach złotego wieku i końca historii, które miał przynieść koniec zimnej wojny? Byliśmy naiwni jak alkoholik, który myśli, że gdy tylko przestanie pić, nie będzie miał już żadnych problemów. Tymczasem dopiero teraz trzeba stawić czoła setkom wyzwani...

Na szczęście nadeszła wiosna. Czas otrząsnąć się z głupich myśli i brać się do roboty na własnym poletku! ☺

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.



MATERIAŁ ORGANIZATORA

Grzegorza Piątka, który przekonywał, że w Warszawie powinny być góry – zachęca Małgorzata Minta.

Pierwsza konferencja TED odbyła się 1984 r. z inicjatywy Richarda Saula Wurmana, twórcy terminu „architektura informacji”. Chciał zintegrować środowiska technologii, rozrywki i szeroko rozumianego projektowania. Udało się. TED-y gościły Billa Gatesa ujawniającego swoją wizję energetycznej przyszłości świata, Billa Clintona z pomysłem na zmianę systemu zdrowotnego w Rwandzie, Bono opowiadającego o potrzebach państw afrykańskich i Annie Lennox walczącej z AIDS. Ich przemowy można znaleźć pod adresem www.ted.com. Zamieszczone tam w lutym rady Esther Perel – jak utrzymać napiętność w związku i na czym opiera się dobry seks – obejrzało już ponad 1 070 320 osób. Pierwszym Polakiem na TED był grafik Jacek Utko – pytał, czy dobry design może uratować gazety.

Pasjonujące spotkania rozprzestrzeniają się po całym świecie dzięki TEDx – programowi udzielania licencji lokalnym konferencjom takim jak warszawska, krakowska czy poznańska lub organizowanym wokół przeróżnych tematów – 28 lutego na TEDxBroadway rozmawiano o przyszłości nowojorskiej sceny, a 10 kwietnia odbędzie się TEDxTimesSquare.

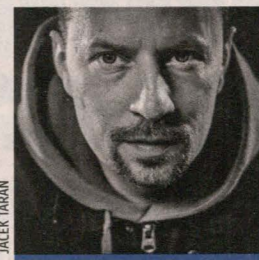
Tegoroczny TEDxWarsaw organizowany będzie pod hasłem „Poke the Comfort Zone”.

– Wspólnie chcemy sprowokować słuchaczy do porzucenia ram komfortu oraz do twórczego działania poza utartymi ścieżkami codzienności – wyjaśnia Małgorzata Minta. Wśród prelegentów znalazła się siostra Małgorzata Chmielewska, psychoterapeutka Katarzyna Miller, brytyjski futurolog i strateg Jonathan MacDonald, amerykańscy podróżnicy i blogerzy Audrey Scott i Dan Noll, wystąpi również zespół F.O.U.R.S.

Ci, którzy nie dotrą do Złotych Tarasów, będą mogli śledzić zjazd na bieżąco w Internecie. ☞

Michał Olszewski

Z poziomu morza



JACEK TARAN

Te sprawy wyglądają bardzo zrozumiale z poziomu morza: grupa mężczyzn wyprawia się po przygodę życia, najdalej, jak można, od banału codzienności, od kołowrotu, rutyny i kieratu, miejsc, w których ze zdarzeń spektakularnych mogą nas spotkać co najwyżej agresywny nowotwór albo bandyta na przystanku. Jadą w Himalaje, dwóch nie wraca.

Puste zakłęcia, którymi miłośnicy gór czarują laików, próbując zgasić refleksję na nizinach (słynna odpowiedź na pytanie o to, dlaczego chodzi się w góry: „Bo są”), nie zmieniają brutalnej prawdy: himalaiści giną tak jak wszyscy inni poszukiwacze mocnych wrażeń. Kiedy jednak ginie rajdowiec, nurek głębinowy czy spadochroniarz, szybko przechodzimy nad jego śmiercią do porządku dziennego, jakby ładunek dramatyizmu i symboliki zawarty w tym zdarzeniu był zbyt wątył, by przyciągnąć naszą uwagę na dłużej.

Co innego góry. Góry to jest, proszę państwa, sprawa tajemnicza i niedostępna, w górach niektórzy ocierają się o absolut, docierają do swojego wnętrza, słowem: robią wszystko to, co na nizinach jest niemożliwe. Góry domagają się grubych słów, o których my tutaj, zaplątani między porannym przedszkolem (znowu nie wzięliśmy kleju w sztyfcie), pracą (mój szef to debil), sprawunkami (jak kiszonki to tylko, panie, z Charsznicy) i zakładaniem działalności gospodarczej (jaki podatek pan wybiera?) dawno zdążyliśmy zapomnieć. Są to słowa, które śmiertelnikowi nie przechodzą przez gardło. Specjaliści od gór spieszą z pomocą i pomagają nam je sobie przypomnieć.

Ważny człowieczeństwo. Zawsze bałem się tego wyrazu, obchodzę go szerokim łukiem, jest długi, nieporęczny, graniczny, nie na mój rozmiar. Po śmierci Berbeki i Kowalskiego przeczytałem na przykład w „Tygodniku Powszechnym” wywiad z Piotrem Pustelnikiem, zdobywcą Korony Himalajów: „Himalaizm to test na człowieczeństwo. Człowieczeństwo: dbanie o swojego partnera bardziej niż o siebie samego”. Rozumiem. To znaczy, że tylko tam, powyżej 7 tys. metrów, można zdać ten trudny egzamin? Za-

pytam wprost: jakiej pychy trzeba, żeby wypowiadać takie słowa?

Albo wolność. W tym samym wydaniu gazety inny himalaista, Simone Moro: „Trzeba zrozumieć, że wybór alpinisty, w przeciwieństwie do wyboru, jakiego dokonuje polityk czy ojciec rodziny – to hymn na cześć wolności. (...) Nie można postawić tamy wolności”. Jeśli więc jesteś ojcem, wolno ci mniej niż himalaiście, zgodziłeś się, bracie, na ten znój, więc nie płacz, ale i nie próbuj śpiewać pełnym głosem. Tu, na nizinach (czepiam się uparcie tych sformułowań, bo i himalaiści używają ich chętnie, często budując wertykalną hierarchię), nie uczą co prawda śpiewu, ale podstawy logiki jeszcze przekazują, oczywiste więc jest pytanie, co się dzieje, jeśli ojciec jest himalaistą, jeśli te dwa zbiory na siebie nachodzą. Czy ma prawo wówczas śpiewać hymny, czy raczej powinien zamilknąć? Moro odpowiada: „Decyzja o wspinaniu się na ośmiotysięczną górę odnosi się tylko do tego człowieka i tylko on zna cenę, którą za to przyjdzie zapłacić – jemu oraz najbliższemu”. Gdybym miał to przetłumaczyć na język nizin, powiedziałbym, że Moro mówi, ni mniej, ni więcej, wara wam, maluczkiem, od naszych wysokogórskich wyborów. Wspiera go w „Wyborczej” Wojciech Fusek, pisząc, że „Wspinaczka to akt wolnej woli, akt oddania i miłości do gór, którego jedną z konsekwencji jest ryzyko”. To już nie jest himalaizm, to religia.

**Puste zakłęcia,
którymi miłośnicy
gór czarują laików,
nie zmieniają
brutalnej prawdy:
himalaiści giną
tak jak wszyscy
inni poszukiwacze
mocnych wrażeń.**

Autor jest prozaikiem, dziennikarzem, rzecznikiem prasowym polskiego oddziału fundacji ekologicznej ClientEarth.

Grubych słów w tych dniach pojawia się znacznie więcej. Słyszę nawet (tu znowu Piotr Pustelnik), że „Himalaizm wzmacnia poczucie odpowiedzialności. Bo nie ma nic bardziej wartościowego niż istota, którą trzymasz na końcu liny”. Chciałbym zakrzyknąć nawet: o, coś wiem o takiej linie, mimo że największe moje osiągnięcie wysokogórskie to Świnica, coś wiem, wiem, jak wygląda, jak często się napina, używamy jej przecież codziennie, to sprzęt w naszym domu podstawowy!

Chciałbym dołączyć do chóru, ale nie wypada.

Jeszcze ktoś powie, że zamiast hymn śpiewać, cienko piszcze, i wstyd będzie. ☞

EDYTA BORKOWSKA

Siła słów

Przyjadą do Warszawy z różnych stron świata. Tylko po to, by wygłosić kilkunastominutowy wykład, zarazić słuchaczy swoją ideą i rozproszyć ją po świecie. TEDxWarsaw odbędzie się 21 marca w Multikinie Złote Tarasy.

Jest niezależną konferencją z licencją TED (Technology, Entertainment and Design). Pod tą marką kryją się interdyscyplinarne spotkania odbywające się co roku w Long Beach w Kalifornii. Gromadzą one ludzi z pasją, dzielących się swoimi innowacyjnymi pomysłami i historiami z publicznością w treściwych, zajmujących maksymalnie 18 minut przemówieniach.

– Na scenie TEDxWarsaw pojawiają się naukowcy, ludzie biznesu, artyści,

aktywiści społeczni. Prelegentów wybieramy kilka miesięcy przed konferencją. Niektórzy sami się zgłaszają, inni są z polecenia. Za wystąpienia nie pobierają honorariów – mówi Małgorzata Minta, rzecznik prasowy oraz jeden z organizatorów TEDxWarsaw 2013.

– W konferencji uczestniczyć może 800 słuchaczy, należy się zarejestrować na stronie tedxwarsaw.com. Na niej znajdują się też filmy z poprzednich zjazdów, np. wystąpienie architekta

PATRYK CHILEWICZ, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Młodzi złodzieje w natarciu

Okraść sąsiada albo staruszkę to obciach. Ale kradzież w supermarkecie lub oskubanie korporacji przez młodych ludzi zaczyna być traktowane jak **rodzaj sportu ekstremalnego**. Dziś przywłaszczenie sobie przedmiotu o wartości do 250 zł to wykroczenie, nie przestępstwo. Teraz rząd proponuje, by podnieść ten limit do 1000 zł. Czy przybędzie nam złodziei dla sportu?

ostatnio wyniosłem z H&M okulary przeciwsłoneczne – mówi Maciek z Wrocławia. – Nie wiem, ile kosztowały. Zrobiłem to, bo czasami lubię coś ukraść. Lubię to uczucie, wyzwalającą się wtedy adrenalinę, że ktoś może mnie przyłapać – tłumaczy i dodaje bez odrobiny skruchy: – Nie miałem wyrzutów sumienia, bo nie lubię tego sklepu. Jeśli najdzie mnie ochota, zrobię to jeszcze raz.

Maciek na „łowy” często wychodzi z kolegą w średnim wieku. Ten drugi pracuje na wysokim stanowisku w korporacji, dobrze zarabia i nie pasuje do profilu złodzieja, który kształtował się w naszych głowach od lat. – Nie jesteśmy złodziejami, bo nie ukradłbym komuś czegoś podczas imprezy. To w ogóle nie o to chodzi – przekonuje chłopak.

– Zaprzeczanie w stylu „nie jestem złodziejem” jest typowe w grupie młodocianych złodziei sklepowych – tłumaczy dr Jarosław Kulbat, psycholog społeczny i wykładowca we wrocławskiej filii Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Podobnie jak uzasadnianie kradzieży poprzez traktowanie ich jak przejawu partyzanckiej walki ze złym systemem. Tego rodzaju wy-

jaśnienia służą najczęściej racjonalizacji swojego niemoralnego postępowania – dodaje.

Metod na kradzieże w sieciówkach z ubraniami jest kilka. Niektórzy wyrwiają klipsy zabezpieczające, lecz wtedy zostają dziury, które są znakiem rozpoznawczym osób wynoszących ze sklepów. – Tak robią amatorzy, nie ma sensu niszczyć ciucha – tłumaczy Dorota. Ta z kolei zainwestowała w obcęgi, którymi w łatwy i niepozostawiający śladów sposób obcina zabezpieczenia. Robi to zawsze w przymierzalniach, w porach szczytu. Tak jak większość złodziei z sieciówek, kradnie najczęściej popołudniami, gdy ludzi jest tak wielu, że sprzedawcom czy ochroniarzom trudno się zorientować, ile rzeczy wnosi się do przymierzalni, a ile wynosi.

Rysopis sprawcy

Profil drobnego złodzieja uległ dużej transformacji. To już nie tylko element społeczny, przed którym ostrzegali nas matki. Dziś kradną zarówno bezdomni, jak i studenci filologii. Różnią się tylko ich potrzeby – tych pierwszych najczęściej motywuje głód, tych drugich uzależnienie od adrenaliny i niespotykanych gdzie indziej emocji. Potwierdza

to dr Kulbat: – Z badań sondażowych prowadzonych wśród osób, które przyznają się do kradzieży w sklepach lub zostaną złapane, nie wyłania się spójny profil psychologiczny. Złodziej sklepowy może należeć do każdej grupy społecznej. Jego pochodzenie czy stopień zamożności mogą natomiast wpływać na wybór przedmiotów, które stają się celem kradzieży: im wyższy status społeczny, tym bardziej wartościowe czy luksusowe łupy.

Apogeum emocji jest zawsze przy bramce. – To nie jest robota dla amatorów – mówi Dorota. – Ja też kiedyś zaczynałam, denerwowałam się, przechodząc przez bramkę, choć wiedziałam, że alarm nie ma prawa się włączyć. Ochroniarz to wyczuł i zatrzymał mnie do przeszukania – opowiada dziewczyna. Sama jest studentką czwartego roku Uniwersytetu Warszawskiego i nie ma prawa narzekać na swój los – rodzice opłacają jej studia, kawalerkę i życie poza rodzinnym domem. Sama też nigdy nie miała problemów z prawem, poza drobnymi mandatami nigdy nic się jej nie przytrafiło, dlatego dba, by kradzione przedmioty miały wartość poniżej 250 zł ustalonych w prawodawstwie.

750 złotych bonusu

250 zł to kwota graniczna, która oddziela wykroczenie od przestępstwa. Gdy zostaniemy przyłapani na kradzieży poniżej tej sumy, dostaniemy grzywnę, lecz gdy ją przekroczy, teoretycznie powinniśmy mieć założoną sprawę sądową. Z tym bywa różnie – bardzo często tego typu sprawy są umarzane lub prokuratura nadaje im status niskiej szkodliwości społecznej.

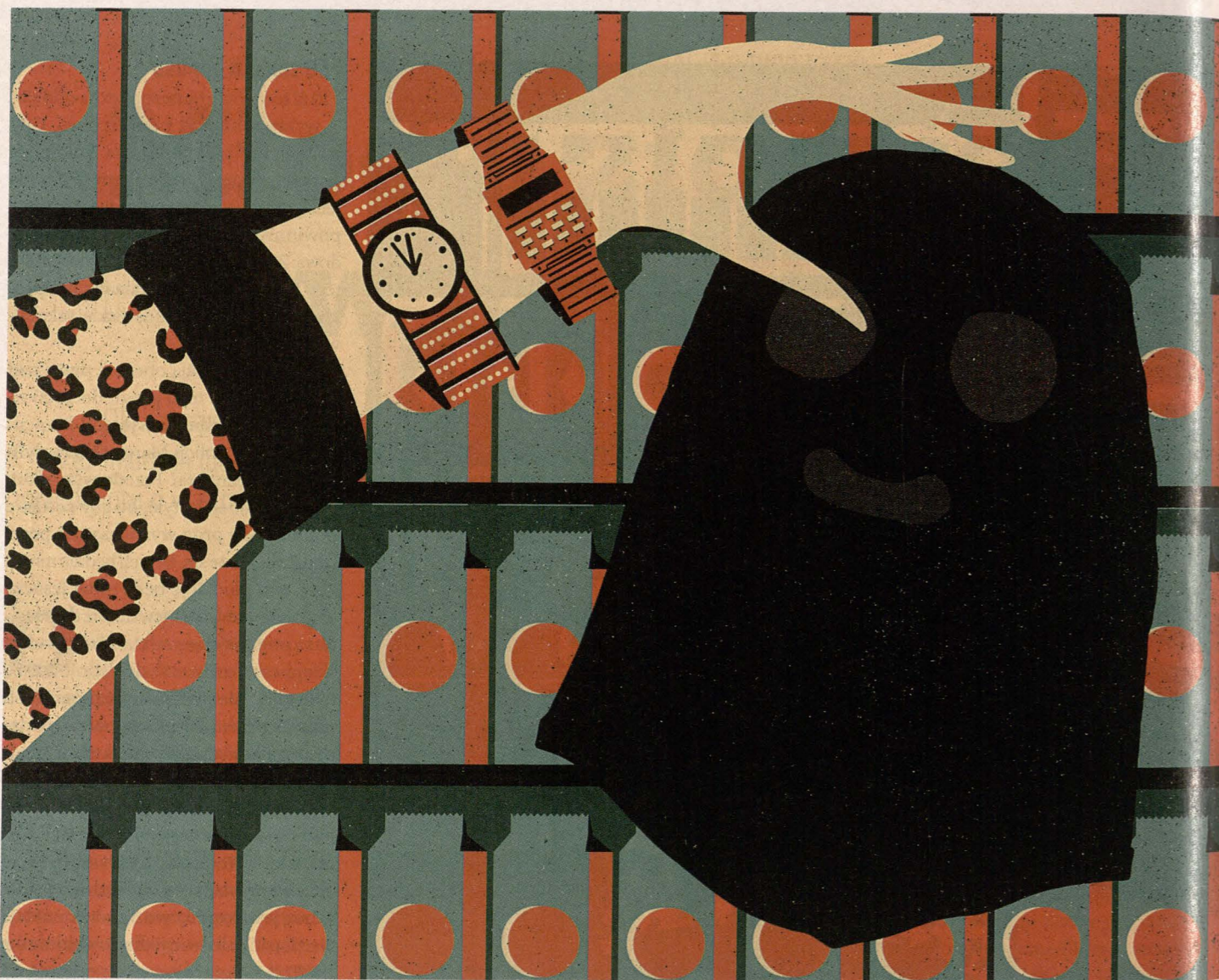
W Sejmie trwają obecnie prace nad podniesieniem tego progu do 1000 zł. O zmianę w ustawie wystąpił komendant główny policji Marek Działoszyński. Co to oznacza? Przede wszystkim poprawią się statystyki, bo gdy zostanie podniesiony próg wyznaczający przestępstwo, okaże się, że tych będzie mniej. Poza tym złodzieje będą mieli jeszcze większe pole do manewru. Już dziś znane są podmiejskie szajki, które okradają sklepy często nawet za dokładnie 249 zł, byle tylko nie przekroczyć progu. Jeśli ustawa przejdzie przez polski parlament, pula „darmowych zakupów” podskoczy do 1000 zł.

Kulbat zaznacza, że przypadki złapania złodzieja na gorącym uczynku są rzadkie. – Według różnych szacunków ryzyko przyłapania na kradzieży sklepowej jest stosunkowo niewielkie, udaje się złapać zaledwie jednego delikwenta na 40. A okazja czyni złodzieja – wśród amerykańskich licealistów do przynajmniej jednej kradzieży sklepowej przyznaje się 11 proc. respondentów. Dziewięciu na dziesięciu nastolatków przyznaje, że zna kogoś, kto dokonał kradzieży w sklepie. Kradzieże stają się więc w niektórych grupach równieśniczym elementem stylu życia, który widać na przykład wtedy, gdy nastolatek uzasadnia swoje zachowanie presją społeczną otoczenia: wszyscy kradną, więc ja też kradnę.

Podatek od kradzieży

Przeciwko przepisowi, który chce wprowadzić rząd, protestuje m.in. Polska Organizacja Handlu i Dystrybucji. Zwra-





ca ona uwagę, że zmiana prawa będzie skutkowałą jeszcze większymi kosztami tzw. polityki bezpieczeństwa, która, jak wylicza dyrektor organizacji Karol Stec, wynosi już ponad 5 mld zł. – Dla mnie to świetna informacja – cieszy się Dorota. Gdy pytam ją o wyrzuty sumienia, odpowiada: – T-shirt w sieciówce kosztuje zwykle 30–60 zł, a jego wyprodukowanie grosze. Dzieciaki w Azji harują, byśmy mogli poczuć się modnie. Czy można okradać złodziei?

Okazuje się, że tłumaczenie Doroty jest wśród jej kolegów po fachu powszechne. – Według danych The Global Retail Theft Barometer straty dystrybuto-

rów i sprzedawców, które można powiązać z kradzieżami sklepowymi, wyniosły w 2011 r. w Stanach Zjednoczonych ponad 51 mld dol. Ta zawrotna suma musi zostać oczywiście właścicielom sklepów zrekompensowana i zazwyczaj rekompensata przyjmuje postać swoistego „podatku od kradzieży”, który płacą wszyscy w cenie produktów na półkach. Według amerykańskich szacunków każda rodzina wydaje w ten sposób mniej więcej 400 dol. rocznie – mówi dr Kulbat.

Kradnie się jednak nie tylko w sklepach z ubraniami. W grę wchodzi też sklepy budowlane czy nawet kawiarnie. – Ukradłam ze znajomym dwa kubki

ze Starbucksa. Oboje potrzebowaliśmy dużych naczyń na kawę do pracy. W końcu oni mają ich miliony, a produkcja pewnie kosztuje grosze – mówi Małgorzata z Warszawy. Sprawdziłem. Na stronie sieci kawiarni kubki ceramiczne kosztują ok. 80 zł, na aukcjach ich ceny wahają się od 20 do 120 zł. – Ostatnio się zastanawiałam, czy nie przydałby mi się drugi. Teraz mają takie ładne, pękate – dodaje fanka ceramiki.

Kradzione na wagę

Inaczej kradnie się w supermarketach. To możliwe dzięki coraz częstszemu wprowadzaniu kas samoobsługowych.

Ważąc daktyle, możemy nabici pestki słonecznika, a kupując frykasy z ciepłych krajów, bez problemu wbić ziemniaki. – Nikt praktycznie tego nie sprawdza, a można w ten sposób zaoszczędzić nawet kilkadziesiąt złotych. Ważne, żeby waga była podobna. Dla maszyny cena nie gra roli – twierdzi Mariusz, fan „taniach zakupów”.

Pomysłów na to, jak kraść, są tysiące. Internauci na blogach umieszczają poradniki typu „Jak kraść w Tesco?” czy „Jak jeździć na gapę?”. Co ciekawe, przyzwolenie społeczne na drobne kradzieże jest coraz większe, a przyznanie się wśród znajomych, że ukradło się T-shirt, coraz rzadziej wiąże się z ostracyzmem, a często ze zwykłym stwierdzeniem: „spoko”. Drobne złodziejstwo stało się dopuszczalne wśród młodych ludzi, choć nigdy w życiu nie ukradliby oni nie sobie nawzajem, nie okradliby też nikogo na ulicy.

– Dla niektórych sklepowych złodziei kradzież może stanowić okazję do uwolnienia się od negatywnego afektu, który często towarzyszy nudzie, złości czy doświadczanej depresji. Wyniki badań pomiaru afektu u złodziei sklepowych dowodzą, że jedna trzecia z nich doświadczyła stanów trwałego obniżenia afektu. To zdecydowanie częściej niż w populacji generalnej – mówi wykładowca SWPS. Słowa doktora Kulbata znajdują potwierdzenie w rzeczywistości. – Gdy byłem w szkole filmowej, mieliśmy zajęcia z operatorem, który dokumentował wydarzenia wojenne – mówi Sebastian. – Opowiadał nam, że tam uzależnił się od adrenaliny, a po powrocie do Polski czuł się zwyczajnie zbyt spokojnie. Wtedy zaczął chodzić do supermarketów i kraść drobne przedmioty dla samego wyzwolenia emocji – dodaje. W końcu operator zdecydował się na psychoterapię, która mu pomogła i rzucił niechlubny nałóg.

Co ważne, kradzieże sklepowe w XXI w. są niemalże anonimowe. W końcu okrada się bliżej nieokreśloną korporację, a nie konkretnego człowieka. Kiedyś, żeby sprzedać kradzioną rzecz, trzeba było korzystać z usług pa-

sera. Dziś mnogość serwisów aukcyjnych sprawia, że wymiana towaru i szybkie liczenie zysków są właściwie bezbolesne.

Złodziejski impuls

Jeśli propozycja PO wejdzie w życie, sprzedawcy będą mieli poważny problem. Poza definicją przestępstwa znajdują się rowery, telefony komórkowe, używane laptopy, sprzęt grający i odtwarzające muzyki. Elektronika ze względu na swoją masowość tanieje, co otworzy nowe wrota dla drobnych przestępców. Czy z niej skorzystają? – Nie myślałam o tym w ten sposób – przyznaje Dorota. – Rodzice zapewnili mi całą przydatną elektronikę, iPoda czy laptopa. Zawsze wynosiłam ubrania, ewentualnie jakieś

Złodzieje przed wejściem do sklepu nie planują kradzieży, decydują się na nią pod wpływem chwilowej zachcianki, potrzeby wzbudzonej widokiem produktu.

buty – tłumaczy. Z kolei Jarosław Kulbat uspokaja: – Ze sklepów najczęściej kradnie się rzeczy drobne. Od wielu lat niekwestionowanym liderem rankingów popularności wśród sklepowych złodziei są maszynki do golenia i wymienne ostrza.

Wyniki badań sondażowych prowadzonych wśród młodocianych złodziei sklepowych pozwalają przypuszczać, że niemal trzy czwarte dokonywanych przez nich kradzieży sklepowych ma charakter impulsywny: złodzieje przed wejściem do sklepu nie planują kradzieży, decydują się na nią pod wpływem chwilowej zachcianki, potrzeby wzbudzonej widokiem produktu.

Bartek swoją historię z kradzieżami rozpoczął w 2009 r. w Krakowie. – Moja współlokatorka kradła ciuchy w znanych sieciówkach typu Zara czy Peek & Cloppenburg. Sprzedawała je na Allegro oraz wśród znajomych. Po jakimś czasie wciągnęła w to mnie i mojego ówczesnego chłopaka – opowiada Bar-

tek. – Chodziliśmy do sklepu, wybieraliśmy, co chcemy, a ona szła do przymierzalni i zdejmowała zabezpieczenia zapalniczką (podpalane klipsy pękają) lub nożyczkami, później dorobiła się magnesu. My obserwowaliśmy, czy nikt się nie zorientuje – tłumaczy cały proceder chłopak.

W ten sposób grupka znajomych mogła dorobić nawet 3 tys. zł na głowę miesięcznie. – Nigdy nie brakowało mi pieniędzy, mam dobrze sytuowanych rodziców, ale kręciło mnie, że te ciuchy są kradzione – mówi Bartek. Ich szczęście nie potrwało jednak długo. Pewnego dnia do chłopaka zadzwoniła policja i kazała stawić się w komisariacie na Podgórzu. – Okazało się, że moja współlokatorka ukradła dwie kurтки Armaniego o wartości 4 tys. zł. Złapali ją ochroniarze. Niedługo później policja przyszła do nas z nakazem przeszukania mieszkania, a tam wszędzie były kradzione ubrania – opowiada Bartek. Wraz ze znajomymi został zamknięty w areszcie do wyjaśnienia sprawy. Rodzice opłacili mu adwokata i ostatecznie skazano go na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszaniu na pięć lat, nadzór kuratora oraz karę grzywny w wysokości 3 tys. zł. – To i tak niewiele, biorąc pod uwagę, że straty oszacowano na 30 tys. zł, choć były o wiele większe – mówi. Wieść o sprawie szybko się rozeszła po mieście i chłopak musiał z niego wyjechać. Po latach wspomina: – Nie mogę uwierzyć, że kiedyś to wszystko robiłem. Wyrzucili mnie z pracy, ze szkoły, zabrali wszystkie ciuchy, bo były kradzione. W życiu bym tego nie powtórzył.

Mimo zatrważających statystyk doktor Kulbat uspokaja. – Rosnąca systematycznie wraz z wiekiem umiejętność odraczania gratyfikacji, samokontroli sprawia, że większość młodocianych złodziei wyrasta z fazy sklepowych kradzieży.

Bartek już z nich wyrósł, reszta ma jeszcze szansę, dopóki ostrzegawczy alarm na bramce sklepowej jeszcze nie zadzwonił.

Imiona bohaterów zostały zmienione.

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA, ZDJĘCIE KAROL GRYGORUK

Spójrz na mnie!

Drobna kradzież to okrzyk frustracji, często nie tyle prywatnych, ile systemowych i społecznych. Świat, którym rządzą dorośli, wyklucza młodych, którzy buntują się, oddając się drobnej przestępczości. O tym, co gryzie młode pokolenie złodziejasków, opowiada doktor socjologii **Tomasz Sobierajski**.

Drobne kradzieże często nie są powodowane sytuacją finansową tych, którzy ich się dopuszczają. Z czego więc wynikają?

Patrząc na to z punktu widzenia psychiatrii, możemy mieć do czynienia z kleptomanią. Jednak to rzadkość. Dużo częściej jest to społeczny syndrom „look at me” – spójrz na mnie.

Kto ma spojrzeć na tych złodziejasków? Do kogo jest skierowany komunikat „look at me”?

Do rodziców, ale też szerzej – do społeczeństwa. Dobrym punktem wyjścia do tej dyskusji jest hasło: „Jesteśmy przyszłością”. Mówią to i wierzą w to obecnie ludzie z różnych pokoleń – 20-, 30-, 40-latkami i starsi też, bo mają władzę. Kiedyś było inaczej, to hasło było zarezerwowane dla pokolenia młodych. Wiązało się z siłą, energią i potrzebą rewolucji, szczególnie mocną w tej grupie wiekowej. W efekcie młodzi ludzie dostają komunikat: „Przyszłością jesteśmy wszyscy”. I rozumieją go: „Aha, czyli nikt, a już na pewno nie my”.

Gdzie to ustawia młodych ludzi?

To jest grupa, o której mówi się w dwóch przypadkach: kiedy coś zbroją – ukradną, zniszczą, zabiorą – lub tuż przed wyborami, kiedy wzywa się ich do urn, łasząc się do nich i mając obietnicami nie do spełnienia. Nie tylko w Polsce tak jest. W Ameryce przed zeszłorocznymi wyborami prezydenckimi młodzież nagle stała się najważniejszą grupą społeczną. To cyniczna gra, która pozbawia ich złudzeń. Poza tymi okolicznościami młodych ludzi

w dyskursie publicznym praktycznie nie ma. Wyparci są przez inne, silniejsze, bardziej wpływowe grupy wiekowe. Tymczasem oni widzą, że mają przed sobą niezbyt radosną przyszłość zgotowaną im przez dorosłych. Muszą płacić za dług publiczny, którego nie zaciągnęli, i za inne harce ekonomiczne swoich rodziców. Dostają w spadku zrujnowaną ekologicznie planetę zagrożoną w kryzysie ekonomicznym i społecznym. Patrzą na ten świat, który mają przejąć, którego są sukcesorami, i on im się nie podoba! Dorośli rzucają im zepsutą zabawkę i mówią: „Naprawcie to sobie”, a jednocześnie nie oddają ani skrawka władzy...

Młodych oskarża się o brak ideologii, zorganizowania. Wydają się nijacy, bo żadnej rewolucji nie przeprowadzili.

Tymczasem jest inaczej. Widać to najlepiej na przykładzie nowych mediów. To młodzi stworzyli, ożywili i zaludnili nowy obieg informacji. To jest ich rewolucja! Różnica jest taka, że wykreowali tę nową płaszczyznę bez niszczenia wszystkiego innego po drodze. Buntownicy lat 60. i 80. patrzeli na nich i nie rozumieją wartości tego, czego dokonali. Nie dostrzegają, że młodzi ludzie przez ostatnie kilka, kilkanaście lat przeprowadzili pełzającą rewolucję, w której skład wchodzi Internet, media mobilne, społecznościowe, nie bawiąc się przy tym w niepotrzebną martyrologię. To epokowa zmiana.

Kradzież jest wbudowana w ten nowy wirtualny porządek. Piractwo jest wpisane w roz-

wój tej dziedziny, tak jak kiedyś w handlu morskim.

Pamiętaj o tym, że rodzice dzisiejszej młodzieży i młodych dorosłych są zaprzęgnięci kredytami do pługu pracy i budowania burżuazyjnej stabilizacji, więc nie mają czasu zaprzętać sobie głowy tym, co wyrabiają ich prawie dorosłe dzieci. To „look at me”, które wynika z drobnej kradzieży, jest więc często próbą zwrócenia na siebie uwagi dorosłych i wynika z frustracji.

To jest zrozumiałe w przypadku kradzieży wykrytej. A jeśli kradzież uchodzi płazem? Co wtedy osiąga nasz młody złodziejask?

To jest rodzaj buntu. Dorośli mają nas w nosie, więc my ich robimy w konia. Nie zależymy od nich, nie podlegamy im do końca. To jest działanie antysystemowe w reakcji na to, że ich w tym systemie nie ma. Dorośli opierają się na zasadzie rezyliencji – czyli charakterystycznym dla młodości procesie szybkiego dostosowania się do zmieniających się warunków – i żyją w przekonaniu, że młodzi na pewno sobie poradzą, poukładają świat po swojemu tak, żeby było im dobrze. Tymczasem jeśli przyjrzymy się Hiszpanii i Grecji, stwierdzimy, że młodzi radzą sobie raczej słabo w tym piekielku dorosłych.

System, o którym mowa, wspiera przeciw kradzież. Ekspozuje wartości materialne – przede wszystkim „mieć”, „posiadać”. A cel uświęca środki...

Tak, to prawda, że komunikat płynący z mediów i opowieści starszych wyraźnie sugeruje, że nie da się uczciwie zro-



TOMASZ SOBIERAJSKI

doktor socjologii, adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych na UW, doświadczony metodolog, badacz i trener, stale współpracuje z Uniwersytetem Ankarским, fascynuje go neurosocjologia i fizyka kwantowa, autor bloga meskieczytanki.blogspot.com.

bić najłatwiej. W efekcie tego młodzi naśladują dorosłych, tak jak dziewczynka mierzająca szpilki matki, udająca dojrzałą kobietę. Młody chłopak lub dziewczyna wynoszący ciuch ze sklepu też udają dorosłego oszukującego na podatkach, działającego w luce prawnej, dorabiającego się na prywatyzacji czy biorącego łapówki.

Ciekawa jestem tych wartości. Pracujesz ze studentami jako wykładowca. Jakie oni mają wartości nadrzędne?

Wszystko się zrelatywizowało. Nierozliczenie przestępców, czy to politycznych, czy ekonomicznych, jest częstym zjawiskiem w naszych czasach. Nie ma winnych. Zatem skąd młodzi ludzie mają brać budulec do konstruowania swojego twardego kręgosłupa moralnego? Z kosmosu? Młodzi powielają

zachowania dużych. Ci drudzy przevalają miliony, ci pierwsi kilkadziesiąt złotych, ale mechanizm jest ten sam, choć skala zepsucia na szczęście nie. Miałem ostatnio zajęcia z etyki ze studentami. Zapytałem ich, czy jest jakaś uniwersalna zasada etyczna, która jest nienaruszalna i obowiązuje wszystkich ludzi. Było to pytanie o fundament uniwersalnego, ludzkiego systemu wartości. Zadałem je i na sali zapadła cisza. Patrzyli na mnie, szukając u mnie pomocy.

Nie wymienili nawet tak zwanej złotej zasady – nie rób innym tego, czego nie chcesz, by czynili tobie?

Nie. Dlatego że zawsze znajdzie się jakaś grupa, kultura lub sytuacja, która dopuszcza złamanie tych zasad, nawet zabójstwa i kradzieży. Wszystko jest relatywne i możliwe do uzasadnienia.

A jaki wpływ ma kradzież na społeczność?

Czytałem ostatnio „Cocaine Nights” J.G. Ballarda, który postulował, że drobna przestępczość pobudza społeczności i je scala. Potwierdzasz?

Kradzież potrafi solidaryzować ludzi, ale tymczasowo i w obronie własnej. Nigdy nie posunąłbym się do stwierdzenia, że jest zjawiskiem potrzebnym bądź pozytywnym.

A co ze statusem społecznym?

Tu bywają korzyści. Złodziej ma poczucie zwycięstwa. Myśli: pokonałem cię, jestem lepszy, wykorzystałem twój brak czujności, twoją słabość. To jest taka zabawa w bycie zawsze o krok do przodu. Tak działają hakerzy, najwięksi, najskuteczniejsi dekonstruktorzy systemu. To rodzaj wyścigu, przepychanki.

A więc kradzież jest mechanizmem wspierającym postęp i innowacje?

Może tak być, chociaż nie nazwałbym tego postępem, ale raczej łątaniem dziur. Złodzieje pokazują nam, gdzie są luki, czego nie zakłajstrowaliśmy. To rodzaj testu dla jakości zabezpieczeń. Jednak w długofalowej perspektywie kradzieże są bardzo destrukcyjne społecznie. Budują poczucie zagrożenia, podważają zaufanie do sąsiadów lub poszczególnych grup społecznych.

Czyli drobne kradzieże osłabiają nasze poczucie wspólnoty?

Efekty tego są wyczuwalne na co dzień. Gdy wchodzę do sklepu, nie jestem traktowany jak klient, tylko obserwowany jak potencjalny złodziej. Polacy mają skłonność do podejrzliwości, więc drobna przestępczość utrwala odruchy, które osłabiają nasze więzi społeczne. Niestety, kradzież nie jest kojącym rozwiązaniem na ból młodego pokolenia, nawet jeśli potrafi dostarczyć chwilowego zastrzyku adrenalin i ujęcia dla ich frustracji. Lepszym wyjściem z sytuacji byłoby, gdyby starsi przestali udawać młodych, tylko zaczęli z nimi rozmawiać, słuchać ich i pozwolili im podejmować decyzje, bo to oni są przyszłością. ☞

MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA SONIA SZÓSTAK

Kulturalni reformatorzy

Zmianowanie **skostniałych instytucji kultury** w miejsca nowoczesne to zadanie arcytrudne. Są jednak tacy, którzy się go podejmują.

Ato nie tylko kwestia dobrego pomysłu i wprowadzenia go, ot tak, w życie. Bo pomysł i zapal to jedno, a rzeczywistość to drugie. Wielu było takich, co chciało dobrze, dużo chciało, ale w zderzeniu ze skalą, ludźmi, związkami zawodowymi, biurokracją, niejednokrotnie absurdalnym prawem, naciskami politycz-

nymi, chronicznym niedofinansowaniem, niekończącymi się donosami tak zwanych życzliwych i tysiącem innych, nieprzewidywanych czynników, po prostu poległo.

Chyba najbardziej spektakularną próbę radykalnej reformy kulturalnego molocha podjął profesor Piotr Piotrowski, który na początku 2009 roku objął

Dorota Serwa, po latach pracy w Warszawie, wróciła do Szczecina, by ze skostniałej i trzecioliigowej Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza zrobić gorący muzyczny adres.

stanowisko dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie. Szybko przegrał starcie z pracownikami i podał się do dymisji półtora roku później. Na jego miejsce przyszła z Zachęty Agnieszka Morawińska. Zmienia muzeum metodą małych kroków. Na razie się sprawdza.

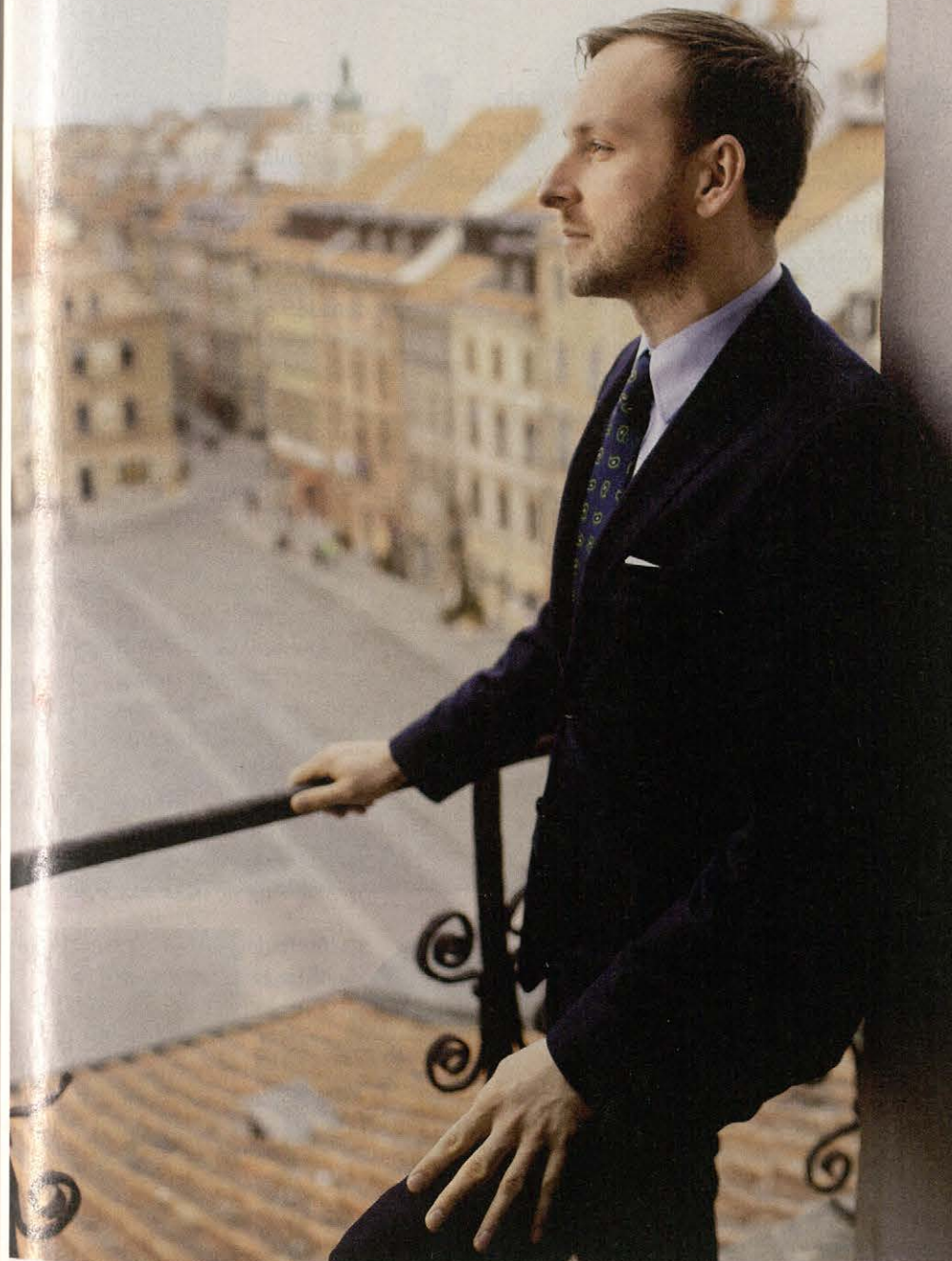
Niedawna łapanka na szefa Muzeum Narodowego, obecna łapanka na dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich czy problem ze znalezieniem odpowiedniego kandydata na dyrektora Filharmonii Narodowej pokazują dwie rzeczy. Po pierwsze, lista potencjalnych kandydatów do profesjonalnego pokierowania dużymi instytucjami kultury jest niezwykle krótka. Po drugie, stanowiska dostaje zwykle tak zwana stara gwardia albo znajomi królika.

Są jednak i takie przypadki, miejmy nadzieję coraz częstsze, że kulturalnymi molochami chcą kierować młodzi ludzie, którzy – wiedząc o żalonych pensjach, jakie dostaną i niezliczonych problemach, które będą musieli pokonać – mają ambicję wielkich zmian. Nieruchawe dinozaury mają być teraz zwinne.

Nie ludzie dla nas, tylko my dla ludzi

– Wielu znajomych, a także współpracowników z dużym zaskoczeniem i zdziwieniem przyjęło moją decyzję o wyjeździe do Szczecina. Dla nich wyjechanie z Warszawy do miasta położonego na jakiejś innej planecie nie mieściło się w głowie. Szczególnie, że rewolucji życiowej nie towarzyszył superpłatny kontrakt – śmieje się Dorota Serwa (rocznik 1972), która we wrześniu zeszłego roku objęła funkcję dyrektorki Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie. Filharmonii, ujmując sprawę dyplomatycznie, bardzo słabej. Nieumiejącej przyciągnąć ani młodych melomanów, ani choćby połowy jakiegoś czołowego krytyka muzycznego.

Adam Suprynowicz, radiowa Dwójka: – Szczecińska filharmonia nie należała dotąd do istotnych instytucji muzycznych na mapie Polski. Nic szcze-



Serwa jest muzykolożką po Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i specjalistką od zarządzania zasobami ludzkimi. Przez lata zajmowała się funduszami europejskimi, będąc między innymi wicedyrektorką Narodowego Centrum Kultury.

– Zawsze interesowały mnie kreacja, kwestie organizacyjne, realizowanie projektów, animacja kultury. Decyzja o kandydowaniu na stanowisko dyrektorki filharmonii była chyba dość naturalnym krokiem. Tu mam rodzinę, przyjaciół i wyzwanie, by zrobić z filharmonii instytucję nowoczesną. Know-how przywożłam z Warszawy.

W konkursie pokonała dwanaście osób. Czym przekonała komisję? – Przede wszystkim dobrze się przygotowałam i przedstawiłam wizję prężnie działającej instytucji, która powinna być bardzo ważnym adresem na mapie miasta. Musimy wysłać do mieszkańców komunikat, że jesteśmy otwarci, realizować programy edukacyjne dla różnych grup społecznych i programy okołomuzyczne. Wielkim zadaniem jest przyciągnięcie do nas młodych ludzi, którzy uważają filharmonię za nudną, skostniałą instytucję.

Do ogarnięcia jest sporo, bo 120 etatów, w tym 80 muzyków i żenująco niski budżet, w wysokości niespełna 6 milionów złotych. Filharmonia jest więc w tej chwili wielkim poligonem doświadczalnym, zmienić w niej trzeba wszystko: wypracować nowe procedury i zasady współdziałania, sposób funkcjonowania orkiestry, strategię rozwoju na lata, komunikację i identyfikację wizualną, co nie jest łatwe.

Największy opór stawia oczywiście orkiestra, której błogi spokój został zakłócony. Wprowadzono przesłuchania muzyków, każdy koncert jest teraz nagrywany i oceniany, orkiestra ma grać regularnie co tydzień. Rzecz jasna to wszystko musi być powiązane z odpowiednim systemem motywacji i lepszymi zarobkami, bo jeśli ktoś dostaje śmiesznie małe pieniądze i musi chałturzyć na boku, to trudno spodziewać się ciężkiej pracy i poświęcenia. – Ale mu-

gólnego się tam nie działo, nie jeździło się tam na koncerty i nadal się nie jeździ. Dlatego z wielką nadzieją patrzę na to, co robi tam nowa dyrekcja. Szczególnie dobrą informacją było nominowanie przez dyrektora Serwę Michała Dworzyńskiego na pierwszego dyrygenta. To jest z pewnością awans dla tego zespołu, bo Dworzyński to człowiek młody (rocznik 1978), ale z dorobkiem, nagrodami i pracujący z najlepszymi orkiestrami w Europie. Ruszyły także znakomite muzyczne programy

edukacyjne, bo nowa szefowa współpracowała z najlepszymi. Przez ostatnie sześć lat kierowała Działem Edukacji Kulturalnej Muzeum Powstania Warszawskiego, instytucji uchodzącej w tej materii za wzór z Sèvres. – Byłam tam odpowiedzialna za programy muzyczne, produkcję dużych wydarzeń, zarządzane projektami wydawniczymi i fonograficznymi, także festiwalu Niewinni Czarodzieje – mówi Serwa, z urodzenia nie warszawianka, a szczecinianka właśnie.

Jarosław Trybuś, obejmując funkcję wicedyrektora Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy, podjął się przekształcenia tego archaicznego kolosa w nowoczesną i tętniącą życiem instytucję.

zycy też muszą zrozumieć, że jeśli wystawiają swojemu nowemu pierwszemu dyrygentowi Michałowi Dworzyńskiemu ocenę 4,5 w skali 10 punktów, to sami się ośmieszają – mówi Adam Suprynowicz.

Wprowadzenie do publicznego molocha nowoczesnych standardów jest szalenie trudne. Przyzwyczajona do nich Dorota Serwa nie ukrywa nieustanne go zaskoczenia dotychczasowym sposobem działania filharmonii i podejściem do wielu spraw jej pracowników: – To wszystko jest kwestią mentalności, którą zmienić najtrudniej. Przed przyznaniem kwartalnych nagród uznaniowych poprosiłam muzyków o ich propozycje. Spytałam, kto w ich opinii jest najlepszy i zasługuje na premię. Nie otrzymałam informacji zwrotnej. Przygotowałam wobec tego kartę oceny według najlepszych standardów. Zaaoponowali. A na koniec usłyszałam, żebym wszystkim dała po równo.

Drugiej szansy na unowocześnienie i wejście w XXI wiek Filharmonia im. Karłowicza nie dostanie. A to dlatego, że w przyszłym roku zostanie otwarta (z rocznym opóźnieniem) jej nowa siedziba, zaprojektowana przez hiszpańskich architektów ze studia Barozzi Veiga z Barcelony. Powstaje w miejscu dawnego niemieckiego Konzerthausu.

– To będzie nowoczesne miejsce w dwiema salami koncertowymi na 951 i 192 miejsca (obecnie mam 428 foteli), galerią, kawiarnią. Ale – ciągle to powtarzam – o pozycji filharmonii zdecydować nie budynek, choćby był najwspanialszy, ale to, co się w nim będzie działo. I to jest moje, a właściwie nasze, największe wyzwanie. Już oczywiście zaczęliśmy wprowadzać wiele zmian. Próby generalne są otwarte dla młodzieży, wystartowaliśmy z programem dla kilkulatków i pytamy ludzi, czego od nas oczekują, bo nie oni są dla nas, ale my dla nich. Wierzę, że uda nam się filharmonię rozruszać.

Adam Suprynowicz: – Zmianę już widać, bo filharmonia szczecińska przestaje być wieżą z kości słoniowej, otwiera się na ludzi. I trzeba za powodzenie

Trybuś w skansenie? Część myślała, że to żart, a część gratulowała, ciesząc się, że może w końcu ktoś wyprowadzi to muzeum nawet nie z dwudziestego, ale dziewiętnastego wieku.

misji Doroty Serwy bardzo mocno trzymać kciuki.

Zmiany, zmiany, zmiany

120 pracowników, jeden gmach i blisko 6-milionowy budżet Filharmonii im. Karłowicza w Szczecinie to nic w porównaniu z 230 etatami, 11 kamienicami przy Rynku Starego Miasta, 8 oddziałami i 18 milionami na koncie. To już jest rzeczywistość jednej z największych i najbardziej zmurzałych instytucji kultury stolicy. Mowa oczywiście o Muzeum Historycznym Miasta Stołecznego Warszawy, które przykryte jest taką warstwą kurzu, że mało kto o nim słyszał. A jeśli nawet słyszał,

Michał Dworzyński, znakomity dyrygent młodego pokolenia, współpracujący z najlepszymi zagranicznymi zespołami, został niedawno I dyrygentem szczecińskiej filharmonii.

to z pewnością tam nigdy nie był. Właśnie zaczęło się wielkie odkurzenie.

Jesienią zeszłego roku prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz ogłosiła niespodziewanie, że nową szefową muzeum zostanie Ewa Nekanda-Trepka, która wcześniej, przez dekadę, pełniła urząd stołecznego konserwatora zabytków. I być może ta decyzja nie wzbudziłaby wielkiego zainteresowania, bo mało kogo Muzeum Historyczne obchodzi, gdyby nie jedna personalna nominacja samej Nekandy-Trepki. Zaproponowała ona bowiem fotel swojego zastępcy Jarosławowi Trybusiowi i to był prawdziwy wizerunkowy strzał w dziesiątkę. Facebook nie mógł w to uwierzyć. Trybuś w skansenie? Część myślała, że to żart, a część gratulowała, ciesząc się, że może w końcu ktoś wyprowadzi to muzeum nawet nie z dwudziestego, ale dziewiętnastego wieku.

– Dostałem tę propozycję na początku listopada zeszłego roku i przyznaję, że byłem kompletnie zaskoczony. Spotkaliśmy się kilka razy z panią Ne-



kandą-Trepką przy różnych okazjach, i tyle. Nie łączyły nas jakieś ściślejsze stosunki. Rozważyłem jej ofertę kilka tygodni i pomyślałem, że taka szansa, to znaczy kompletna reforma skostniałej instytucji kultury, zdarza się nieczęsto i warto podjąć wyzwanie – mówi Jarosław Trybuś.

Sam Trybuś (rocznik 1976) nie jest rodowitym warszawiakiem. Urodził się i wychował w Bydgoszczy, studia (historię sztuki) skończył na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i 9 lat temu przyjechał do Warszawy. Jest prawdziwym elegantem ze sznytem retro. Zawsze nienagannie ubrany, na biurku MacBook i iPhone, notatki w Moleskinie tylko wiecznym piórem, kawa w pięknej filiżance. Mówiąc, zawsze waży słowa, ale nie uprawia pseudourzędniczego bełkotu. Mógłby z powodzeniem zostać polskim ambasadorem w Paryżu. Może kiedyś zostanie.

Warszawa go kompletnie wciągnęła i zafascynowała. Zaczął się nią zajmo-

wać zawodowo. Pracował w Instytucie Stefana Starzyńskiego, gdzie prowadził wykłady o architekturze Warszawy, wraz z Grzegorzem Piątkiem opracował kilka „Archimap” poświęconych m.in. stołecznej architekturze dwudziestolecia międzywojennego i socrealu, wydał znakomicie przyjęte książki „Przewodnik po warszawskich blokowiskach” i ostatnio „Warszawę niezaistniałą”. Dużo Warszawy w najlepszym, nowoczesnym wydaniu.

Agnieszka Kowalska, dziennikarka „Stołecznej Gazety Wyborczej”: – Zaskoczyło mnie, że Trybuś podjął się tego zadania. Bo zreformowanie skostniałego Muzeum Historycznego wydaje się jeszcze trudniejszą misją niż wprowadzenie w XXI w. Muzeum Narodowego.

Żeby zrozumieć skalę reformy, jaką ma zamiar przeprowadzić nowe kierownictwo muzeum, trzeba wiedzieć, że Muzeum Historyczne ma oprócz wielu kamienic składających się na jego centralną siedzibę na Starym Mieście,

Tomasz Makowski zna Bibliotekę Narodową na wylot, dzięki czemu wprowadza sukcesywnie tego nieruchawego molocha w XXI wiek.

mnóstwo oddziałów: Muzeum Woli, Muzeum Farmacji, Muzeum Drukarstwa, Muzeum Ordynariatu Polowego, Muzeum w Palmirach, Ośrodek Korczakianum i Muzeum Warszawskiej Pragi (w budowie). Prawdziwe królestwo, ale na glinianych nogach. Marka, jeśli w tym przypadku można w ogóle użyć takiego słowa, jest słabo rozpoznawalna, to właściwie wizerunkowy koszmar, a program jest tak zupełnie nieatrakcyjny. Od lat ton wielkim warszawskim projektem kulturalnym nadają Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Dom Spotkań z Historią i niezmiennie popularne Muzeum Powstania Warszawskiego. Przy nim Muzeum Historyczne wypada jak ubogi krewny.

– Zdajemy sobie z tego wszystkiego sprawę, dlatego chcemy przywrócić Muzeum Historycznemu należne mu miejsce – mówi Trybuś i dodaje: – Zainteresowanie Warszawą jest ogromne. Miasto zasługuje na instytucję, która będzie o nim mówiła wieloaspektowo





MATERIAŁ PRASOWY

i atrakcyjnie. Nikt nie ma lepszych i bardziej fascynujących zbiorów warszawskich niż my. O pracownikach z ogromną wiedzą o stolicy nie wspominając. Dlatego wierzę, że dzięki temu wszystkiemu stworzymy wyjątkowy i bardzo atrakcyjny program.

W przeprowadzeniu reformy pomagana planowana przebudowa. Do końca tego roku główna siedziba muzeum (11 kamienic) zostanie opróżniona i rozpocznie się generalny remont, po którym zostanie otwarta nowa i nowoczesna wystawa stała. Wszystko ma być gotowe w roku 2017. – Ta nasza wyprawka, która jest skomplikowana logistycznie, jest też błogosławieństwem, dzięki niej bowiem musimy przejrzeć dokładnie wszystko, co mamy. Równolegle tworzymy nowy statut, nowy regulamin, nową strukturę, nową wizję i misję, strategię rozwoju do roku 2025, nowy plan wystawy stałej. Wszystko nowe – cieszy się Trybuś.

Pracownicy, trochę chyba zszokowani skalą zmian, wiążką z nimi spore nadzieje, choć są też obawy, to naturalne. Parę donosów od osób niezadowolonych dotarło już do stołecznego ratusza. Jeśli jednak plan reform się powiedzie, Warszawie przybędzie kolejna nowoczesna instytucja kultury. I to być może

z nową nazwą. Jarosław Trybuś: – Zmiana nazwy, choć zależy od wielu czynników, byłaby zasadna z wielu powodów. Po pierwsze, nie chcemy zajmować się tylko historią, ale też teraźniejszością i przyszłością. Po drugie, Warszawa nie zawsze była miastem stołecznym. Po trzecie, obecna nazwa jest zwyczajnie za długa. Chciałbym, żebyśmy za kilka lat mieli nowoczesne Muzeum Warszawy.

Książka na kliknięcie

Od jesieni 2007 r. Biblioteką Narodową kieruje Tomasz Makowski (rocznik 1970).

Z gabinetu dyrektora nic nie widać, a to za sprawą otaczających gmach główny rusztowań. Wszystko jest w remoncie. – W ciągu ostatnich miesięcy wymieniliśmy kilka kilometrów okien i szklanych fasad, 1200 kaloryferów, 12 tysięcy lamp. Remont zaczął się we wrześniu i na razie wyprzedzamy harmonogram – mówi z nieukrywanym zadowoleniem dyrektor i szybko dodaje: – Dzięki remontowi odsłoniliśmy nasze piękne patia, które otworzymy dla czytelników. Chciałbym, żeby warszawiacy przychodzili do nas choćby po to, by spędzić wolny czas, poczytać, posurfować w Internecie. Ogłosiliśmy przetarg na lepszy system wi-fi, bo po-

Nowy gmach Filharmonii w Szczecinie, autorstwa hiszpańskiego studia projektowego Barozzi Veiga, zostanie otwarty w przyszłym roku. Ma być ikoną architektoniczną miasta.

przedni nie był przygotowany do takiej liczby zalogowanych komputerów jak dziś. Nasza siedziba to całkiem udany przykład polskiego późnego modernizmu, więc przywracamy mu blask, oczywiście w porozumieniu z architektem, który żyje. Postanowiłem na przykład, że nasze nowe meble będą w stylistyce lat 60. Będzie naprawdę pięknie.

Makowski jest tym dyrektorem, który przeszedł w kierowanej przez siebie instytucji wszystkie szczeble kariery, ale nie stracił przez lata energii i świeżości spojrzenia. Pracę w Narodowej zaczął jeszcze jako student, by w 1994 roku dostać propozycję etatu. Był młodszym bibliotekarzem, bibliotekarzem, asystentem naukowo-badawczym, adiunktem, potem zrobił doktorat, został kierownikiem Działu Zbiorów Specjalnych (to ta część Biblioteki Narodowej, która się mieści w Pałacu Rzeczypospolitej), wicedyrektorem ds. naukowych i w końcu dyrektorem. Dziś zarządza 800 etatami, 70 tysiącami metrów kwadratowych powierzchni, blisko 10 milionami zewidencjonowanych jednostek i 55-milionowym budżetem. Ale największe wyzwanie wciąż przed nim. Biblioteka Narodowa, do której trafia nawet 700 książek dziennie oraz egzemplarze każdego tytułu prasowego wychodzącego w Polsce (nawet gazetki porno) musi wejść w epokę cyfry.

– W tym roku odpalimy nowiutką, nowoczesną wersję Cyfrowej Biblioteki Narodowej POLONA, która działa już od kilku lat i cieszy się ogromną popularnością. Każdy o dowolnej porze dnia i nocy może do niej wejść i przeczytać wybraną książkę, która jest w jej zasobie. Będzie pan mógł stworzyć z naszych książek własną cyfrową bibliotekę – mówi dyrektor. – A w drugiej połowie roku znikną z naszej czytelnicy drewniane katalogi z szufladami. Zastąpią je dotykowe monitory z katalogami i zeskanowanymi publikacjami polskimi i zagranicznymi. Proszę sobie wyobrazić, jak wielkie to będzie udogodnienie, szczególnie dla kogoś, kto przyjeżdża do nas spoza Warszawy. Zamiast 10 książek, będzie można przej-

rzeć w ciągu dnia na przykład 50 i to bez konieczności zamawiania z magazynu.

Biblioteka Narodowa jest, od czasu objęcia kierownictwa przez Tomasza Makowskiego, otwarta na współpracę z młodymi polskimi artystami. W gmachu przy Niepodległości fundacja Bęc Zmiana zrobiła rok temu znakomitą wystawę „Coś, które nadchodzi. Architektura XXI wieku”. Stworzona na jej potrzeby instalacja Nicolasa Groszperre'a jest w bibliotece do dzisiaj. Niedługo zostanie także otwarta nowa stolówka pracownicza, którą zaprojektował architekt Jan Strumiłło. Budynek ma też nowoczesne windy i podjazdy. Osoby niepełnosprawne mogą się poruszać po gmachu bezproblemowo. Zatrudniono także osobę niewidomą, żeby sprawdzała, czy oferta biblioteki przystosowana jest do potrzeb osób niewidomych.

Biblioteka Narodowa, do której trafia 700 książek dziennie oraz egzemplarze każdego tytułu prasowego (nawet gazetki porno) musi wejść w epokę cyfry.

Reforma to nie tylko remonty czy poprawienie estetyki, ale wiele działań, które są niezauważalne dla zwykłego człowieka, a mają znaczenie fundamentalne. – Kiedy zostałem dyrektorem, chciałem, żeby książki były u nas katalogowane w 24 godziny od przybycia. Wcześniej zajmowało to nawet kilka miesięcy. Po wszelkich zmianach okazało się, że katalogowania nie da się skrócić bardziej niż do 14 dni. A dwa tygodnie w dziesiętym świecie to wieczność. Okazało się, że tajemnica powolności nie tkwiła w sprawności ludzi, tylko w procedurze. Książka wędrowała po prostu z biurka na biurko, z działu

do działu. Przed rokiem wprowadziłem zasadę jednego biurka, czyli pełnego katalogowania dokonuje jedna osoba. Dzięki temu książka, która wpływa do nas w poniedziałek, we wtorek jest już w bazie. To wielka zmiana – tłumaczy Makowski.

Biblioteka Narodowa zaczęła także szybciej reagować na rzeczywistość. Przejmuje cenne zbiory, ostatnio choćby archiwum Czesława Miłosza, Agnieszki Osieckiej, Leszka Kołakowskiego, Jerzego Turowicza, Mariana Pankowskiego. – To wszystko jest u nas. Zapraszam wszystkich. Maryla Rodowicz też nam przekazała niebawem swoje wspaniałe archiwum i w przyszłym roku zrobimy jego otwarcie połączone z wystawą. Wymierzyłem dokładnie nasze nowe, szerokie wejście i wychodzi na to, że w drzwiach zmieści się bez problemu porsche Maryli. ☺

REKLAMA

**PRZE
KROJ**

patronuje

to kupisz tylko w empiku

DAVID BOWIE

The Next Day

David Bowie

**NOWA PŁYTA
JUŻ W SPRZEDAŻY**

ISO

Trójka POLSKIE RADIO PANI MALEMEN Multikino rbl.tv DZIENNIK GAZETA PRAWNA amts PRAWA MAGAZYN A! MONITOR PRZE KROJ EKSLUSIV cgm.pl K MAG MŁOTY empik.com onet.

ROZMAWIA ANNA PRZYBYLL, ILUSTRACJA OLA JASIONOWSKA

Macho i pluszowy miś w jednym



MATTHIAS LOHRE

37 lat, niemiecki publicysta, pisarz, autor książki „Łagodni faceci. Wszystko, co kobiety muszą dziś wiedzieć o mężczyznach” („Milde Kerle. Was Frauen heute alles über Männer wissen müssen”), która ukazała się w Niemczech w lutym. Studiował historię i anglistykę w Kolonii. Ukończył Berlińską Szkołę Dziennikarską (Berliner Journalisten-Schule). Współpracował z „Frankfurter Rundschau”, „Tagesspiegel”, „Das Parlament”, Deutsche Welle TV i kanałem Phoenix. Od 2005 r. związany z działem politycznym „Die Tageszeitung”, jest korespondentem z Bundestagu i prowadzi kolumnę „Mężczyźni”, w której co dwa tygodnie opisuje świat z męskiego punktu widzenia.

O tym, jakich mężczyzn wychowały sobie współczesne kobiety i dlaczego stawiają im niemożliwe do pogodzenia oczekiwania, opowiada **Matthias Lohre**, dziennikarz i pisarz, autor wydanej właśnie w Niemczech książki „Łagodni faceci”.

Skąd się wziął tytuł pana książki?

Przeczytałem artykuł o nowym kabrioletcie Mercedesa. Został opisany jako bezpieczny, „cool” i dodatkowo – „absolutnie urzekający”. Tytuł tekstu głosił: „Dla łagodnych facetów”. Pomyślałem, że taki slogan pasuje do współczesnych mężczyzn, bo próbują być jednocześnie odpowiedzialni w stosunku do innych ludzi, ale i dobrze się bawić.

No to jacy są dzisiejsi mężczyźni: odpowiedzialni czy rozrywkowi?

W 2011 r. najbardziej wpływowym i męskim celebrytą świata był nastolatek z uregulowanymi brwiami, Justin Bieber – piszę o tym w książce. Poważny magazyn amerykański „Forbes” umieścił kanadyjskiego piosenkarza na trzecim miejscu listy Top 100. Tiger Woods, znany tak samo z umiejętności gry w golfa, jak i z pozamałżeńskich romansów, znalazł się dopiero na szóstym miejscu. Podstarzały Bon Jovi, wyglądający jak imitacja samego siebie, załapał się na miejsce ósme. Wszystko to mężczyźni. I wszyscy zupełnie różni. I choć trudno to zrozumieć, wszyscy oni są idolami milionów ludzi. Śniło mi się kiedyś, że mam syna, który mówi do mnie rozradowany: „Jak będę duży, chcę być jak Justin Bieber”. Takich koszarów nie życzę nikomu.

Ten przykład pokazuje, że pod słowem „mężczyzna” może dziś kryć się bardzo wiele. Zarówno macho, jak i pluszowy miś. Uważny słuchacz albo gaduła. Taki, który rozumie kobiety, i ten, który je zaprasza od razu do domu. Jest cholernie ciężko powiedzieć, jacy są mężczyźni i co muszą umieć. Liczba możliwych wymagań jest porażająca. Mężczyźni podchodzą do tego problemu pragmatycznie: usiłują po prostu być wszystkim naraz. Bo w końcu jest coś, co łączy wszystkich mężczyzn – chcą być dobrzy. Odnosić sukcesy. Być perfekcyjni. Ale co to znaczy w czasach, gdy ich niedojrzały kolega po płci tytułuje swoje artystyczne płody „Eenie Meenie” (piosenka Justina Biebera – red.)?

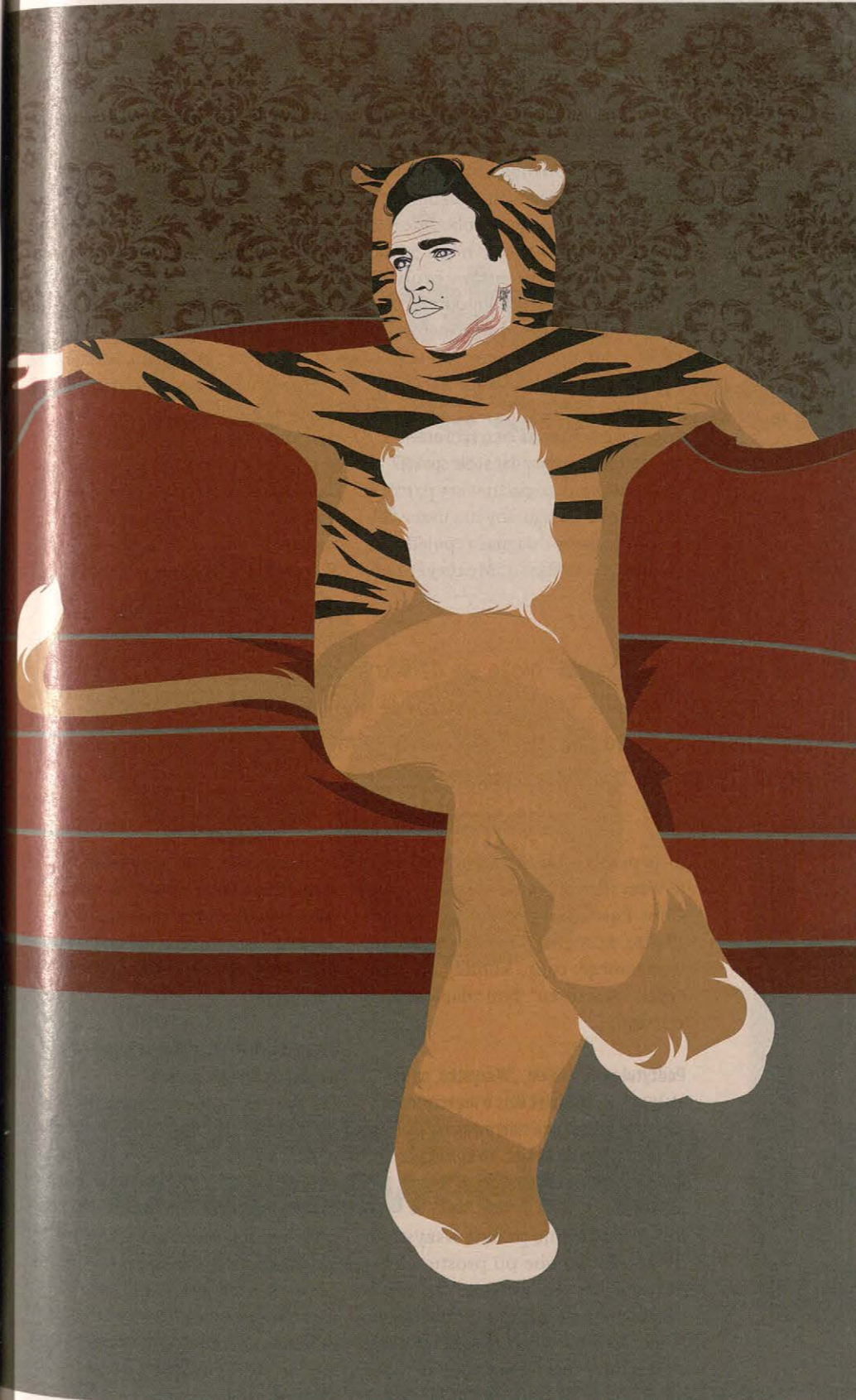
„Mężczyzna ma być namiętny w łóżku, ale też taktowny i delikatny. Ma być prawdziwym facetem, ale i umieć kupić odpowiednie pieluchy dla dziecka. Oazą spokoju, ale nie wielkim milczkiem. Ramieniem, na którym można się oprzeć, ale nie macho. Ma być uczuciowy, ale prosię, nie tak drażliwy. Ma odnosić sukcesy w pracy, ale i mieć wystarczająco dużo czasu dla dziewczyny, rodziny i przyjaciół. Ma dobrze wyglądać, ale nie być próżny. Facet powinien sprostać wszystkim wymaganiom i zachować przy tym spokój – być jak Don Draper, Ken Cosgrove i Harry Crane (bohaterowie serialu

„Mad Man” – red.) w jednej osobie”. Jakie wymagania! To fragment pana książki. Tymczasem dziki kocur stracił pazurki i stał się łagodnym kanapowym kotem. Dlaczego?

Nieokiełznani, dzicy mężczyźni wcześniej umierają. Nie uważają na zdrowie, przepracowują się i nigdy nie potrafią osiągnąć satysfakcji. Mają dzieci, których dorastanie nie dostarcza im pozytywnych przeżyć. Dlatego dzisiejsi mężczyźni dostrzegli, że życie nie może na tym polegać. I chcą połączyć wszystko, co w ich mniemaniu wartościowe – rodzinę, szczęście i karierę.

Czy wnioski zawarte w książce oparł pan tylko na własnych obserwacjach?

Podczas pisania książki korzystałem z badań biologów, psychologów i socjologów, a także z książek psychoterapeutycznych. Podstawę naukową uzupełniłem o swoje obserwacje. Jednak to własne przeżycia, a nie teorie naukowe najlepiej ilustrują tezy tej książki czy artykułów, które piszę. Kobiety są wytrzymalsze od mężczyzn: dla wielu to stereotyp, choć ja także to zaobserwowałem. Okazuje się jednak, że to również fakt potwierdzony w badaniach naukowych brytyjskich biologów z 2011 r., którzy wykazali np., że samice myszy lepiej radzą sobie z infekcjami niż samce. Samice



ssaków, w tym ludzi, posiadają więcej białych komórek krwi, które chronią je przed wirusami i bakteriami. Można jednak nie znać tych badań, a wiedzieć z autopsji, że kobiety lepiej radzą sobie z chorobami i wszelkiego rodzaju zagrożeniami.

Czy nowe pokolenie łagodnych mężczyzn może być zagrożeniem dla odmiany macho brzydkiej płci?

No cóż, a kim właściwie są „prawdziwy faceci”? I czym się różnią od „łagodnych” czy „miękkich”? Taki podział mi się nie podoba. W podtekście zakłada bowiem, że ten, kto poddaje się emocjom, jest „miękki” i przez to traci męski pierwiastek. „Prawdziwi faceci” nie mają uczuć – taka teza to bzdura. Każdy człowiek ma uczucia. I właśnie za niemęskie uważam chowanie się przed nimi, jak czynią to mityczni „prawdziwi faceci”.

Mężczyźni wciąż mają łatwiej w życiu?

Kobiety wyprzedzają mężczyzn pod jednym ważnym względem – przez ostatnie dziesięciolecia wiele dyskutowały publicznie o tym, czego chcą od życia i jak mogą to uzyskać. Usiłują pogodzić życie zawodowe i prywatne. Dziś chce tego też coraz więcej mężczyzn. W przeciwieństwie do kobiet mężczyźni jednak boją się o swoich problemach głośno rozmawiać, bo to uchodzi za niemęskie. Pomiędzy facetami, ale i w oczach kobiet. Bez pomocy kobiet niewiele może się zmienić w tradycyjnym obrazie mężczyzny, który jest dziś już anachroniczny.

Czy fenomen „łagodnych mężczyzn” odnosi się jedynie do Niemiec czy można go zaobserwować w innych krajach Europy?

Nie znam wszystkich krajów naszego kontynentu. Kiedy mówimy o „dzikich mężczyznach”, sugerujemy, że z natury są oni barbarzyńcami, i tylko współczesna kultura trzyma ich w ryzach. Nie sądzę, żeby była to prawda. W Rosji np. kultywowany jest obraz „typowego faceta”, który ma związek ze straszną historią tego kraju. Poprzez

liczne wojny i kryzysy nie-które tradycje obywatelskie tam zanikły. To, co uchodzi za „dzikie”, jest definiowane przez kulturę narodową. Co innego jest atrybutem prawdziwej męskości w Polsce, co innego w Rosji. W Niemczech prawdziwy facet musi być odpowiedzialny za siebie i rodzinę, przestrzegać prawa i mieć zawsze umyty samochód. Stereotypowo musi też pić dużo piwa i być solidny. Nie wiem, skąd się bierze ten wymóg solidności, bo definicja męskości jest dziś w RFN wyjątkowo krucha i zmienna.

Czy można postawić tezę, że „łagodni mężczyźni” są pochodną popularnego w dzisiejszej kulturze obrazu najlepszego przyjaciela kobiety – homoseksualisty?

Nie sądzę. Żaden heteroseksualny facet nie chce być uznany za geja. Nie dlatego, że ma coś przeciwko mniejszościom seksualnym, ale dlatego, że chce pokazać kobietom, że się nimi interesuje. I żadna kobieta nie chce mieć partnera, którego inne kobiety mogą uznać za geja. Natomiast częstsze występowanie homoseksualistów w filmach ma związek z rosnącą akceptacją dla odmiennej orientacji seksualnej. Uważam, że to pozytywne zjawisko. Jednak żaden mężczyzna heteroseksualny nie powinien czuć się przez nie zagrożony.

W książce pisze pan, że dzisiejsi mężczyźni zamieniają swoje życie w piekło, zbyt wiele myślą o tym, jak działają na kobiety, robią karierę po to, by się im podobać. I zamiast trzymać sztamę z innymi facetami, w życiu zawodowym i prywatnym robią sobie nawzajem konkurencję. A może współcześni faceci wyolbrzymiają swoje obciążenia i wpadają w histerię? Kiedyś musieli iść na wojnę i polować, żeby zdobyć pożywienie, a dziś rywalizują, grając na PlayStation, a zakupy robią w sklepach z ekologiczną żywnością.

Jasne, że wyprawa na wojnę jest gorsza niż rozterki o tym, jak pogodzić



życie rodzinne i pracę. Ale ponieważ na szczęście w Europie panuje pokój, możemy zajmować się roztrząsaniem problemów życia codziennego. Kiedyś kobiety i mężczyźni cierpieli, bo byli uwięzieni w gorsecie ról społecznych. Dziś możemy w końcu o tym swobodnie rozmawiać i te role negocjować, tak aby obie strony czuły się dobrze w swojej skórze. Najgorsze jest dostosowywanie się do narzuconych wbrew sobie schematów.

Czego kobiety mogą od mężczyzn oczekiwać, a z czym powinny dać sobie spokój?

Przed wszystkim partner czy partnerka nie służą do tego, aby nas uszczęśliwić. To musimy osiągnąć w pojedynkę i wnieść do związku. Mężczyźni nie

Pod słowem „mężczyzna” może się dziś kryć zarówno uważny słuchacz, jak i gaduła. Taki, który rozumie kobiety, i zwykły macho, który je zaprasza od razu do domu. Żeby odnieść sukces, mężczyźni usiłują być wszystkim naraz.

mają prawa wymagać od kobiet, żeby te wszystko potrafiły – i odwrotnie. Clint Eastwood powiedział kiedyś: „Sądzę, że mężczyźni chcą od kobiet tego samego, czego kobiety od mężczyzn – szacunku”. Tym zdaniem trafił w sedno.

Podtytuł pana książki, „Wszystko, co kobiety muszą wiedzieć dziś o mężczyznach”, sugeruje, że jest ona skierowana w pierwszej kolejności do kobiet. To kokieteria czy rzeczywiście nie powinni jej czytać panowie?

Książkę adresuję przede wszystkim do kobiet, bo one po prostu więcej czytają. Ale oczywiście mężczyźni też mogą się z niej sporo nauczyć. Wielu facetów wciąż uważa refleksję na własny temat za bardziej nieprzyjemną od picia piwa bezalkoholowe-

go. A szkoda. Dla dobrej relacji damsko-męskich przydałby się wzrost samoświadomości brzydszej płci.

Prowadzi pan w swojej macierzystej gazecie „Die Tageszeitung” kolumnę zatytułowaną „Mężczyźni”. Kto reaguje na nią bardziej żywiłowo – czytelnicy czy czytelniczki?

Wiele pań dobrze się bawi, czytając moje felietony. Lubią moją kolumnę, gdyż doceniają, że nie próbuję nastawiać jednej płci przeciwko drugiej. Pokazuję, jak ciężko jest zarówno mężczyznom, jak i kobietom, odnaleźć się w gęstwinie społecznych oczekiwań. Zdarzają się zabawne reakcje na moje felietony. Jedna z czytelniczek napisała mi kiedyś, że czuje się ze mną bardzo blisko związana. Poprosiła, abym podał jej moją dokładną datę i miejsce urodzenia, a ona opracuje mój szczegółowy horoskop. Podziękowa-

łem za troskę i nie przyjąłem propozycji. Czytelniczka sądziła chyba, że jako „łagodny facet” jestem przesądny, bo ta cecha potocznie uchodzi za przypadłość osób o wysokim „pierwiastku kobiecym”.

Czy można być szczęśliwym mężczyzną we współczesnym świecie?

Do dziś aktualność zachował jeden ze składników „prawdziwego faceta” sprzed wieków – mężczyzna powinien żyć w zgodzie ze sobą. Przekładając to na współczesne kryteria – rozterki, wątpliwości, jakieś gorsze strony nie świadczą o słabości, ale o sile. Współczesny świat jest skomplikowany, również dla mężczyzn. To nie chowanie się za fasadą pozornej siły jest prawdziwie męskie, ale bycie wędrowcem w poszukiwaniu samego siebie. ☺

Bloomberg Businessweek

Knowhow i sprawdzona metodologia

Polska

Biznes i gospodarka świata

Biznesplan na tydzień

Najważniejszy dla nas jest rynek polski

Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.



ANNA SAŃCZUK

Nowe spojrzenie na barter

Początek kryzysu to koniec kasy, a kiedy nie ma kasy, pojawia się barter. Najstarszy typ gospodarki polegający na **wymianie usług i towarów z pominięciem pieniądza** powraca pod różnymi postaciami i – jak się okazuje – aspekt ekonomiczny to nie wszystko, co ma do zaoferowania. Wyjście poza prosty schemat kupna-sprzedaży otwiera czasem nieoczekiwane perspektywy.

Światowy kryzys ponownie wywołał na scenę nieco przykurzoną ideę wymiany barterowej. Tam, gdzie zapaść ekonomiczna okazała się szczególnie głęboka, np. w Hiszpanii, wymiana stała się dla ludzi w tarapatach finansowych oczywistą, choć nadal niszową alternatywą dla kupowania. Powstało zatrzęsienie internetowych platform barterowych, a nawet – o czym donosił w zeszłym roku Reuters – barterowe sklepy, jak madryckie Abrete Sezamo (Sezanie, otwórz się), gdzie po uiszczeniu drobnej opłaty manipulacyjnej można wymienić np. książki na mikser czy kurtkę na lampkę nocną. Podobne podejście pojawiło się na podupadłym hiszpańskim rynku nieruchomości, gdzie obecnie łatwiej zamienić się z kimś na mieszkanie, niż sprzedać swoje lokum i dostać kredyt na nowe, a małe firmy wynajmujące pomieszczenia na biuro nierzadko płacą za nie w barterze – towarami lub usługami. Obrazu dopełniają samopomocowe banki czasu, które

pozwalają np. za opiekę nad czyimś dzieckiem uzyskać wsparcie w nauce języka obcego czy remoncie. Jednak barter ma także swój wymiar pozatekoniczny, równie, a może nawet bardziej istotny. Wymiana bezpośrednia pozwala bowiem wyjść poza przymus przeliczania wszystkiego na pieniądze, daje możliwość ograniczenia liczby otaczających nas rzeczy i nawiązania nowych relacji. Wspiera idee recyklingu i zrównoważonego rozwoju, bywa przygodą, zabawą i społecznym eksperymentem.

Barter a sprawa polska

Ekscytacja ideą wspomnianych banków czasu minęła, ale wciąż trwa moda na ciuchowe wymianki, szafingi i swap-parties w damskim gronie (jest też pierwszy sklep w Warszawie Re-new, w którym można wymieniać dziecięce ubrania!). Ale zaczynają też u nas kiełkować inicjatywy, dzięki którym można dostrzec inne niż tylko ekonomiczne korzyści barteru. Oczywiście wszystkieżerny Internet wypełniony

jest portalami, na których wymieniać się można niemal wszystkim – od akcesoriów dziecięcych po notatki ze studenckich wykładów, ale najciekawsze barterowe przedsięwzięcia, daleko wykraczające poza sposób na finansowe braki, rodzą się gdzieś na uboczu tego nurtu. Wybraliśmy trzy takie pomysły:

1 bARTer

Uruchomić twórczy potencjał

W 2010 r. dwie fotografiki Marta Pruska i Marta Zasepa, działające w artystycznej willi na warszawskim Żoliborzu, zainicjowały jednodniową imprezę pod nazwą bARTter, polegającą na wymianie sztuki za... cokolwiek, co zaakceptuje artysta. Wystawiono głównie fotografie, m.in. Ani Orłowskiej, Mikołaja Grynberga, Pawła Żaka czy Rafała Milacha, ale znalazły się tam również grafiki, malarstwo i biżuteria. W dniu wystawy przychodzili ludzie i naklejali przy wybranym obiekcie karteczki z ofertami wymiany i kon-



taktem do siebie. – Tych emocji nie da się absolutnie porównać do zakupów – podkreśla Marta Pruska. – Zarówno jeśli chodzi o artystę wystawiającego pracę, jak i w przypadku osób oferujących coś w zamian. Wiem, bo występowałam w obu rolach.

Dla Marty najważniejsze było poczucie wartości tego, co się robi, i to właśnie nieprzeliczonej na kasę: – Jesteśmy wytresowani, żeby wszystko wyceniać w pieniądzu, a tutaj jako artysta czujesz się doceniony, że za swoją pracę ktoś w ogóle chce coś zaoferować. Nie oceniasz, czy to jest upieczenie tarty czy klucze do mieszkania w Nowym Jorku. Jest ci po prostu miło, że coś, co zrobiłaś, przyciąga uwagę i ktoś ma ochotę o to powalczyć. Z drugiej strony, jeśli sam chcesz coś zdobyć i niekoniecznie działasz artystycznie, jesteś zmuszony, żeby znaleźć w swoich zasobach coś, co jest fajne, czym możesz kogoś skusić. Według mnie każdy ma w sobie potencjał twórczy i bARTter to uruchamia. To lepsze niż psychoterapia!

Jacek Kołodziejcki, Anna Łoskiewicz, Łukasz Gronowski i Natalia Jakubowska, założyciele portalu Thingo. Wymyślili go obserwując działanie społeczności coworkingu, w którym pracują.

Sztuka kontaktu

Marta Zasepa zauważa, że przychodząc na bARTter, musisz zagłębić się w sytuację, wnikliwie obejrzeć wystawę, wejść w kontakt z autorem: – To nie tylko wymiana fotografii za np. przelot sportowym samolotem czy naukę sitodruku (były takie propozycje!), ale także wymiana energetyczna między ludźmi. Wymieniając się, musisz być gotowy na to, że nie wiadomo, co z tego spotkania wyniknie – może fajna rozmowa, może jakaś współpraca, a może będziesz musiał zjeść kolację z kimś, kto ma inne poglądy polityczne.

Jej współniczka dostrzega jeszcze jeden wymiar przedsięwzięcia: – Artysty często nie mają kasy, są zmęczeni walką o byt. Nasza akcja jest też po to, żeby zrobić coś innego niż w kółko ta kasa, sprzedaż, ciułanie.

Spśród wymiankowych opcji Marcie Pruskiej najbardziej spodobała się propozycja nocnej przejażdżki cadiłlakiem po Warszawie ze zwiedzaniem perełek architektonicznych stolicy: – Najbardziej lubię nieoczywiste

propozycje, oferujące przeżycia, ale rozumiem, że dla artysty w potrzebie miesięczna dostawa pierogów czy środków czystości mogą być wybawieniem. Sama zdobyła czyjeś dzieło dzięki obietnicy gotowania obiadów raz w tygodniu przez miesiąc. Z kolei Marta Zasepa dzięki bARTterowej wymianie miała szansę nauczyć się projektowania wnętrz, co teraz akurat okazało się jej potrzebne. Pierwsza impreza okazała się sukcesem i w 2012 r. odbyła się jej kolejna edycja. Dziewczyny planują następną.

2 THINGO

Przygoda jest fajniejsza

Łukasz Gronowski, współtwórca platformy thingo.pl, służącej kreatywnej wymianie przedmiotów, usług i talentów, śmieje się, że na razie nie mieli na koncie wymiany spinacza biurowego na dom (patrz ramka obok), ale wszystko jeszcze przed nimi. Thingo, pomyslane trochę jako społeczny

eksperyment, miało swoją premierę w 2011 r. na festiwalu recyklingowej sztuki PRZETWORZY. Grupa aktywnych użytkowników portalu, głównie z największych miast Polski, liczy obecnie 2500 osób i stale rośnie. Założyła go czwórka znajomych działających w tzw. sektorze kreatywnym, oprócz Łukasza – artysty wizualnego i filmowca, była to designerka Ania Łoskiewicz, fotografka i filmowiec Natalia Jakubowska oraz fotograf Jacek Kołodziejki. – Pracujemy na co dzień w coworkingowym miejscu i siłą rzeczy korzystamy z barteru: wymieniamy się usługami, pomagamy sobie – wyjaśnia Łukasz. I dodaje: – Ktoś komuś zrobi stronę internetową, ktoś inny zdjęcia itd. Taka jest geneza naszego portalu, który służy przede wszystkim twórczej zabawie. Nie zarabiamy na nim, nie używamy punktów czy innych substytutów waluty. Nie chcemy się też nadymać i robić z niego projektu ideologiczno-politycznego czy odpowiedzi na kryzys klasycznej ekonomii. Według Łukasza większość portali wymiarkowych to raczej alternatywa dla serwisów aukcyjnych: – Wstawiasz coś, ale w konkretnym celu. U nas to też jest możliwe, ale... przygoda jest fajniejsza. Ania Łoskiewicz dodaje: – Dzięki barterowi można puścić rzeczy w obieg i to zaspokaja naszą potrzebę nowości równie dobrze jak kupowanie. Musisz się z czymś rozstać, ale masz w zamian coś nowego – w tym jest ruch, życie.

I o pobudzenie tej kreatywności, pozytywnej energii w zestresowanych rodakach tak naprawdę im chodziło.

Znużeni konsumpcją

Założyciele Thingo doceniają też aspekt ekologiczny barterów, poczucie uwolnienia od nadmiaru rzeczy, a także kontakt międzyludzki, który zachodzi przy wymianie – dostają sygnały, że czasem wynikają z tego przyjaźnie czy współpraca zawodowa. – Na Zachodzie od dawna jest mnóstwo pomysłów, co robić, żeby przedmioty żyły – opowiada Łukasz

„Platforma wymiany przedmiotów i usług”

thingo BETA

HOME | WYBRANE | WSZYSTKIE | PODOBA SIĘ (120) | LICYTOWANE (72) | TWOJE (10)

Wymiana w Thingo!

Lubię to! | Wyślę

Narysuj Twojego kota :)
Mateusz

Lubitel 166B, gratis negatyw i pokrowiec
unknown type

„Platforma wymiany przedmiotów i usług”

thingo BETA

HOME | WYBRANE | WSZYSTKIE | PODOBA SIĘ (120) | LICYTOWANE (72) | TWOJE (10)

Wymiana w Thingo!

Lubię to! | Wyślę

Porcelana Kristoff - Circus Collection by Marek Mielnicki
Kristoff Porcelain

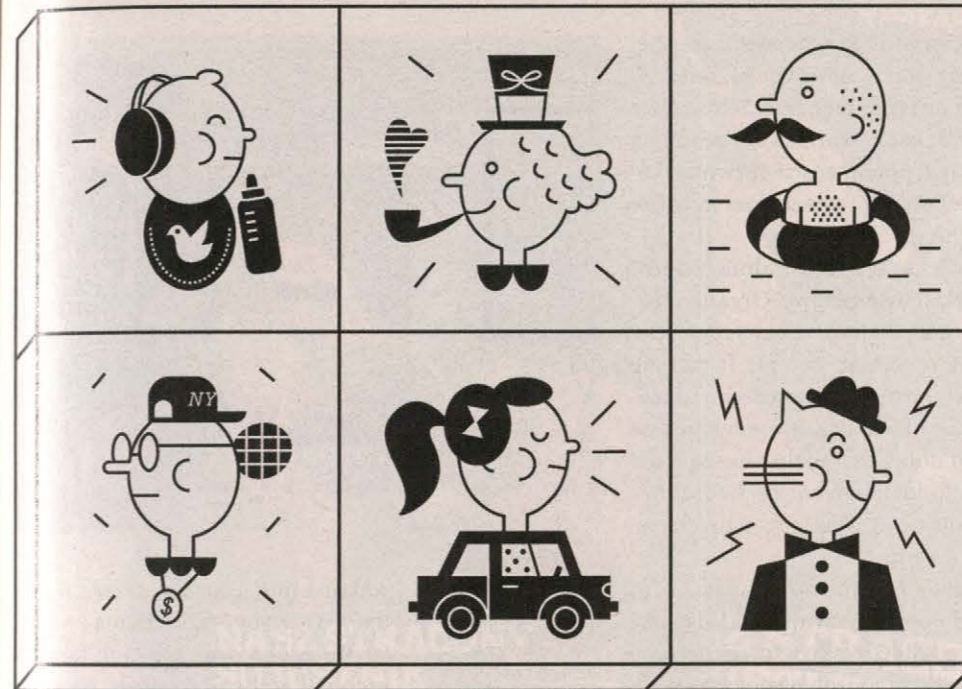
*menu*by*made*with*love*
marta

www.thingo.pl
www.fundacjamama.pl
www.bankczasu.org

www.swapmie.pl (ubrania)
www.zsafydoszafy.pl (ubrania)
www.wymianki.pl (ubrania, kosmetyki, książki i in.)
www.gieldamamy.pl (akcesoria i ubrania dziecięce)
www.finta.pl (książki)

– np. w Szwajcarii kupuje się grupowo samochód albo wypożycza potrzebne sprzęty. W Niemczech wystawia się w określone dni niepotrzebne już meble na ulicę, żeby każdy mógł sobie je wziąć. U nas Kowalski Kowalskiemu ewentualnie szklanek cukru pożycz, ale nie ma społecznościowego myślenia o rzeczach, dopiero się tego uczymy. Łukasz twierdzi, że barter niekoniecznie musi wynikać tylko z tego, że nas nie stać, że nie mamy za co żyć, w co się ubrać, ale też – jak w ich przypadku – z ciekawości i szukania alternatywy dla świata opartego na pieniądzu. – Także ze znużenia modelem konsumpcji, którą się nam wmusza – dopowiada Ania – tym, że co sezon musisz kupić nowe ubrania, bo inaczej będziesz passé, a co pięć lat nowy samochód. Może lepiej się wymienić?

Ania pokazuje mi granatowy „marnarski” płaszcz, który zdobyła na Thingo, teraz poluje na przedwojenne buty. Łukasz i Natalia wymienili rowery – jeden na postawienie strony WWW, drugi na wielki telewizor, bo są kinomaniakami. Cieszy ich, że na Thingo pojawia się wiele oryginalnych, niedostępnych gdzie indziej rzeczy – ręcznie robione obuwie, projektowanie exlibrisów w formie stempli, zerowe wydania kultowych magazynów, designerskie cacka. Pewna blogerka kulinarna uczyniła z Thingo jedyną formę dystrybucji swoich wegańskich specjalów, a znana firma ciuchowa PAN TU NIE STAŁ właśnie u nich wypuściła po raz pierwszy limitowaną linię... majtek. Zakończone wymianki można obejrzeć na podglądzie. Czego tu nie ma – sesja foto w zamian za minirecital z piosenkami Jacka Kaczmarskiego w wykonaniu oferenta, sajgonki za tajskie cygara... Niektórzy uczestnicy wymianek naprawdę się wciągają. Ania opowiada o kimś, kto dokonał całej serii wymian, by zdobyć rzecz, za którą ona gotowa była oddać swój kolekcjonerski wazonik z lat 60. – Nie sterujemy tym. Na początku wrzuciliśmy na stronę 30 przedmiotów, które określały to, jak sobie wyobrażamy



{ wypożyczalnia rodziny }

portal. Teraz to uczestnicy regulują jego działanie i sami jesteśmy ciekawymi, o z tego wyniknie – mówi Łukasz.

Wypożyczalnia rodzin

Wymień wnuczka za babcie

„Wypożyczalnia rodzin” to pomysł Fundacji MaMa, która już w 2007 r. prowadziła tzw. Bank Czasu Mam (działa nadal, niezależnie, na ogólnopolskim portalu bankczasu.org), czyli

wymianę umiejętności i czasu w kręgu matek. – To był nasz sprytny pomysł, w którym chodziło o to, żeby wyciągnąć mamy pod jakimkolwiek pretekstem z domu, zmusić do wytaszczenia wózków i spotkania z innymi mamami – opowiada prezeska fundacji Sylwia Chutnik, pisarka i działaczka społeczna. – Chodziło też o to, aby pokazać, że nie wszystko trzeba robić za kasę, że każdy z nas ma wewnętrzny poten-

SPINACZ ZA DOM – najszynniejszy barter świata

Najbardziej spektakularny przykład barteru, traktowanego w kategoriach społecznego eksperymentu, stanowi historia blogera **Kyle'a MacDonalda**. W latach 2005–2006 w wyniku serii barterowych wymian **zamienił spinacz biurowy na dom w miasteczku Kipling w Saskatchewan**. Punkt wyjścia był w zasadzie także ekonomiczny, ponieważ pierwsze ogniwo wymian, czyli rzeczony spinacz w kolorze czerwonym, zdjęty został z pliku kartek zawierających CV. Jak mówił potem wywiadach, inspiracją dla eksperymentu była gra z dzieciństwa „Bigger and Better”, kiedy grupa dzieciaków biegła po okolicy i próbowała dokonać z sąsiadami wymiany drobiazgów na coś „większego i lepszego”.

MacDonald za swój spinacz wystawiony w Internecie dostał najpierw długopis w kształcie ryby, później trafił mu się m.in. grill ogrodowy, skuter śnieżny, wieczór w towarzystwie Alice'a Coopera, propozycja nagrania płyty i występu w hollywoodzkim filmie. Ta – obserwowana w pewnym momencie przez całą Amerykę – podróż w nieznaną zakończyła się ofertą władz miasta Kipling, które zaproponowały Kyle'owi pięciopiętrowy domek i honorowe obywatelstwo. Sprawca zamieszania podkreśla jednak, że **w tej szalonej barterowej przygodzie najważniejszy był czynnik ludzki**. Każda wymiana dokonywała się poprzez osobiste spotkanie z oferentem, a on sam zjeździł w tym celu kawał

Ameryki, co na bieżąco opisywał w blogu. Dziś mieszka w Montrealu, ma na koncie książkę o swoich perypetiach i prowadzi firmę Red Paperclip, zajmującą się nietypowymi eventami oraz akcjami społecznymi.



ARCHIWUM PRYWATNE

REKLAMA

KRS: 0000097123

1%

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

... bo jutro mnie nie będzie

cjał, którym może się podzielić z innymi, wymienić na coś.

Rozwinięciem tamtej idei jest projekt „Wypożyczalnia rodzin”, z którym organizatorki chciałyby ruszyć jeszcze w tym roku, na początek w Warszawie.

Sylwia: – Obserwujemy współczesne nuklearne familie, które powstają, kiedy ludzie przyjeżdżają na studia i do pracy w wielkim mieście. Kiedy się już rozmnożą, to albo dziadkowie są daleko i wnuki widują ich raz na rok, albo w ogóle już dziadków nie ma, bo nie żyją. Chcemy więc odtworzyć wielopokoleniowe więzi w inny sposób – żeby można było dla własnych dzieci wypożyczyć dziadka, babcię np. z uniwersytetu trzeciego wieku, spośród starszych osób, które są samotne, a mają potrzebę obcowania z młodszymi pokoleniami. Chodzi o swego rodzaju barter emocjonalny – wnuczek dostaje babcię, a babcia wnuczka.

Jak wyjaśnia Sylwia, wymiana usług odbywa się przy okazji, bo przecież nie stoi na przeszkodzie, żeby rodzic przybił „babcie” karnisz czy zrobił jej zakupy, a potem zostawił „wnuczka” pod jej opieką i poszedł na imprezę odetchnąć.

Projekt „Wypożyczalnia rodzin” jest właściwie gotowy. Organizatorki czekają, żeby z nim ruszyć, kiedy tylko uda się zdobyć fundusze na jego obsługę, bo po doświadczeniu z bankiem czasu wiedzą już, że aby to dobrze działało, muszą mieć osobę oddelegowaną do koordynacji projektu, obsługi specjalnych formularzy itp.

Sylwia Chutnik: – Dlatego mam apel do bogatego wujka, dziadka czy innego Billa Gatesa o wsparcie tej idei. Warto, bo to sposób na pokazanie, że ludzie z różnych pokoleń mogą lubić spędzać ze sobą czas, a współczesna



Marta Pruska współorganizuje bARTer, podczas którego sztukę można wymienić na coś, co zaakceptuje autor pracy.

rodzina może bardzo różnie wyglądać – może być np. rodziną z wyboru. To próba ocalenia tych fajnych, nieomal archetypicznych, wielopokoleniowych stosunków rodzinnych we współczesnych realiach. ☞

Czy barter ma przyszłość?



O naturze współczesnych barterów dla „Przekroju” dr Nikola Lewicki z Instytutu Socjologii UW.

Kiedy czytam o inicjatywach barterowych, na myśl przychodzi mi **bazary lat 90.** – sygnał zmiany gospodarczej, nowej przedsiębiorczości. Do pewnego stopnia można poczynić tu analogię. To, co rzuca się w oczy, to niemal literalne odtwarzanie sytuacji **ryнку czy targowiska** – ludzie spotykają się w jednym miejscu, obojętnie – wirtualnym czy realnym, by się czymś wymienić. Samo spotkanie i rozmowa, niegdyś zwana **targowaniem się**, a współcześnie **negocjacjami**, jest tak naprawdę pretekstem do tworzenia **nowych relacji**. W tym sensie barter jest o tym, jak tworzy się nowy rynek, ale już niekoniecznie kapitalizm jako system, w którym chodzi o gromadzenie: akumulację i wzrost kapitału.

A w przedstawionych wymianach nie chodzi przecież o to, by zdobyć jak najwięcej lub by jak najtaniej się wymienić, ale o zaspokajanie potrzeb, których ani wymiana pieniężna, ani też istniejące instytucje dostarczyć nie mogą. Tak jak **łódka połowe** były świadectwem kryzysu, a jednocześnie zaradności czy też przedsiębiorczości Polaków po roku 1989, tak być może na razie niewielkie i pewnie na zawsze marginalne inicjatywy jak barter i wymianki są **zwiastunami kolejnej zmiany**.

Tego typu przedsięwzięcia pokazują, że sfera gospodarcza nie tylko czyni z nas kalkulujących indywidualistów, ale może być także źródłem nowych relacji. Prowokuje to do stwierdzenia, że nie tylko pieniądź musi rządzić ekonomią. I teraz, gdy gospodarka, którą znamy i kojarzymy ze sferą, gdzie się zarabia pieniądze, zaczyna zgrzytać, szczególnie wyraźnie to widać. Tu pojawia się **i barter, i spółdzielczość** obejmująca zarówno produkcję, jak i własność. Coraz częściej mówi się też o potrzebie lokalnej waluty i przeciwstawia się ją euro. To na razie lokalne odpowiedzi na brak kontroli obywateli nad sferą

gospodarczą, a szczególnie nad rynkami finansowymi. Mimo to **nie wydaje mi się**, żeby barter czy spółdzielczość były załącznikiem nowego systemu. Są to raczej marginesy, choć dość ważne. Pokazują, że coraz częściej ludzie widzą potrzebę **zmiany reguł**, wyjścia poza panujący dyskurs. Na przykład w popularnych wymiankach ciuchowych widać, że to tak samo dotyczy tych, których nie stać na nowe ubrania, jak i tych, którzy są **znudzeni, mają dość**, szukają alternatywy. Relacje barterowe są mocno oparte na zaufaniu i szczerości, a na skalę systemową te dwie rzeczy niestety nie funkcjonują już tak dobrze. To patent, który się sprawdza na poziomie **lokalnej społeczności** i tam może się rozwijać. Fascynujące, że jest to odtwarzanie poprzez sferę **ekonomiczną idei lokalności**, wspólnotowości. Czyli tego, co jeszcze niedawno się wydawało zaprzeczeniem nowoczesnego społeczeństwa, opartego na dość abstrakcyjnych instytucjach, jak: pieniądź, rynek pracy, edukacja i przede wszystkim zindywidualizowany styl życia **„bycia sobą”**.

Znamienny jest też ruch oporu wobec logiki **kapitalistycznej**. Bo współczesny kapitalizm zakłada, że rynek jest napędzany przez to, że kupisz, zużyjesz, wyrzucisz i kupisz nowe. A w przypadku barteru **nie wyrzucasz**, tylko dajesz komuś, kto to wykorzysta w sposób dla niego nowy. Barter prowokuje zatem do tworzenia **nowych, nierynkowych wartości** – takich jak np. zaufanie czy przewartościowanie tego, co się robi, ale w trakcie – jakby mogło się wydawać – czysto ekonomicznej, a w dodatku niemal **pierwotnej wymiany** barterowej. Jeśli wierzymy, że rynek może działać dobrze tylko w oparciu o nakręcanie konsumpcji, to barter **stanowi problem**. Kryzys nie minąłby, gdyby ludzie wymieniali się dobrami, zamiast je kupować. Cóż, być może na razie nie umiemy sobie wyobrazić, jak można by powiązać logikę wymiany z logiką współczesnego kapitalizmu, ale już widać, że barter to nie jest jakiś **wróżd na systemie**, on raczej ten system uzupełnia, jest sposobem na radzenie sobie z jego dysfunkcjami.



NOWY NUMER w sprzedaży, a w nim m.in.:

- prof. Antony Beevor / Upadek Stalingradu nie oznaczałyby jeszcze niemieckiego zwycięstwa
- prof. Grzegorz Motyka / To Borowiec stworzył „pierwszą UPA”, ale banderowcy ukradli mu nazwę
- Michał Kurkiewicz / O tym, jak katolicki ksiądz z sowieckiej partyzantki został kapelanem berlingowców



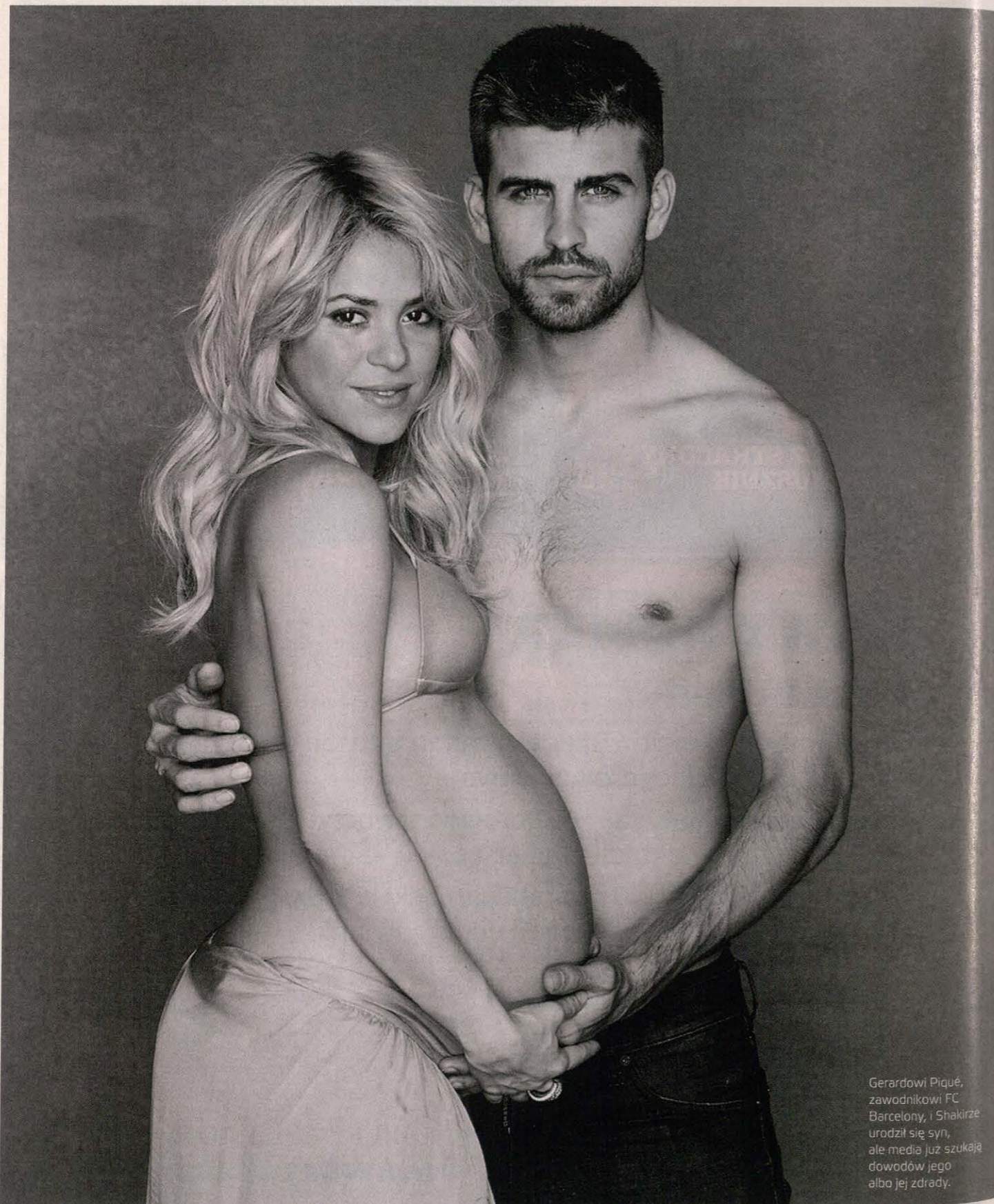
Available on the App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl



Gerardowi Piqué, zawodnikowi FC Barcelony, i Shakirze urodził się syn, ale media już szukają dowodów jego albo jej zdrady.

MICHAŁ KOŁODZIEJCZYK

Piłka, bramka... seks

W **futbolu** nie ma już miejsca na zwyczajne romanse i flirty. A za seksualne afery płaci się karierą albo majątkiem.

W reprezentacji Polski ostatnia afera z seksem w tle została nazwana przez media bunga bunga, bo włoska orgia z udziałem Silvio Berlusconi wyszła na jaw niewiele wcześniej. Był marzec 2011 r., a nasza kadra przygotowywała się w Grodzisku Wielkopolskim do towarzyskich meczów z Litwą i Grecją. Sześciu reprezentantów, a jakże – w dresach z orzełkiem – pojechało do Poznania, wynajęło pokój w samym centrum i zamówiło cztery prostytutki. Jaki kraj i jacy zawodnicy, takie bunga bunga. Jeden z pracowników butikowego hotelu nie był dyskretny i poinformował o wszystkim tabloid. Kiedy piłkarze zrozumieli zagrożenie, po przegranym meczu z Litwą, wyjątkowo chętnie zatrzymywali się przy dziennikarzach i odpowiadali na pytania o słabą formę, licząc, że może w ten sposób publikację uda się powstrzymać. Nie udało się. Gracze byli już w Atenach, gdy analiza ich porażki w Kownie została sprowadzona przez buiwarówkę do jednego zdania: „Bunga bunga osłabiło naszych piłkarzy”.

Zaczęły się sprostowania. Piłkarze – że byli w domu dziecka, a potem grzecznie wrócili do hotelu. Rzeczniczka PZPN Agnieszka Olejkowska – że cały czas była razem z piłkarzami. I wreszcie odezwał się Franciszek Smuda, chociaż lepiej byłoby, gdyby milczał. – Wiem, że moi zawodnicy wynajęli na sześciu pokój w Poznaniu. Mamy takiego kolegę z Niemiec, który przywozi nam drogie ubrania i oni w tym pokoju po prostu mierzyli drogie garnitury – stwierdził, nie wiadomo, czy naprawdę licząc na to, że ktoś taką wersję

kupi. Nie kupił nikt, piłkarze postraszyli media sądem, ale do procesu nigdy nie doszło. Wśród opisanych przez tabloid byli tacy, którzy rozrabiali na każdym zgromadzeniu, ale też tacy, którzy zarabiali duże pieniądze na wizerunku czułych mężów i ojców.

Tata roku, ale na boku

Królestwem piłkarskich dewiacji są Wyspy Brytyjskie, gdzie tabloidy depczą piłkarzom po piętach, a kompromitujące zdjęcia ukazywały się na długo przed erą telefonów komórkowych wyposażonych w aparaty fotograficzne wysokiej rozdzielczości. Skończyły się romantyczne czasy, kiedy pytania Kazimierza Deyny do kelnerek, o której kończą pracę, kwitowane były uśmiechem. W nowej rzeczywistości nie odnalazłby się także George Best, który kiedyś powiedział, że nie potrafiłby się zdecydować, czy lepiej strzelić gola Liverpoolowi na Anfield, czy przespać się z Miss Świata. – Na szczęście nie musiałem wybie-

Kiedy kilka tygodni temu Gerard Piqué, zawodnik FC Barcelony, obwieścił na Twitterze, że razem z Shakirą doznał się wreszcie potomka, angielska prasa natychmiast zagrała na swojej ironicznej strunie. Sprawdzone dokładnie, co dziewięć miesięcy wcześniej robił John Terry, znany ze swoich seksualnych wybryków, i okazało się, że jego Chelsea grała akurat mecz z Barceloną w Katalonii, a Terry z powodu czerwonej kartki musiał wcześniej zejść z boiska i miał dużo wolnego czasu. Za Anglikiem ciągnie się smród, od kiedy okazało się, że regularnie sypia z partnerką kolegi z drużyny Wayne'a Bridge'a.

Bridge zmienił co prawda Chelsea na Manchester i zostawił swoją Vanessę Perroncel z małym dzieckiem w Londynie, ale nie wiedział, że tak troskliwie zaopiekuje się nią Terry. Ówczesny kapitan reprezentacji Anglii odwiedzał ją regularnie przez cztery miesiące, a kiedy zaszła w ciążę, namówił do aborcji i w ramach przeprosin dał 20 tysięcy funtów. Dla niego nie był to specjalny wydatek, bo tygodniowo zarabiał 170 tysięcy.

Perroncel nie była zresztą w całej sprawie wyłącznie ofiarą. Dobrze wiedziała, że tuż przed ślubem Terry przyznał się swojej żonie, że zdradził ją osiem razy, a jego koledzy opowiadali wszem wobec, że ich kapitan nie odpuści żadnej okazji. Był smakowitym kąskiem, bo łatwym i bogatym. Kiedy pani Perroncel poszła ze swoją opowieścią do prasy, a „News of the World” zaproponował jej ćwierć miliona funtów za wyłączność, dziennikarze przedstawili piłkarzowi gorzką prawdę – „John, wiemy o wszystkim”. Wydawało się, że kariera Terry'ego właśnie zawiśła na włosku, kilka tygodni wcześniej piłkarz odebrał nagrodę Tata Roku, teraz trzeba było do niej dodawać „ale na boku”. Piłkarz próbował blokować publikację artykułu w sądzie, ale przegrał.

☞ Kiedy Francka Ribery'ego oskarżono o kontakty z nieletnią prostytutką, stracił szansę transferu do Realu. Klub z Madrytu zrezygnował z francuskiego pomocnika. Real to nie żona i nie wybaczca.

rać, zrobiłem obie rzeczy – stwierdził. Best kolekcjonował najpiękniejsze kobiety. Przyznał kiedyś, że na dziewczyny, alkohol i szybkie samochody wydał większość pieniędzy, a resztę roztrwonił. Frank Worthington, były reprezentant Anglii, u którego stwierdzono nadciśnienie spowodowane nadmierną aktywnością seksualną, powiedział, że Best chciał, żeby wszystkie kobiety go kochały. A Worthington chciał się z nimi tylko kochać.

Żonę przeproszał przez tydzień – na wakacjach w Dubaju. W zamian za pierścionek z brylantami zgodziła się wszystko wybaczyć. Para wróciła do Londynu, będąc „blisko jak nigdy”. Selekcjoner reprezentacji Fabio Capello odebrał Johnowi opaskę kapitana, a Bridge nie podał mu ręki, kiedy Manchester City grał z Chelsea. Tyle że Bridge przy okazji dowiedział się o kilku innych przygodach swojej Vanessy. Solidarność z Terryem kazała Adrianowi Mutu, rumuńskiemu zawodnikowi, który kiedyś grał w Anglii, wykrzyknąć: „Wayne, nie żartuj, ja też z nią spałem, znam jeszcze przynajmniej dwóch innych zawodników Chelsea, którzy fajnie się z nią bawili”. Wayne nadal jest w złym humorze.

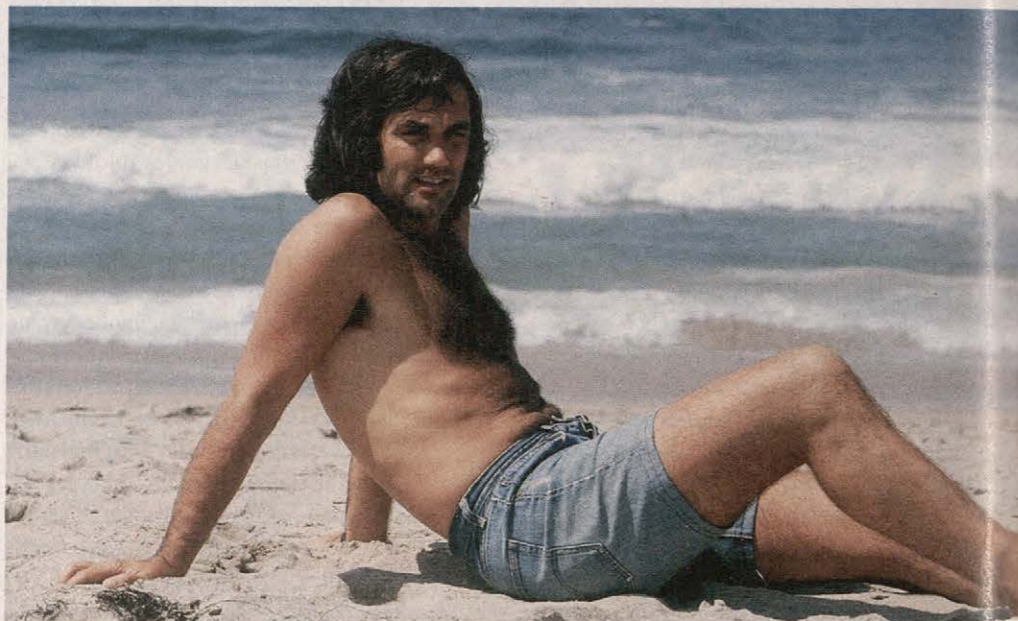
Seks w kaloszach

Terry nie jest jedynym dobrym ojcem i przykładowym mężem, którego złapano na gorącym uczynku i który chciał zastosować wobec mediów tzw. gagging order, czyli wprowadzony przez sąd nakaz milczenia w mediach na tematy, które mogłyby naruszyć czyjąś prywatność. Przez kilka miesięcy walkę z tabloidami toczył też Ryan Giggs, jeden z najbardziej znanych i szanowanych graczy Manchesteru United. Jego słodki sekret chciała zdradzić Imogen Thomas, walijska celebrytka w polskim stylu, czyli znana tylko z tego, że wzięła udział w „Big Brotherze”. Na romanse z Giggsem miała zamiar zarobić, ale przez kilka miesięcy sąd nie godził się na publikację jej opowieści. W końcu artykuł ukazał się w katalońskim „Sportcie”, którego zakaz nie obowiązywał, ale wtedy żona Ryana już o wszystkim wiedziała, bo słysząc wielokrotnie w mediach o „znanym, żonatym piłkarzu, którzy walczy w sądzie o prawo do prywatności”, zapytała męża, czy to przypadkiem nie on. I tak jak żona Terry'ego – wybaczyła.

Inny gwiazdor Manchesteru United, Wayne Rooney, w 2004 r. przyłapano został na korzystaniu z usług 52-letniej prostytutki, babci szesnastoletniego wnuczka. Początkowo kobieta wszystkiego się wypierała, ale media jakoś wiedziały o każdym szczególe,

łącznie z tym, że napastnik drużyny Fergusona zażył sobie seksu pod prysznicem w kaloszach. Rooney nie omieszkiał złożyć swojej wybrance także niepozostawiającego wiele do tłumaczenia autografu: na serwetce napisał „dla Charlotte, którą przeleciałem 28 grudnia, Wayne”. Co zrobiła naręczona Wayne'a? Tak – oczywiście przebaczyła mu.

Nie wiadomo, dlaczego piłkarze lubią po sobie zostawiać ślady. Pozostając na podwórku Old Trafford, bo wszystko



co związane z Manchesterem United aż kipi seksem, trzeba wspomnieć o piłkarzu pochodzącym z Trinidadu Dwiglicie Yorke'u. Nazywany razem z Andym Colem „toxic tweens” (toksycznymi bliźniakami), początkowo zabierając nowe panienki z klubów do domu, mówił, że jest listonoszem i dlatego wszyscy go pozdrawiają na ulicach. Później nie krył się już ze swoim hobby, zapraszał do domu kolegów z drużyny i kilka kobiet naraz, a szalone orgie rejestrował kamerą. Nagranie, na którym australijski bramkarz Manchesteru Mark Bosnich paraduje w sukience za kopulującym Yorke'em, zostało znalezione na śmietniku przed domem piłkarza. Obaj szybko zniknęli z klubu.

Yorke był świetnym zawodnikiem i choć Stan Collymore nigdy nie osiągnął

jego poziomu, w Premiership miał dobrą markę, zdążył też zagrać w reprezentacji Anglii. Już po zakończeniu kariery przyznał, że nie osiągnął tyle, ile mógł, przez specyficzne zainteresowania seksualne. Nie osiągał satysfakcji w łóżku z żoną, nawet z kochanką, dobrze było mu tylko wtedy, kiedy nie znał swojej partnerki. Spełniał się na parkingach supermarketów, uprawiając tak zwany dogging. W 2004 r., płacząc, przyznał się do przynajmniej 12 przypadkowych stosunków seksualnych w samochodzie, zapisał się

na terapię, przeprosił, że poniżał swoją rodzinę i samego siebie.

Kim są WAG

Piłkarz na rynku aspirujących modelek to bardzo pożądanym towarem. Żonaty, nieżonaty, nieważne. W Internecie jest mnóstwo porad, jak zmienić się z „Wanna be Wag” w „WAG”. WAG to żony i dziewczyny znanych piłkarzy, a nie zwyczajne groupies – to wyższa kasta, nie pisząca na widok piłkarza, ale mająca dostęp do jego konta. Jak się do niej dostać? Na początek trzeba poznać kalendarz rozgrywek ligowych i przypadkiem znajdować się w hotelach, w których zatrzymują się drużyny gości, albo bawić się w dyskotekach w najbliższej okolicy. Trzeba być szczupłą i wyzywająco się ubierać.

George Best mawiał, że nie potrafiłby się zdecydować, czy lepiej strzelić gola Liverpoolowi, czy przespać się z Miss Świata.



Vanessa Perroncel była najpierw dziewczyną Wayne'a Bridge'a, a kiedy ją zostawił, zaszła w ciążę z Johnem Terryem.

Alicia Douvall, według „The Sun” jedna z czołowych angielskich groupies, twierdzi, że spała z Terryem, kiedy jego żona była w ciąży, „zaliczyła” też Yorke'a i Celestine Babayaro. Poznała ich w klubie, w którym zawodnicy płacili 20 tysięcy funtów za gwarancję, że nie zostanie zrobione im zdjęcie. – W takich miejscach są dla piłkarzy specjalne pokoje, w których mogą uprawiać seks. Właścicielom zależy na bogatych klientach. Zanim piłkarz zainteresuje się jakąś dziewczyną, najpierw patrzy na właściciela klubu. Gdy ten skinie głową, oznacza to, że można, że ta kobieta jest bezpieczna i nie doniesie o wszystkim prasie – opowiada Douvall.

W Anglii o seksualnych aferach mówi się najwięcej, bo bulwarowe media są agresywne i wszechwiedzące, ale tego

typu skandale nie zdarzają się wyłącznie na Wyspach. Ostatnio we Włoszech Lea di Leo, aktorka porno, wymieniła w swojej książce nazwiska kilkunastu piłkarzy Serie A – choćby Marca Borriello, Massimo Ambrosiniego, Francesca Coco czy Christiana Vieriego – na długiej liście kochanków. Byłaby ona zresztą dłuższa, gdyby nie cena 40 tysięcy euro, którą wystarczyło zapłacić, żeby nie znaleźć się w publikacji. Di Leo na kaucjach zarobiła na pewno dużo więcej niż ze sprzedaży egzemplarzowej swego dzieła.

Trzy lata temu Francja żyła zarzutami wobec połowy reprezentacji, w tym Francka Ribery'ego, Sidenya Govou czy Karima Benzemy, za współzycie z nieletnią prostytutką w Paryżu. Dużo wcześniej Ribery dla swojej kochającej żony przeszedł nawet na islam, a teraz

ich związek wisiał na włosku. Zwyciężyła jednak troska o dwoje dzieci. W tym okresie szykował się transfer Ribery'ego do Realu, ale klub z Madrytu zrezygnował z francuskiego pomocnika. Real to nie żona i nie wybacza.

Dziewczyna Cristiano Ronaldo miała pseudonim „Wspólna”. Nereidę Gallardo znało pół ligi hiszpańskiej, wszyscy z tej samej strony. Portugalczyk zostawił ją dopiero przed przejściem do Realu Madryt, przystając na prośbę matki, która nie potrafiła znieść tego, że jej synowa nie jest dziewicą. Gallardo kursowała po całym kraju, ale Danielle Lloyd osaczała tylko piłkarzy Tottenhamu Hotspur, w krótkim okresie miała ich trzech. Kolegom z drużyny jakoś to nie przeszkadzało.

W Niemczech też się dzieje. Oliver Kahn zostawił swoją ciążną żonę dla 21-letniej hostessy, którą gazety nazywały okoliczkowanym kurczakiem, a Franz Beckenbauer uwiódł sekretarkę w trakcie gwiazdkowego przyjęcia w siedzibie klubu, czego konsekwencją było dziecko.

Brazylijski napastnik Ronaldo po wyboistej karierze w Europie wrócił do kraju i postanowił zabawić się z trzema prostytutkami naraz. Każdej zapłacił po 500 dolarów, ale kiedy zaproszone panie okazały się transwestytami i chciał je wyprosić za drzwi, usłyszał, że milczenie kosztuje 15 tysięcy dolarów. Kiedy szantaż się nie udał, w mediach pojawiły się ich opowieści o tym, jak Ronaldo się z nimi zabawiał, wciągając przy tym równie obojętnie kokainę.

Co grozi piłkarzowi, którego seksualne słabości ujrzą światło dzienne? W klubie może zapłacić karę, selekcjoner reprezentacji może zabrać mu opaskę kapitana, żona może odejść, ale najczęściej sprawdza się wtedy siłę perswazyj diamentów. A kibice? Pożyją sprawą kilka tygodni, może miesiąc, a później będą kochać dużo bardziej niż jakiegoś Kake, który dobrze gra w piłkę i płaci pieniądze na swój Kościół, ale jest tak nudny i bez wyrazu, że trudno go kochać. Kibice kochają słabych, bo w wielkich piłkarskich herosach szukają samych siebie.

ROZMAWIA ANITA BŁASZCZAK

Ludzki szef

O tym, że najwyżej płatną pracę znajdziemy w Szwajcarii, w biurach Hiszpanii panuje najbardziej nieformalna atmosfera, a pracowników najlepiej do wysiłku motywują Polacy, opowiada **David Plink**, dyrektor generalny Instytutu CRF, który wybiera i certyfikuje najlepszych pracodawców.



Gdzie pracownikom jest teraz najlepiej?

To trudne pytanie, bo nie porównujemy państw, ale firmy w poszczególnych krajach. Porównujemy, a potem certyfikujemy.

Jakie wnioski można chyba jednak z tych porównań wyciągnąć?

Każdy kraj ma swoje atuty i kładzie nacisk na nieco inne sprawy, np. obecnie w Polsce firmy poświęcają wiele uwagi zaangażowaniu pracowników. Starają się zwiększyć motywację pracowników, ich identyfikację z firmą, co zachęca ludzi do większego wysiłku. Jeśli więc ktoś chce pracować w takiej firmie, to najlepszym miejscem jest teraz Pol-

ska. Jeśli natomiast szuka najwyższych zarobków, to na pewno godna polecenia jest Szwajcaria, choć koszt utrzymania również jest tam wysoki. Z kolei ci, którym zależy na nieformalnej kulturze w pracy, mogą pojechać do Hiszpanii. Byłem tam ostatnio na gali Top Employers, która zakończyła się tańcami dyrektorów HR. Ludzie sami powinni więc zdecydować, co im najlepiej pasuje, a potem na tej podstawie wybierać miejsce pracy, także geograficznie.

Gdzie jest najwięcej firm, które spełniają standardy Instytutu CRF?

Oceniamy spółki z 46 państw, ale pełne projekty Top Employers prowadzimy

w 13 krajach. Najdłuższa lista kandydatów, 128 firm, jest w Niemczech, co wynika zarówno z wielkości gospodarki, jak też z faktu, że nasz projekt bardzo przemawia do niemieckiego rynku, który lubi porządek. Firmy w Niemczech uwielbiają certyfikaty.

A w Polsce?

Też je lubią, ale jeszcze bardziej lubią porównywać się z Europą Zachodnią. Chcą wiedzieć, jak wypadają na tle firm z Francji czy Niemiec. Pytają nas: „Czy dorównujemy zachodnim standardom?”.

I dorównują?

Dobra wiadomość jest taka, że wśród Top Employers w Polsce znajdziemy nie tylko zagraniczne, ale też krajowe spółki. Te drugie mają nawet pewną przewagę, ponieważ zaczęły się rozwijać w późniejszej epoce niż firmy w Europie Zachodniej, wtedy gdy polityka HR była tam już na dużo wyższym poziomie. Firmy w Polsce mogły więc wykorzystać najlepsze wzory ze świata i uczyć się na błędach innych.

Słyszałam jednak, że krajowe firmy często dość opornie wprowadzają światowe rozwiązania. To głównie spółki globalnych korporacji zapewniają ludziom np. prywatne przychodnie czy karnety sportowe.

W naszym projekcie również znajdują się w awangardzie. Wiele polskich firm, które zdobyły certyfikat, ma zagraniczne korzenie, ale nie brakuje też krajowych spółek.

W ramach certyfikacji oceniacie różne aspekty polityki personalnej firm. Nie tylko benefits, ale i warunki pracy, możliwości rozwoju zawodowego, kulturę korporacyjną. Jakie kryteria są dziś najważniejsze i czy zaszły tu jakieś zmiany po kryzysie finansowym?

W procesie certyfikacji wszystkie te obszary mają takie samo znaczenie, ale patrząc od wewnątrz firmy, nastąpiły pewne zmiany. Inne są np. potrzeby pracowników. Teraz coraz częściej chcą mieć możliwość wyboru dodatkowych korzyści, które im najbardziej odpowia-

dają. Taką szansę dają im systemy kafeteryjne, mało jeszcze popularne w Polsce, w których pracownik sam wybiera, czy woli karnet na siłownię czy do kina. Widzimy też, że po kryzysie ludziom bardziej zależy na stabilizacji, długoterminowym związku z firmą. Przekłada się to na ofertę firm – skala podwyżki jest teraz dużo mniejsza niż w poprzednich latach. Pensje w części branż nawet spadły. To naturalne, gdy ludzie szukają głównie bezpieczeństwa, a nie najwyższych zarobków. Rośnie też znaczenie kultury firmy.

A ona w dużym stopniu zależy od ludzi, przede wszystkim od menedżerów. Jak wypadają polscy szefowie?

W naszym projekcie nie mierzymy stylów zarządzania, ale oceniamy politykę, praktyki zarządzania ludźmi. Mogę jednak stwierdzić, że najlepsza polityka, najwyższe standardy HR niewiele dają, jeśli menedżerowie nie stosują ich na co dzień, nie żyją tymi wartościami. W Polsce, mimo tak dużego nacisku na zaangażowanie, niewiele uwagi zwraca się na społeczną aktywność w firmach – na działania, które zbliżają pracowników. Ogranicza się je zwykle do sportu, choć możliwości jest dużo więcej, choćby spotkania networkingowe dla nowych pracowników. Z kolei w komunikacji, która jest jednym z kluczowych zadań menedżera, w Polsce istnieje duży nacisk na praktyczne kwestie; szef mówi, jakie są cele, zadania, plany na następny rok. Jeśli jednak chodzi o misję, wizję, wartości i długoterminowe cele – to formalna komunikacja jest bardziej ograniczona. Bardziej istotne są te mniej oficjalne kanały komunikacji.

Czyli korytarzowe. Czy to oznacza, że polscy menedżerowie powinni więcej informować, organizować spotkania z pracownikami?

Sądzę, że teraz ludzie potrzebują przede wszystkim bezpośredniego, realnego kontaktu z menedżerami. Nie komunikatu w Intranecie, ale spotkania z szefem, który włączy ich w strategię firmy, jej wizję. Trzeba jednak

uwzględnić kulturę kraju. Przykładowo w Niemczech czy we Francji to normalne, że nawet po latach wspólnej pracy ludzie utrzymują bardzo formalne stosunki, zwracając się do siebie przez pan, pani. Z kolei w Hiszpanii czy Brazylii szybko przechodzi się na ty. Byłem niedawno na spotkaniu biznesowym w dużej brazylijskiej firmie i na koniec nasi rozmówcy ucałowali nas na pożegnanie.

Mówi się, że styl zarządzania polskich szefów jest nastawiony na wyznaczanie zadań i egzekwowanie wyniku. To prawda?

W polskich firmach widzimy dobrą strukturę i dobrze zorganizowany system ocen. Natomiast mniej widoczny jest personalny kontakt, związek szefów z pracownikami. Tutaj międzynarodowe firmy mogą być przykładem mniej sformalizowanego, bardziej bezpośredniego stylu komunikacji, co z czasem przejmą inne spółki.

Czy firmy z certyfikatem Top Employers odróżniają się od tych przeciętnych?

Największe różnice widać nie w tym co, ale w jaki sposób firma oferuje. Dobre pensje, benefits, szkolenia ma wiele spółek. Tym, co odróżnia Top Employers od innych, to sposób, w jaki ta oferta jest wprowadzana. Trzeba mieć pewność, że pracownicy są w stanie z niej korzystać. Czy to przynosi efekty. Po części to także kwestia kultury firmy; np. w call centers można niekiedy bardzo dobrze zarobić, ale i tak ludzie szybko stamtąd odchodzą. Bo nie mają możliwości rozwoju. Top Employers zwracają też uwagę na poszczególnych pracowników.

Czy istnieją jakieś regionalne różnice, czy mamy tu już globalizację?

Zdecydowanie widzimy globalne trendy – na całym świecie firmy koncentrują się teraz na zwrocie z inwestycji w kadry, na rentowności tych wydatków. W miękim HR nastawionym na ludzi i ich potrzeby coraz więcej uwagi zwraca się na twarde liczby, systemy. Moim zdaniem to korzystna zmiana, bo po-

twierdza profesjonalizację HR. Jednak pewne różnice kulturowe nadal się utrzymały. W Holandii, skąd pochodzę, nie można ludziom narzucić decyzji. Trzeba osiągnąć konsensus. Z kolei w Chinach firmy są bardzo hierarchiczne. A w Polsce styl zarządzania jest dość tradycyjny i także raczej hierarchiczny, co jest elementem waszej kultury i historii. Nie da się tego zmienić w ciągu 20 lat, a zresztą nie warto równać do przeciętnej średniej. Natomiast polscy menedżerowie mogliby poprawić komunikację, bardziej się otworzyć.

Co z obawą o ujawnianie firmowych sekretów, np. na Facebooku?

Nie chodzi o to, by ujawniać planowane patenty albo nowości. Ale trzeba być ludzkim – to uważam za najważniejsze w komunikacji i w przywództwie. Niedawno prezes jednej z firm w Holandii (Akzo Nobel NV – przyp. red.) zaledwie po kilku miesiącach od objęcia stanowiska poszedł na zwolnienie chorobowe, bo był przemęczony. Firma otwarcie poinformowała, że prezes weźmie kilka miesięcy wolnego i wyznaczyła jego zastępcę. Pokazało to, że nawet prezes może być wypalony.

Już po kilku miesiącach?!

Tak. Co ciekawe, akcje firmy początkowo spadły, ale potem poszły w górę. A zaufanie jej pracowników wzrosło. To potwierdza, że warto, aby liderzy byli otwarci, dzielili się informacjami. Tym bardziej że na rynek pracy wchodzi nowe pokolenie, które ma inne pojęcie prywatności. Nie ma problemów, by się nią dzielić na Facebooku. To są przyszli pracownicy firm, które też muszą się bardziej otworzyć. Swoją drogą, będzie to ciekawe doświadczenie, gdy na emeryturę odejdzie pokolenie tzw. baby boomers (obecnie 50–60-latki – przyp. red.), a ich miejsce we władzach firm zajmie pokolenie X (35–40-latki). Jest ono bardziej uporządkowane, ale niekoniecznie tak kontaktowe, jak pokolenie Y (20–30-latki). Może więc być im trudno porozumieć się z podwładnymi z młodszych generacji. ☞



DAVID PLINK

od 2012 r. kieruje Instytutem CRF, wcześniej pracował dla branży doradczej i czołowych mediów tradycyjnych i wirtualnych, zdobył doświadczenie w badaniu rynku w AC Nielsen US. Ma dyplom MBA z Uniwersytetu w Berkeley, skończył studia na Uniwersytecie Lejdejskim. Jest żonaty, ma czworo dzieci.



AGNIESZKA BRZEZIŃSKA-WIDERA

Powrót „chłopca”

Powrót na zagraniczny rynek marki **BOY London** na nowo podniósł wrzawę wokół zawłaszczania przez kulturę masową i popularną symboli wyniesionych do sfery sacrum ze względu na ich mistyczny lub tragiczny historycznie charakter.

Marzec 2012 r., Londyn. Jonathan Ross zaprasza do swojego show Rihannę. Wokalistka śpiewa „Give It To Me Baby”, śmiało wyginając się przed onieśmielonym początkowo Johnem, od stóp do głów ubrana w BOY London z charakterystycznym orłem, który do złudzenia przypomina symbol nazistowski. Ale twórca marki BOY, Stephane Raynor, od ponad 35 lat zaprzecza, by czerpał inspirację z estetyki III Rzeszy.

Raynor wystartował w 1977 r. na Kings Road w Londynie. Głównymi odbiorcami marki miały być rzesze punków. Mroczna, wręcz dekadenska stylizacja, surowy minimalizm, czerń i biel oraz wykorzystywane symbole mocno zakorzeniały się w świadomości młodych buntowników. Mimo iż w pierwszych dniach funkcjonowania firmowego sklepu został on najechany przez policję i poważnie zdewastowany, nie przeszkodziło to rosnącej popularności BOY-a.

Raynor nie zdawał sobie sprawy, że to, co stworzył, rozchodzi się niczym wirus. Wkrótce okazało się, że każda wielka gwiazda ubiera się w BOY-a. Dla Madonny, Blondie, Eltona Johna, Andy’ego Warhola, Pet Shop Boys, Billy’ego Idola, Depeche Mode, Whitney Houston BOY był niczym mundur. Najwierniejszym propagatorem marki stał się Boy George, który na początku lat 80. współtworzył ruch New Romantic. Nosił „chłopca” tak wiernie, że wkrótce zaczęto przypisywać mu posiadanie marki. Dzięki temu Stephane Raynor oszczędził sporo na wydatkach reklamowych.

Orzeł rzymskich legionów

Najpopularniejszym i kluczowym dla tożsamości marki symbolem jest orzeł, do złudzenia przypominający emblemat nazistowski. Bo choć kreatorzy wizerunku marki zapewniają, że wzorowali się bardziej na orle legionów rzymskich, trudno im do końca wierzyć. Już pierwsze grafiki tworzone przez BOY-a zawierały wizerunek Hitlera, a nawet swastykę.

Dziś na próżno szukać starych lookbooków, zdjęć pełnych kolekcji z po-

czątków debiutu. W Internecie udostępnione są urywki pokazów (w tragicznej jakości), kilka powtarzających się zdjęć tych samych ubrań, a także archiwalne fotografie gwiazd – wiernych fanów BOY London.

Dopiero po intensywnym poszukiwaniu i wnikliwym przesledzeniu wszystkich filmów udostępnionych na oficjalnym kanale BOY London na YouTube udaje się odnaleźć niepokojący ślad. Film prezentujący nalot policji na sklep BOY (prawdopodobnie z początków istnienia marki na rynku). W 32. sekundzie widzimy koszulkę wyraźnie pokrytą swastykami. Swastykę na ramieniu ma też jeden ze sprzedawców.

W tym samym czasie na Kings Road klientów kusił butik SEX należący do Vivienne Westwood i jej ówczesnego chłopaka Malcolma McLaren, menedżera Sex Pistols. „Królowa pun-

Trend nazi chic rozwinął się w połowie lat 70. XX w., wraz z pojawieniem się ruchu punk w Londynie.

ku” i na pewno królowa prowokacji, pierwsza dama buntu, dumnie nosiła na piersi koszulkę ze swastyką opatrzoną napisem „Destroy”, odwróconym krzyżem i miniaturowym zdjęciem królowej Anglii.

Trend nazi chic rozwinął się w połowie lat 70., wraz z pojawieniem się ruchu punk w Londynie. Momentem przełomowym dla rozpropagowania tego trendu w środowisku punk było wystąpienie telewizyjne Sex Pistols, w którym nie zabrakło szokującego symbolu swastyki. Członkowie zespołu nosili też na piersi odwrócone krzyże, wizerunek Hitlera, Marksa i cytaty z hiszpańskiego anarchisty Buenaventury Durrutiego. Wszystko ku chwale oryginalności i prowokacji.

Projekty Vivienne Westwood miały wpływ na tworzenie na wyspach trendu nazi chic. Co więcej, dały początek przyzwoleniu na nieograniczone wykorzystywanie przez modę wszelakich negatywnie nacechowanych symboli. O Johnie Galliano, który po pijaku wyznał miłość Hitlerowi, za co wyleciał z hukiem z domu mody Dior, donosiły wszystkie media. Mało kto zaś słyszał o Francesco Barbaro, który w 2001 r. wykorzystał w swym pokazie nie tylko stylizację czasów nazistowskich, ale i swastykę, odważ-

nie osadzając ją na swoich kreacjach. Ataki krytyki odpierał, tłumacząc, że jego celem było ośmieszenie świata mody i tych, którzy beznamytnie przyjmują wszelkie trendy, stając się często ich ofiarą.

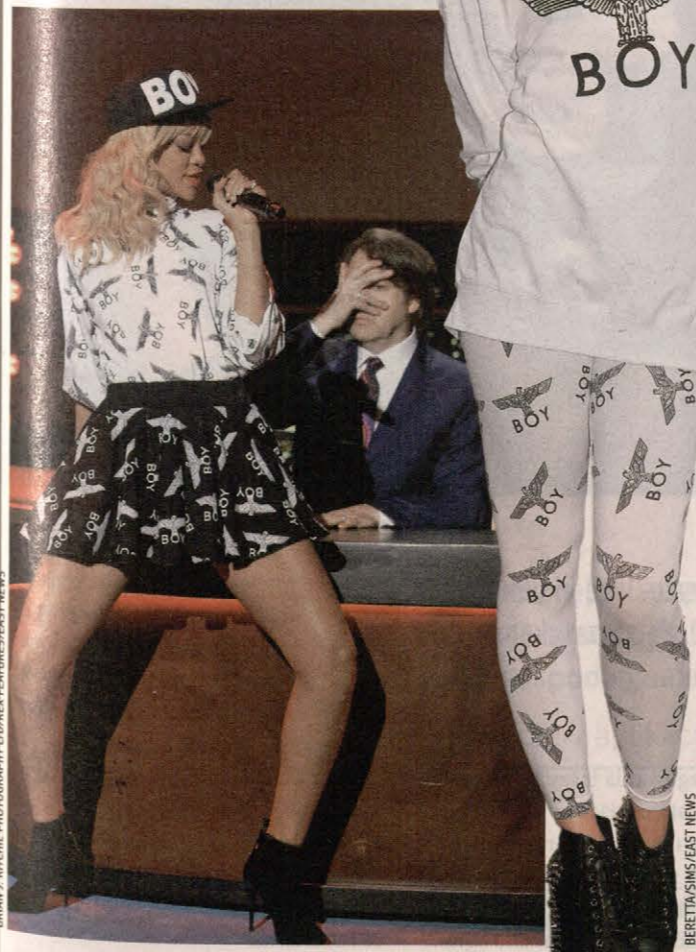
Niewiedza jest błogosławieństwem

O marce BOY London znów zrobiło się głośno w XXI w. Nowi dyrektorzy kreatywni – Gareth Emmett i Rhys Dawayne – nie tylko wskrzesili markę, ale też osadzili ją w nowej epoce, kochającej wszystko co vintage i nad wyraz uzależnionej od kontrowersji. Dyrektorzy kreatywni wykorzystali idealny moment: kryzys i poszukiwanie tożsamości w świecie pozbawionych ideałów subkultur, które odwołują się wyłącznie do wizerunku będącego wyznacznikiem pozycji w grupie. Dzięki BOY-owi wracamy do przełomu lat 70. i 80. Stąd na ulicach znów królują kolorowe, szalone fryzury, buty na koturnach i platformach, ciemne kolory, leginsy, proste kroje, ciemne, często kontrastowe kolory i banalne (surowe) grafiki.

Dziś nastolatki, najczęściej czarnoskórzy, ubrani od stóp do głów w kolekcje ulubionego „chłopca”, nie mają pojęcia, jak, kiedy i dla kogo powstała marka, nie wiedzą, skąd symbol orła, i – co najważniejsze – nie mają pojęcia o dawnych nazistowskich inspiracjach projektantów firmy.

Chłopiec pilnie poszukiwany...

Moda, która zwykła przybywać do Polski ze znacznym opóźnieniem i znaczącą nadwyżką cenową, dotarła z Wysp w mocno ekskluzywną wersję. Można było sądzić, że Polacy, nawet najmłodszy, zachowają należyty dystans wobec mody o wątpliwym i niejednoznacznie przekazywanym. Nic bardziej mylnego. Zdaniem socjologa Macieja Szymonskiego, głównym powodem sukcesu BOY-a jest niska świadomość historyczna jego wielbicieli. Jak tłumaczy: – Większość osób nie ma zapewne pojęcia, skąd wziął się ten orzeł i co symbolizuje. Żyjemy w kraju, gdzie



posel nie ma pojęcia, kiedy miały miejsce przełomowe momenty historii najnowszej, nie można więc oczekiwać, że 20-letnia szafiarka rozpozna godło III Rzeszy w logo firmy modowej, której ubrania nosi jej idol/idolka. Używanie stylistyki nazistowskiej wynika więc najczęściej z małej świadomości historycznej społeczeństw – inaczej trudno wytłumaczyć fakt, że osoba homoseksualna, czarnoskóra albo potomek kogoś zabitego w obozie zagłady, świadomie nosi emblematy będące jednoznacznie związane z ideologią chcącą go zniszczyć.

– Kontrowersja towarzysząca wykorzystywaniu tego typu symboli jest dziś czymś tak samo pożądanym jak w latach 70. Różnica polega jednak na tym, że dziś nie trzeba być wyznawcą jakiegokolwiek ideologii, by ozdabiać się swastykami czy wizerunkiem Hitlera. Jednak nawet nazi chic nie może szokować zbyt długo. Można się zastanawiać, jaki jest kolejny krok i bariera, którą dzisiejsze społeczeństwa są w stanie pokonać. Jeśli nie są nią wątki homoseksualne, marksistowskie/leninistyczne (Che Guevara jako ikona), czasami nawet pedofilskie, to może taką granicą dla nowoczesnego świata pozostanie kanibalizm czy niedawno przeżyte dramaty (WTC, Londyn, Madryt, Breivik) – kontynuuje Szymonski. Przytoczyć tu należy przypadek aresztowania na Polach Elizejskich kibica z napisem „Bin Laden” na koszulce. Policjanci interweniowali natychmiast, sądząc, że kibic próbował oddać hołd przywódcy Al-Kaidy.

Jak twierdzi Szymonski, funkcjonujące prawo powinno być skuteczną barierą dla zawłaszczania przez kulturę popularną tych symboli, które odwołują się do tragicznych wydarzeń z historii, bądź są propagandą zła. Prawo nie powinno więc dopuszczać do takich sytuacji (a więc zapobiegać im, tworząc konkretne i jasno sprecyzowane zakazy), aniżeli reagować dopiero, gdy naruszone zostaną pewne normy. Kodeks karny w artykule 256 określa postępowanie wobec publicz-



Dzisiaj nie trzeba być wyznawcą jakiegokolwiek ideologii, by ozdabiać się swastykami czy wizerunkiem Hitlera.

nego propagowania faszyzmu i nawoływania do nienawiści.

Co pewne, brak zainteresowania odbiorców poskutkowałby rychłym upadkiem marki, która wyrosła na wątpliwych fundamentach, mocno ograni-

czonego intelektualnie społeczeństwa. BOY London powstał z martwych, i co gorsza przedostał się do świadomości ludzi posiadających wiedzę na temat nazizmu (w tym Polaków), a w efekcie absolutnie tę wiedzę zdeptał.

Brak odpowiedniej edukacji doprowadza więc do absurdu sytuacji, w której czarnoskóry chłopiec z dumą nosi na piersi orzełka Hitlera za niecałe 50€. Bezrefleksyjnie podchodzi do tego, co modne. ☹

i Rzeczpospolita

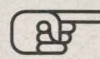


Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/zakupy



ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

Nikifor ubiera się u Prady

O przemalowywaniu Wilhelma Sasnała, mafii z MSN-u, 1500 autostopach i retrospektywie „Oblęd” opowiada **Edward Dwurnik**, którego prace od piątku będzie można oglądać w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Podobno wystąpił pan skrzynie z obrazami do Krakowa. Nie widać, by w pana pracowni cokolwiek ubyło.

Wczoraj pojechało około 100 prac, czyli 1 proc.! Najpierw chciałem pokazać same duże formaty, pięć na sześć metrów, tyle, ile się tam zmieści, czyli 40 – 50 obrazów. Nie przeszło. Potem zaproponowałem, by odtworzyć moją pracownię, około 1000 obrazów, tak jak tu leżą, wiszą, stoją. Ludzie mogliby je przeglądać, przesuwając, przerzucać, czytać komentarze na odwrocie... Ale pracownicy muzeum się zbuntowali. Najpierw wpadli w panikę konserwatorzy: jak to wszystko przyjąć na wystawę, zinwentaryzować, zabezpieczyć? Podobno zajęłoby to im dwa lata i zupełnie sparaliżowało pracę. Do tego dołożyła się ochrona. Jak tego pilnować? Co ludzie mogliby robić, a czego im zabronić? Nie mam świętego stosunku do swoich dzieł, ale muzeum ma swoje zdanie.

Na czym stanęło?

Dominik Kuryłek przekonał mnie, bym zaprezentował się ogólnie. Wybraliśmy 10 dużych obrazów, najstarszy z 1968 r. i kilkadziesiąt średnich. Ten kurator jako jeden z pierwszych zainteresował się moimi rysunkami, a mam ich na koncie ponad 14 tys.!

EDWARD DWURNIK

Urodził się w 1943 w Radzyminie koło Warszawy, malarz i grafik. Studiował malarstwo i grafikę w pracowni Krystyny Łady-Studnickiej warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, a także przez trzy lata rzeźbę. Pod koniec lat 60. ukształtował się jego charakterystyczny, rozpoznawalny styl: wieloelementowe kompozycje często komentujące współczesne wydarzenia. Dwurnik ma opinię jednego z najbardziej płodnych polskich malarzy.

Boże, oglądał to wszystko?

A skąd! Akwarele i gwasze schodzą na bieżąco. Więc miał znacznie mniejszy wybór, ostatecznie wyselekcjonował 63 rysunki. Zrezygnował z kilku zasadniczych cykli: „Niech żyje wojna”, „Pejzaże morskie”, „Kobiety w ciąży”. Oparł się na „Sportowcach”, „Autostopach” i „Robotnikach”.

Uchodzi pan za osobę całkiem racjonalną.

**A wystawa nazywa się „Oblęd” ...
O co chodzi?**

O wielki obraz „Oblęd ludu”. Namalowałem go w 1981 r., a opowiada o roku 1970 w Gdańsku. Przedstawia grupę robotników, do których strzelają żołnierze. Przeżyłem marzec 1968 r. w Warszawie, pałowanie na Uniwersytecie, ale nie wierzyłem, że żołnierze mogą strzelać do robotników.

Przez lata uchodził pan za symbol konfekcji malarzkiej, konformizmu. To zabawne, że z czasem jest pan traktowany jako malarz problemów społecznych.

Robotnicy, bohaterowie moich obrazów, to chłoporobotnicy, którzy jeździli ze mną co rano – ja do szkoły, oni do pracy. Sportowcy zaś to ludzie, którzy musieli się przez życie rozpychać łokciami, walczyli, żeby przetrwać, czyli w gruncie rzeczy uprawiali taki bardzo

naturalny sport. W latach 80. namalowałem wiele złośliwych obrazów. Poczuliśmy, że cała ta opozycja to jest pic na wodę, że chodzi tylko o zaistnienie.

Opozycja zarzucała panu w stanie wojennym, że wylał się pan z bojkotu galerii, wystawiał pan na Zachodzie.

Mieczysław Rakowski wpadł wtedy na pomysł, żeby rozwiązać Związek Polskich Artystów Plastyków. W Komitecie założycielskim nowego związku znalazł się Andrzej Fogt, Jerzy Duda-Grac i ja. Namówił mnie Andrzej Skoczylas. Prowadził wtedy czasopismo „Sztuka”, gdzie pokazywałem swoje obrazy. Poza tym ktoś z ministerstwa mi powiedział, że nie pojedę na stypendium do Niemiec, jeśli nie wezmę

w tym udziału. Żeby było jasne, nigdy tego nie żałowałem. Nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem. W 1982 r. brałem udział w wystawie Documenta w Kassel, potem miałem wystawę w Muzeum Van Abbe w Eindhoven w Holandii. Nawiązałem kontakt z galeriami. Jakbym się podporządkował, nic by się nie udało, siedziałbym sfrustrowany.

Zero buntu?

Ja wolałem mieć spokój w pracy, niż bawić się w politykę.

Wracając do wystawy, może tytułowy oblęd odnosi się do pana malarzkiej pasji? Maluje pan od ponad 40 lat z konsekwencją, która dziś kojarzy się raczej z szaleństwem. Ile pan namalował obrazów?

Ponad 5 tysięcy. Artysta powinien mieć wszystko w magazynach. Ja trzymam 2 tysiące obrazów w domu i to jest moja siła, jestem księciem dużego państwa. Dlatego toczę swoją wojnę z Fundacją Galerii Foksal i Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Powiedziałem kiedyś, że gdyby Joanna Mytkowska chciała kupić mój obraz do kolekcji, to ma obok galerię Katarzyny Napiórkowskiej i może coś u niej wybrać.

To było jak policzek.

Wiem. Robię sobie jajca z tej mafii, która próbuje kierować polską sztuką, a sami nie potrafią muzeum zbudować. Słyszałem nawet, że to ja namówiłem deweloperów, by kupili dom towarowy Emilia i wyrzucili stamtąd MSN.



WYSTAWA

DAREK GOLIK

tują się, że to się nie sprzedaje, zabierają się do pracy w reklamie albo zaczynają uczyć się malować. 10 lat po studiach! Co oni mają do zaproponowania?

A pana wszystkie obrazy są dobre?

Ciągle wymawiają mi, że pracuję za dużo. Ale Delacroix czy Picasso malowali jeszcze więcej. Oczywiście, że nie wszystkie obrazy są dobre, ale i tak przeznaczam je na sprzedaż. Dwa złote za centymetr kwadratowy, jeśli chodzi o nowe rzeczy, i pięć za stare. To nie jest wygórowana cena.

Gdyby pan miał ułożyć swoją retrospektywę?

Rastrowcy chcą coś zrobić na moje 70. urodziny, ale nie spotkaliśmy się jeszcze. Najchętniej retrospektywa ze wszystkich obrazów, ale do tego potrzebne byłoby kilkanaście muzeów, oczywiście z Narodowym włącznie, i dwa razy więcej galerii (z Zachętą). Do tego poprosiłbym ludzi, którzy mają mój „Plac Zamkowy”, by przyszli z nim pod Zamek Królewski. Mogliby wymieniać się, zobaczyliby też, jak bardzo poszczególne wersje się różnią.

Jak pan się w tym łapie?

Mam zeszyty poświęcone poszczególnym cyklom.

(Dwurnik wyjmuje gruby skoroszyt z napisem „Sportowy Cykl XV” i zaczyna przeglądać. Pierwszy pożółkły wpis: „Po treningu, 1972”. Do 1992 r. powstało 274 wpisów. Potem czarny zeszyt z napisem „Pollocki” poświęcony cyklowi abstrakcyjnych obrazów. Cykl zaczął w 2001 r. Ostatni wpis pochodzi z 3 marca).

Anna Dymna, Krzysztof Globisz, Ewa Demarczyk, Henryk Markiewicz, Anna Szałapak... To tytuły obrazów?

Tak, tydzień po otwarciu „Obłędu” w Muzeum Narodowym mam w Krakowie niewielką wystawę abstrakcji. Pomyślałem, że będzie to rodzaj hołdu dla tego miasta.

Ciekawe, jak wygląda Ewa Demarczyk.

Dramatyczny, duży obraz zachlapany czarną farbą, jeden z piękniejszych,



Edward Dwurnik, „Wyplata”, cykl „Mur”, 27 VII 1973, druk, flamaster, kredka, własność artysty.

jakie namalowałem. Niedawno ktoś zamówił u mnie widok Jeleniej Góry przed wojną i po wojnie. Akurat namalowałem taką abstrakcję i podpisałem dokładnie tak, jak chciał klient. Uznałem to za zabawne.

Co na to klient?

Jeszcze nie wiem.

Po co kupuje pan swoje stare obrazy?

Żeby odsprzedać za podwójną cenę. Kupuję za dychę, sprzedaję za dwie. Niedawno kupiłem obraz, który w latach 60. miała Agnieszka Osiecka. Przecięła go na pół, jedną część dała Agacie Passent, drugą jakiemuś aktorowi w Zakopanem. I tam go znalazłem w jakimś sklepie, w bardzo złym stanie, musiałem oddać do konserwacji.

Dwa lata temu namalowałem „Bitwę pod Grunwaldem”, wielki (w podstawie sześć metrów), piękny obraz, wszyscy

Kupiłem osiem obrazów Sasnala. „Mościce” to bardzo oszczędne płótno: stadion i reflektory. Wkleiłem go w swój obraz i domalowałem kiboli.

napieprzają się kijami skapani w niebieskiej farbie. Jedni krzyczą „kurwa”, drudzy „hilfe”. Sprzedałem go Janowi Baranowi z Krakowa, znanemu restauratorowi. Powiedział: fajny, duży, potnę go na kawałki i jednym obrazem ozdobię cały dom. Ale zrobiło mi się żal i go odkupiłem. To moja „Guernica”.

Za to z przyjemnością zamalowuje pan obrazy innych. Dlaczego?

Kocham to robić. Mam jednego Niki-fora, ale przemalowałem go, jak idzie z torbą Prady. W latach 80., kiedy były kłopoty z czystymi blejtrami, zaprzyjaźniłem się z magazynierem z Zachęty. Mówił, że ma tyle chlamu w piwnicach, że jak nie mam na czym malować, to on chętnie sprzeda trochę tego badziewia. Raz kupiłem nawet obraz Tomasza Gleba, który funkcjonuje w historii sztuki. Wyszedłem z Zachęty z wielkim płótnem „Radość polskich partyzantów, którzy otrzymują wiadomość o zwycięstwie pod Stalingradem”. W domu pomyślałem, że szkoda go jednak zamalować. Wisiał u mnie długo. Widziałem nawet jakąś kronikę filmową z Zachęty, jak generałowie zwiedzają wystawę i mu się przyglądają. Ale przyszła i na niego kolej.

Wilhelma Sasnala też pan nie oszczędził.

Sasnala poznałem, kiedy przyjeżdżał do Rastra, który jeszcze mieścił się w bramie przy Marszałkowskiej. Kupiłem wtedy osiem obrazów. „Mościce” to bardzo oszczędne płótno: stadion i reflektory. Wkleiłem go w swój obraz i domalowałem kiboli. Kiedy sprzedawałem swego SLK (sportowy mercedes – red.), to dołożyłem go jako dodatek do transakcji.

Przyjmuje pan klientów w domu?

Nie lubię. Od razu uprzedzam, że jak ktoś chce kupić w pracowni, to wyjdzie dwa razy drożej niż w galerii. Po pierwsze, klient ma kontakt z artystą. Po drugie, większy wybór. Po trzecie, muszą odprowadzić podatek. Poza tym klienci zawracają dupę, nie wiadomo, co z nimi robić. Targują się, marudzą, tylko same nerwy.



Przychodzi człowiek, siada na tej kanapie i...

Pytam, ile ma pieniędzy: 100 tysięcy, 50 czy może 500 złotych. Do pewnego momentu jest zabawnie, ale jak zaczynają wybierać albo muszą donosić i czuję się jak sprzedawca, który proponuje kolejną parę butów, bo w tych kolorach klientowi nie podoba, to przestaje być zabawnie.

Lubię średnio sytuowaną inteligencję, lekarzy i nauczycieli, bo wiedzą, czego szukają. Czasem biorą kredyt, żeby kupić dobry obraz. Biznesmeni w ogóle się nie pojawiają, bo brakuje im czasu. Odchodzi jakiś prezes z firmy i trzeba zrobić mu prezent. No to dzwoni się do Dwurnika. Przesyłają sekretarki i to one wybierają.

A kolekcjonerzy?

Kiedyś przyjechał ze Szwajcarii ważny kolekcjoner. Spodobał się mu wielki obraz pod tytułem „Zurich”, ale widzę, że żona nie jest przekonana. Niby wszystko gra, ale scena, gdzie samochód wjeżdża w rowerzystę, jej nie leży. „Gdyby tego nie było, kupiłabym” – narzeka. Powiedziałem, żeby przyszli następnego dnia. Zamalowałem rowerzystę, zostawiłem piękny samochód. Nie wiedzą, że wystarczy, by sprzątaczką starła ścierką kurz z płótna, a rowerzysta wróci. Kie-

dyś miałem zamówienie na 250 architektów polskich, dostałem dokładną listę z nazwiskami. Namalowałem więc wielką wyliczankę, a każdy architekt miał fiuta na wierzchu. Jak klient to zobaczył, jęknął i powiedział: „Boże, przecież to będzie wisiało w salonie, a ja mam małe dzieci”. Połowę członków zamalowałem.

Grażyna Kulczyk kupiła kiedyś parę obrazów. Namalowałem nawet duży portret pani Grażyny z panem Janem, wówczas jeszcze mężem, nazywał się „Pani Browary”. Nie spodobał się. Za to niedawno zainteresował się nim zięć pani Grażyny, pan Lubomirski. Powiedział, że może kupić. Na razie nie przyszedł.

Tydzień temu z Kordegardy złodzieje wynieśli trzy kolaże pana córki, Poli Dwurnik.

Piękne. Fiuty siedzą w galeriach i zamiast pilnować, to śpią albo żrą kiełbasy. Pola oglądała monitoring. Trzech facetów weszło do galerii jak po swoje i wyszli. Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Też kiedyś miałem podobną przygodę. W Gdańsku złodzieje wynieśli z galerii kilkanaście obrazów, w tym moje. Uciekając, moje wyrzucili do kanału, uznali za najmniej wartościowe. Czasami mam wrażenie, że ginie mi coś z pra-

„Kłeska urodzaju”, cykl „Obrazy Duże”, 1975, olej, akryl, płótno, 261 x 450 cm, własność artysty.

cowni, ale nikogo za rękę nie złapałem. Szukam jakiegoś obrazu i nie ma. Nie pamiętam, czy oddałem go, jak byłem nawalony, sprzedałem czy ktoś wyniósł.

Pamięta pan 5 tysięcy obrazów?

Żartuje pan? Samych autostopów namalowałem 1500. Ale wiele pamiętam.

Jak długo pan wytrzyma bez malowania?

Niedawno pojechałem na Teneryfę. Byłem przekonany, że będę pracował, wziąłem podmalówki, akwarele, warsztat. Ale przez 10 dni nawet tego nie dotknąłem. Więc parę dni mogę wytrzymać. Ale po powrocie, kiedy podszedłem do czystego płótna, czułem czystą rozkosz. W domu mam trzy-cztery miejsca do pracy. Na podłodze leję farbę i robię abstrakcje. Tam, po prawej stronie sztalugi, stoi kolejny „Autostop”, tym razem ktoś zamówił Puławę. Po lewej stół do gwaszy. A na górze mam pracownię, gdzie mieszczą się duże blejtramy. Latem mam jeszcze stanowisko w ogródku.

I tak od 40 lat?

Tak, na razie mnie nie nudzi. Przerwę robię, kiedy zachoruję lub zapiję. Jak ręka się trzęsie, to muszę poczekać dwa-trzy dni. Ale teraz rzuciłem używki, piję tylko kawę i herbatę.

6. ZA WSZYSTKIE INNE SPRAWY

01:48:44



AGNIESZKA BERLIŃSKA

Remiks Komuny

Komuna//Warszawa zakłada Instytut Sztuk Performatywnych. Grupa, która ćwierć wieku temu zaczynała jako anarchistyczna wspólnota działań, przekształca się w instytucję kultury.

Wzapowiedzi podano, że w spektaklu użyta będzie ludzka krew. Potem, że wydarzenie przeznaczone jest dla widzów dorosłych. W końcu – że może wywoływać silne stany emocjonalne. Isć? Nie isć? Na szczęście z ponad setki widzów, którzy przyszli zobaczyć akcję Łukasza Chotkowskiego w teatrze Komuna//Warszawa, żaden nie zasłabł. To jedna z aktorek zemdlła podczas pobierania krwi. Zajęły się nią dwie obecne na scenie pielęgniarki. Reszta aktorów cierpliwie czekała na swoją kolej. Krew ściekała do sterylnych woreczków. Patrzyć? Nie patrzyć? Podłoga i ściany wyłożone folią. Jak mogli napisać, że po pokazie zapraszają na spotkanie z twórcami przy kieliszku wina? Lepsza byłaby tabliczka czekolady. Jednak spotkanie się nie odbyło. Reżyser musiał dojść do siebie po tym, jak pod koniec spektaklu wyciął żyletką słowo TERAZ na swoim brzuchu. Zostawił widzów w rozkroku pomiędzy „Hardcorowe, ale dobre!” i „To jakaś żenada”. Ktoś zapytał „Po co to?”.

Wstyd? Strach? Podniecenie?

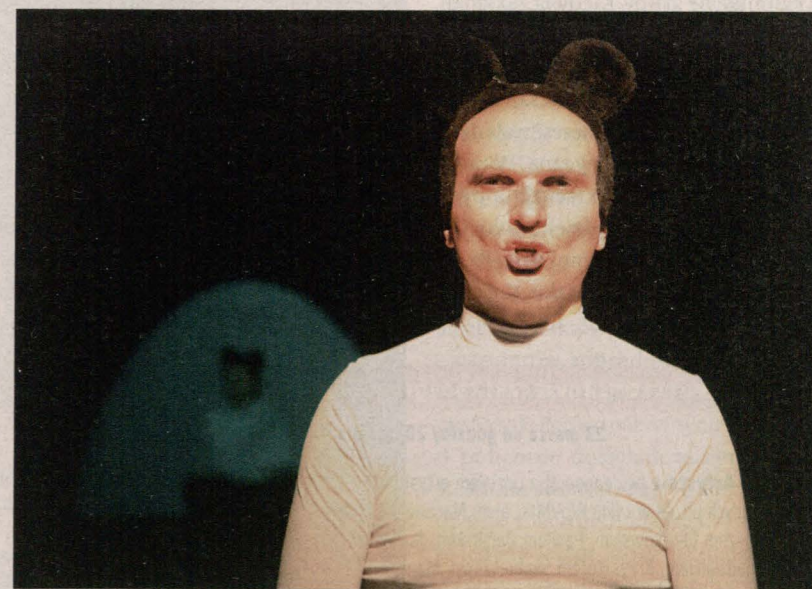
Performance był częścią cyklu „re/mix”, który od trzech lata odbywa się w Komunie//Warszawa. Uznani twórcy młodego i średniego pokolenia w krótkich formach scenicznych odnoszą się do twórczości swoich mistrzów. Od Laurie Anderson w przeróbce Wojtka Ziemińskiego po noblistę Daria Fo, w którego wcielił się Paweł Demirski. „Teraz” Łukasza Chotkowskiego nawiązywało do eksperymentów Mariny Abramović, słynnej performerki i artystki body artu. Remiksy wychodzą różnie, ale mają jedną cechę wspólną – wytrącają widza z roli biernego obserwatora. Stawiają w sytuacjach nie do końca komfortowych. Fakt, że akcje są jednorazowe, wyzwała w twórcach brawurę i odwagę podejmowania większego ryzyka, niż zazwyczaj ma to miejsce w tradycyjnym teatrze, gdzie krew na scenie, podobnie jak wódka, są sztuczne. Artyści w Komunie czują się bezpieczni, co daje niespotykane gdzie indziej efekty.

Jednak przede wszystkim ryzykują widzowie. Ci, którzy nie są gotowi na „silne stany emocjonalne”, powinni zostać w domu. Bo co musi czuć osoba, którą artysta wyciąga przed szereg widowni, zasłania oczy przepaską, przytula do siebie i prowadzi w bardzo intymnym tańcu? Wstyd? Strach? Podniecenie? Co czuje widz, przed którym w odległości na wyciągnięcie ręki nagi tancerz dokonuje intymnych wyznań? Przy Lubelskiej można trafić na spektakl, który mocno przekracza granice tradycyjnych teatralnych doświadczeń.

Dlaczego tu jesteś?

Komuna nigdy nie była teatrem przyjemnych przedstawień. Początkowo w ogóle nie była teatrem. Kiedy w '89 roku grupa kolegów z podwarszawskiego miasteczka zakładała Komunę Otwock, chodziło im o aktywizację lokalnej społeczności. Pisali re-

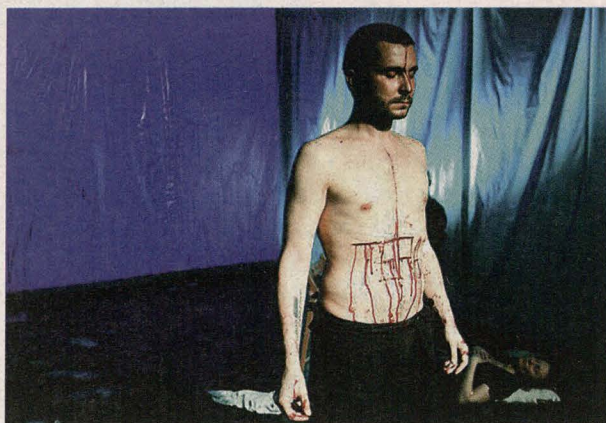
policję i księdza. Samo słowo „komuna” było wystarczająco skompromitowane. A rewolucja? Manifest? Uliczne happeningi, z których potem zrodził się teatr, były chwytem mającym zwrócić uwagę przechodniów na to, co członkowie Komuny mieli do przekazania. „Świat jest zły – mówili. – Musimy dążyć do jego poprawy”. Dwadzieścia lat później oficjalnie przyznali, że naiwnością było wierzyć w podobną utopię. Zanim jednak to nastąpiło, przez dwie dekady funkcjonowali jako dyżurni anarchii, offowy teatr od czarnej antykapitalistycznej roboty. Pacyfizm, tolerancja, ekologia, antykonsumpcjonizm. – Komuna była rzecznikiem kontrkulturowych wartości. Alternatywna młodzież otwocka ją uwielbiała i chętnie angażowała się w jej działania. Na początku lat 90. grupa brała udział we wszystkich warszawskich akcjach protestacyjnych w obronie praw czło-



wolucyjne manifesty, rozrzucali ulotki z anarchistycznymi hasłami, obrzucali budynki słoikami z farbą i ustawiali w centrum konstrukcje ze śmieci. O istnieniu Komuny mieszkańcy dowiedzieli się pewnej nocy, kiedy kilku członków grupy przeszło przez miasto, waląc w garnki i krzycząc „Obudźcie się mieszczanie, nastały nowe czasy...”. Denerwowali miejscowych urzędników,

wieka i zwierząt. – Były dość spektakularne, graliśmy na metalowych beczkach, przebrani w gipsowe maski, więc telewizja chętnie je kręciła i puszczała w wiadomościach. Kilka razy materiał o naszym happeningu był w dzienniku wiadomością numer jeden – opowiada Grzegorz Laszuk, współzałożyciel Komuny. Charakter propagandowy miały też pierwsze spektakle – proste, krótkie

Powyżej: w „Przyszłości świata” Komuna z dystansem opowiadała o młodych ludziach zafascynowanych radykalnymi ideami społecznymi; obok scena ze spektaklu „Sierakowski”.



hasła wykrzykiwane przez megafon, do tego rytmiczna muzyka i stroboskop: „Dlaczego tu jesteś?, Co kieruje twoim życiem?, Czy jesteś szczęśliwy?”.

Punk is dead

Pytania w spektaklach ewoluowały w tym samym tempie, w jakim dorastali członkowie grupy. Kiedy ją zakładali, większość z nich miała po kilkanaście lat. Dorosłość zweryfikowała część postaw i poglądów. Z grupy odeszli ci, których bardziej niż teatr interesowała działalność społeczno-polityczna. W nowe milenium Komuna wracała z pytaniem „Dlaczego nie będzie rewolucji?”. Aż w końcu, trzy lata temu, ogłosiła zakończenie działalności jako Komuna

Remiks „Teraz” Łukasza Chotkowskiego nawiązywał do performansów Mariny Abramović, artysta na oczach publiczności wyciął na swoim brzuchu krwawy napis.

Otweek. Jej miejsce zajęła Komuna// Warszawa. Co wiązało się także z przeniesieniem siedziby teatru do budynku przy ulicy Lubelskiej w Warszawie.

– Albo zostajecie w punku i do końca swoich dni działacie gdzieś na offie, albo się profesjonalizujecie i robicie krok do przodu – przyjacielska rada, jaką usłyszeli członkowie Komuny// Warszawa, trafiała w punkt. Grupa doszła do miejsca, w którym droga się rozwidła. W ciągu tych trzech lat wyprodukowała kilkadziesiąt koncertów, wystaw i przedstawień, w tym 22 remiksy. Stała się sceną laboratoryjną dla projektów z pogranicza teatru, tańca, muzyki i sztuk wizualnych. – Formuła małej organizacji, która wciąż coś musi udowodniać i prosić się o docenienie, zaczęła nam trochę doskwierać – mówi Alina Gałązka. – Z niewielkiej grupy aktywistów staliśmy się nieformalną instytucją artystyczną. Chcielibyśmy ten fakt usankcjonować, ogłaszając powstanie Instytutu Sztuk Performatywnych. Stworzymy miejsce, którego Warszawie brakuje – dodaje Grzegorz Laszuk. Uda się?

Smok ożywiony

Miejsca, które w przeszłości tworzyła Komuna, stawały się ważnymi ośrodkami kultury. Na początku lat 90. otwo-

kiego Smoka, zupełnie martwy dom kultury, rozkręciła w klub, który przeszedł do legendy warszawskiego undergroundu. Oprócz happeningów, wystaw, promocji książek, DKF-u i spotkań z mieszkańcami Komuna zorganizowała tam ponad setkę koncertów. Dzięki współpracy z Piotrem „Pietią” Wierzbickim ściągnęła do Smoka wszystkie najważniejsze zespoły niezależne, które wówczas przyjeżdżały do Polski. Nie zawsze grały w stolicy, ale zawsze grały w Smoku. Podobno w najlepszych czasach klubu miesięcznie odbywało się w nim więcej imprez niż w Warszawie przez pół roku. Kiedy Smok miał zostać zlikwidowany, do prezydenta miasta poszła delegacja z Komuny. – Facet mówił, że nie będzie utrzymywać klubu dla

jakichś tam zespołów. A my na to: „No, jak pan tam chce, ale niech pan pomyśli, że gazety będą o tym pisać. A te jakieś tam zespoły były stąd, stąd, stąd...”. Zaczęliśmy wymieniać nazwy i państwa, a on się robił coraz mniejszy i opadał z wrażenia na fotel. I zaraz się zapowietrzył, że dlaczego on o tym nie wiedział! – opowiadał później Maciej Setniewski, współzałożyciel pierwszej Komuny. Otweeki Smok działa do dzisiaj.

Kłęska w Ponurzyca

Drugim takim miejscem, w które wkroczyła Komuna, była Ponurzyca, wieś za Otweekiem. Grupa wydzierzała od gminy budynek po zlikwidowanej szkole. Zainspirowana doświadczeniami kontrkulturowych teatrów-komun,

„Perechodnik/Bauman” to historia żydowskiego policjanta z otwockiego getta, Calela Perechodnika, który odprowadza ukochaną żonę i córeczkę do transportu do Treblinky.

w stylu amerykańskiego Bread and Puppet Petera Schumanna czy Gardzieniec Włodzimierza Staniewskiego, Komuna chciała w Ponurzyca stworzyć placówkę, która byłaby połączeniem domu pracy twórczej, gospodarstwa ekologicznego, schroniska młodzieżowego i ośrodka warsztatowego dla okolicznych szkół. To miał być test, czy uda im się żyć zgodnie z własnymi zasadami i stworzyć miejsce samowystarczalne. – Okazało się, że wszystko jesteśmy w stanie zrobić – wyremontować szkołę, utrzymywać ją z akcji komunowych, zarządzać, sprzątać – tylko nie możemy się tam zakorzenić. Wydawało nam się, że ludzie nas kupią takimi, jakimi jesteśmy, bez boga. I to była głupota – mówiła potem Alina. Grupa, czego wcześniej

zupełnie nie brano pod uwagę, przewidując możliwe scenariusze, nie została zaakceptowana przez wiejską społeczność. Wykłęci z ambony przez miejscowego księdza, opuszczali Ponurzycę z poczuciem kłęski i ulgi jednocześnie.

Instytut, instytucja, remiks?

Na warszawskiej Pradze udało się Komunie stworzyć kolejne żywe miejsce. Można to mierzyć uznaniem krytyków – część z nich wskazała na „re//mix” jako najciekawszy i najbardziej nowatorski projekt w minionym sezonie teatralnym – albo uznaniem publiczności, bo na „krwawy” remiks Chotkowskiego przyszło prawie dwa razy więcej osób, niż było miejsc na widowni. Po tylu latach testowania się w roli producentów i organizatorów niezależnych projektów kulturalnych Komuna czuje się gotowa do poprowadzenia dużej artystycznej instytucji. Widzi w tym szansę na zbudowanie miejsca, które skupiałoby artystów rozproszonych dotychczas pomiędzy różnymi środowiskami i instytucjami. Wzorem do naśladowania w przyszłości jest dla nich berliński HAU – Hebbel am Ufer – jeden z najbardziej innowacyjnych teatrów w Europie. Ma charakter sceny impresaryjnej, bez stałego zespołu na etatach, za to z gęstą siecią kontaktów i współpracowników – partnerów, koproducentów, festiwalu i twórców z całego świata. O Instytucji Sztuk Performatywnych myślą jak o poligonie doświadczalnym do testowania alternatywnych form zarządzania instytucją kultury. – Kultura to jedyny sektor, który nie doczekał się reformy. Powołujemy Instytut i jak już go powołamy, będziemy go prowadzić. To nasza metoda faktów dokonanych. Co by o niej mówić, na pewno jest skuteczna – śmieje się Alina. Może się okazać, że Instytut będzie najlepszym remiksem Komuny.

Wypowiedzi członków dawnej Komuny Otweek pochodzą z książki: Agnieszki Berlińskiej, Tomasza Platy „Komuna Otweek. Przewodnik Krytyki Politycznej”, Warszawa 2009.

Program wieczoru towarzyszącego powstaniu Instytutu Sztuk Performatywnych

23 marca od godziny 20, ul. Lubelska 30/32, Warszawa, wstęp wolny

→ **Chór Artystów** (wideoopera) z udziałem artystów biorących udział w cyklu RE//MIX, m.in. Marcinem Cecko, Łukaszem Chotkowskim, Pawłem Demirskim, Jackiem Poniedziałkiem, Krzysztofem Skoniecznym, Moniką Strzępką, Weroniką Szczawińską, Wojtkiem Ziemilskim.

→ **Wystąpienie Michała Merczyńskiego**, dyrektora Narodowego Instytutu Audiowizualnego, eksperta Unii Europejskiej w zakresie kultury, wieloletniego dyrektora instytucji takich jak: Międzynarodowy Festiwal Teatralny Malta, Teatr Rozmaitości w Warszawie, Polski Instytut Sztuki Filmowej.

→ **Wideorozmowa z niemieckim dramaturgiem i reżyserem Matthiasem Lilientalem**, wieloletnim animatorem życia teatralnego Berlina, dramaturgiem

teatru Volksbühne za początków dyrekcji Franka Castorfa, kuratorem festiwalu Theater der Welt, a od 2003 do 2012 r. dyrektorem artystycznym Hebbel am Ufer (HAU).

→ **KOMUNA//WARSZAWA: Muzyka jest lepsza** Muzyczny performance KOMUNY//WARSZAWA – podsumowanie ostatnich doświadczeń teatralnych KOMUNY, w których muzyka stawała się coraz ważniejszym albo dominującym środkiem wyrazu. Filozoficzno-egzystencjalny esej na gramofony, instrumenty strunowe i głosy.

→ **Tańce** DJ Wyrodna (100% winylowych płyt: nowa fala, jak i popowa alternatywa).



Maciej Nowak

Węgierski nocnik



ARTUR KOT

Jakie to szczęście, że Pan Bóg i Maciej Korwin stworzyli Węgrów. Dzięki temu ludzkość poznała gulasz i tokaj, bez których trudno wyobrazić sobie życie godziwe. Z wdzięcznością powinni westchnąć przede wszystkim Polacy, gdyż w Węgrzech zyskaliśmy lustro, w którym możemy się przeglądać. Uświadomiłem to sobie parę dni temu w Budapeszcie podczas węgierskiego showcase. Tak zwie się rytuał sfer teatralnych, które zjeżdżają na specjalne pokazy, by węszyć, co nowego na afiszach poszczególnych krajów. Sfery teatralne to odpowiednik rynków finansowych, czyli stukilkudziesięcioosobowa grupa mądrali, tworzących europejskie i światowe koniunktury teatralne.

W Budapeszcie objawili się w tym roku wyjątkowo licznie, zwabieni ekstraordynaryjnym charakterem spotkania. Odbywało się w warunkach niemal konspiracyjnych, bez wsparcia rządu Viktora Orbana, który przemeblowuje nie tylko politykę i gospodarkę Węgier. W ramach zawracania kijem Dunaju zlikwidowano oddzielne ministerstwo kultury i postawiono wprost pytanie, dlaczego dyrektorem Teatru Narodowego nie może być osoba heteroseksualna i aryjskiego pochodzenia? Co jednoznacznie sugerowało, że Robert Alföldi, obecny szef pierwszej sceny Węgier, będąc gejem i Żydem, na to stanowisko się nie nadaje. W końcu wprowadzono nowe przepisy, które umocniły pozycję teatrów instytucjonalnych. Węgry były dotąd dumne ze swych niezależnych, gwiazdorskich, znanych w Europie zespołów oraz zasady gwarantującej im co najmniej 10 proc. publicznych wydatków na teatr. Rząd Orbana od tej zasady się odciął, uznając, że niezależność oznacza również niezależność finansową.

Te ruchy to nie tylko biurokratyczna nonszalancja. Stoi za nimi znacząca grupa twórców głównie spoza Budapesztu, którzy czują się zmarginalizowani przez przemiany ostatnich dwóch dekad i w rządach Fideszu dostrzegli szansę na odegranie się na stołecznych elitach. Liderem tego środowiska jest znany reżyser Attila Vidnyanszky, dyrektor teatru w Debreczynie, który od nowego sezonu zastąpi Alföldiego w Teatrze Narodowym. Jeszcze w trakcie showcase otrzymaliśmy list od Vidnyanszky'ego, że wybór spektakli prezentowanych zagranicznikom fałszuje

W ramach zawracania kijem Dunaju postawiono wprost pytanie, dlaczego dyrektorem Teatru Narodowego nie może być osoba heteroseksualna i aryjskiego pochodzenia?

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

obraz madziarskiego teatru. Równocześnie pojawiła się strona internetowa z layoutem identycznym, jak na www.hungarianshowcase.com, tyle że z rozszerzeniem hu. Współpracownicy Vidnyanszky'ego przedstawili na niej swój wybór najważniejszych spektakli. Teatralne mordobicie na całego.

Węgierska zadyma to odbicie tej samej środowiskowej polaryzacji i zawiedzionych nadziei, co w Polsce zmęczonej transformacyjnym praniem mózgow. Ale jak zawsze w lustrze, wszystko jest odwrotnie. U nas nie prowincja cierpi na brak uwagi, ale to stolica wypadła z głównego nurtu. Polscy twórcy nie dali się też omamić ideą niezależności i działają w strukturach teatrów publicznych. Ale przecież frustracja istnieje i narasta. Spacyfikowanie teatru poszukującego przez władze Warszawy, złowrogie pomruki Towarzystwa Kontrewolucyjnego, związanego z Teatrem im. Modrzejewskiej w Legnicy – to wyrazy irytacji triumfalizmem nowego teatru, jego artystowskimi pozami i brakiem komunikatywności. Te emocje łatwo zagospodarować politycznie, co widać w zwierciadélku bratanków. Jednocześnie nieustająco wisi nad nami neoliberalny plan uelastyczniania i uniezależniania teatrów. Jeżeli ktoś jest jeszcze jego zwolennikiem, może się obudzić z ręką w węgierskim nocniku.

Aha, oglądaliśmy też spektakle. O dwóch warto wspomnieć. „Anamnesis” z Katona Szinhaz w reż. Viktora Bodo to strasznie śmieszna, slapstickowa opowieść o upadku węgierskiej służby zdrowia i udziału w tym krawaciarskich polityków, których religią jest cięcie kosztów i nacjonalizm. Drugi to „Kaisers TV” ze Szkene w reż. Bela Pintera, ironiczna wizja Wiosny Ludów, w której narodowi bohaterowie Lajos Kossuth i Sanádor Petöfi stają się telewizyjnymi sławkami. Reszta programu była dość nudnawa. Do tego stopnia, że część gości, zamiast na kolejne przedstawienie, wybrała się na ogromną demonstrację pod parlamentem przeciwko antydemokratycznym zmianom w konstytucji, forsowanym przez Viktora Orbana. Tam nudno nie było. I tu tkwi najważniejsza lekcja z węgierskich wydarzeń: w ferworze za późnych żalów i potępieńczych swarów łatwo zgubić dobry teatr. ☹



„Kaisers TV”
reż. Bela Pintera,
Theatre Company



ROZMAWIA BARBARA HOLLENDER, ZDJĘCIA TOMEK ZASOWSKI

Odbić małą od miłości

Wyczerpuje emocjonalnie, w bolesny, ale i prawdziwy sposób mówi o zagubieniu, niepewności własnych uczuć i niedojrzałości pokolenia trzydziestokilkulatków.

„Miłość” Sławomira Fabickiego wchodzi właśnie na ekrany kin.

Za poprzednie filmy zbierał pan worek nagród. „Wewnętrzny 55”, dokument zrealizowany na pierwszym roku studiów, wygrał festiwale w Teheranie i Oberhausen, „Męska sprawa” dostała nominację do Oscara, debiut fabularny „Z odzysku” – Nagrodę Ekumeniczną w Cannes i nominację do Europejskiej Nagrody Filmowej w kategorii „Odkrycie roku”. Nie dostał pan od tych sukcesów zawrotu głowy?

Nie. Obroniła mnie pewnie nieśmiałość. Ludzie mi nawet czasem mówią, że za mało wykorzystuję te nagrody, że

powinienem być bardziej ekspansywny, pokazywać się, starać o PR, dbać, żeby mnie zatrudniali.

A pan nie dba?
Chyba nie bardzo.

Na pana drugą fabułę rzeczywiście czekaliśmy prawie siedem lat.

Tak się po prostu złożyło, że niektóre filmy nie wypaliły, a inne się opóźniły. Półtora roku pracowałem nad projektem

scenariusza o powstaniu warszawskim, moje adresowane do dzieci „Bonobo Jingo” wygrało w Rzymie konkurs na najlepszy projekt europejski, „Miłość” też mogła powstać dwa lata temu, ale poprzedni producent nie był w stanie tak dopiąć budżetu, żebym nie musiał rezygnować z części dni zdjęciowych. Zapewniam panią, że to niełatwe doświadczenie. Ale czasem tak się układa.

„Miłość” jest opowieścią o kryzysie małżeńskim, ale też o mężczyźnie, który nie daje sobie rady ze sobą. Nie wie, o co mu w życiu chodzi i co naprawdę czuje. W ostatnich latach powstaje coraz więcej filmów o mężczyznach, którzy nie panują nad własnymi uczuciami.

To przypadek czy znak czasu?

Jest coraz więcej ludzi zagubionych. Wypalił się mit silnego, dominującego mężczyzny, który ma władzę, zarabia pieniądze, wychowuje twardą ręką syna. I oczywiście nie wolno mu płakać. Współcześni faceci często bywają niepewni. Kobiety są silne i szybciej znalazły swoje miejsce w nowym świecie. Przeszły żyć w cieniu, zaczęły dostrzegać siebie jako pełnowartościowe jednostki, artykułować swoje potrzeby

DRAMAT OBYCZAJOWY

„Miłość”,
reż. Sławomir Fabicki,
Polska 2012,
Forum Film Poland,
105 min

i znacznie więcej wymagać od partnera. Brzmi feministycznie, ale tak jest.

Mężczyzna z „Miłości” ma pracę, żonę spodziewającą się ich pierwszego dziecka. I jedno traumatyczne wydarzenie burzy jego świat.

Właśnie dlatego, że jest słaby. Niepewny uczuć do żony, ale również uczuć żony do siebie. Ma dominującą matkę, która zniszczyła męża, syna. Trauma, jaką Tomek przeżywa, staje się czymś w rodzaju katalizatora, który każe mu rozliczyć się ze sobą, określić się. Przyspiesza proces rozpadu związku, zmusza go do nazwania własnych wątpliwości.

Ale co sprawiło, że pana bohater jest taki słaby?

Nie jestem psychologiem. Chcę tylko powiedzieć, że są tacy mężczyźni. I zapytać: „Co się wtedy dzieje? Czy otworzą się na drugiego człowieka czy nie? Czy potrafią przyznać się do błędów? Czy w ostatecznej sytuacji umieją zawalczyć o drugą osobę?”.

Krzysztof Krauze mawia, że robi filmy „w obronie ludzi i wartości”. Pan też kiedyś powiedział, że zbyt rzadko pochylamy się nad tymi, którym się nie wiedzie.

Filmy o pogodzonych ze światem szczęśliwcach nie niosą dramatów i konfliktów. Po co więc je robić? Ja lubię stawiać bohaterów przed trudnymi wyborami. I pytać: „Co się stanie, jeśli wybiorą złe?”.

Pan musiał takich wyborów dokonywać?

Każdy kiedyś musi się określić i często bywa to bolesne. Najważniejsze moje decyzje dotyczyły spraw prywatnych. Na szczęście wybrałem dobrze. Ale nie będę o tym mówić publicznie.

Pana ojciec, matka, dwie siostry, brat pracują w zawodach ścisłych. Pan też zaczął studiować matematykę. Skąd się wzięło w pana życiu kino?

Ono zawsze było. Dorastałem w okropnym czasie. Kiedy ogłoszono stan wojenny, miałem 11 lat i biegałem po ulicach, oglądając wojskowe gaziki. Widziałem obrazki jak z tego słynnego zdjęcia: czołg przed warszawskim kinem Moskwa, gdzie na fasadzie jest reklama „Czasu Apokalipsy”. Trenowałem

skoki do wody na warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Codziennie żołnierz z kałasznikowem sprzedał moją przepustkę i przeszukiwał torbę – wyciągał kąpielówki, ręcznik, kanapki. A ja nie mogłem oderwać oczu od lufy karabinu. Naprawdę się bałem. Później uczyłem się w liceum im. Karola Świerczewskiego. Pamiętam uroczyste wizyty córek generała i dyrektorkę, która wezwwała milicję, gdy zastrajkowaliśmy przed szkołą, bo w klasach było potwornie zimno. Nie wyszła do nas porozmawiać, tylko groziła nam przez szczekaczkę. W takich czasach totalnej beznadziei kształtowały się moje poglądy na świat i na relacje z innymi ludźmi. Kino mnie ratowało. Były wtedy komedie jak „Vabank” czy „Seksmisja” i filmy moralnego niepokoju, cholernie dla mojego pokolenia ważne. Oglądałem je ze zdartych VHS-ów albo w kościele. No i grał Iluzjon. Nie było dnia, żebym nie oglądał Antonioniego, Herzoga.

Dlatego nie został pan matematykiem?

Kocham matematykę, bo można z nią być sam na sam, a ja to lubię. Ale musiałem dać sobie szansę. Pierwszy raz zdałem do Filmówki po pierwszym roku studiów, jako dwudziestolatek.

Potem skończył pan w łódzkiej szkole dwuletnie studium scenariuszowe, ale na reżyserię dostał się pan dopiero za czwartym razem.

Kiedy oblałem trzeci raz, już jako absolwent scenariopisarstwa, poszedłem do dziekanatu i pytam: „Panie dziekanie, co jest ze mną nie tak, że zdaję i zdaję i się nie dostaję?”. „Bo pan nie czuje materii filmowej” – mówi do mnie Henryk Kluba. Przypomniałem mu tę opinię, kiedy dostałem nominację do Oscara za „Męską sprawę”. „No, co pan? Ja tak panu powiedziałem?” – zdziwił się. A później długo się z tego śmialiśmy.

Skąd wziął się pomysł zrobienia filmu o dziecku dorastającym w nędznej dzielnicy Łodzi?

Zawsze byłem blisko życia. Jeździłem tramwajami, obserwowałem ludzi o zmęczonych twarzach. A to był czas pełen emocji. Rodziła się moja córka, zadawałem sobie pytania o odpowiedzial-

ność. Co może stać się z dzieckiem, kiedy dotknie je przemoc świata?

A jak to się stało, że student IV roku zgłosił film do Oscara?

Kiedy „Męska sprawa” dostała nominację do studenckiej statuetki, pomyślałem: „Czemu nie próbować dalej?” Sprawdziłem regulamin Amerykańskiej Akademii Filmowej. Zgłaszany krótki film musiał być dystrybuowany przez tydzień w Stanach na płatnych pokazach albo wygrać któryś z prestiżowych festiwali z listy Akademii. Zacząłem „Męską sprawę” na te imprezy wysyłać i stało się. Film wygrał konkurs w Nowym Jorku. Napisałem do Akademii i przysłali mi formularze, w szkole mi je wypełnili. Jako drugą osobę dopisał operatora Bogumiła Godfrejowa, bo miał duży wpływ na film.

Jak pan się dowiedział o nominacji?

W autobusie, we Francji. Zadzwoił do mnie Bartek Węglarczyk, który wtedy był w Stanach. W szkole uznano to za gigantyczny sukces. Choć na początku wszyscy złapali się za głowę: skąd wziąć pieniądze na promocję, kopie? Fajny czas, ale już minął.

Po tej nominacji nie myślał pan, żeby spróbować sił w Hollywood?

Przez chwilę tak. Dostałem stamtąd propozycję nakręcenia remake’u francuskiego horroru. Chciałem nawet, ale nie spodobałem się producentowi.

Żałował pan tego?

Zawsze człowiek myśli, co by było gdyby. Ale za bardzo się nie zastanawiałem.

„Z odzysku” powstało dopiero cztery lata później, w 2005 r. Oscarowa nominacja nie pomogła panu przebić się przez rodzime układy?

Nie. Polska kinematografia była w totalnej dupie. Minister Celiński rozwiązał Komitet Kinematografii, rząd ciął pieniądze na kulturę. A nominacja? Kogo z decydentów obchodziła? Kiedy ją dostałem, zadzwonił telefon. Sekretarka mówi: „Łączę z ministrem Celińskim.” Pomyślałem: „Kurczę, jak miło, chce mi pogratulować.” A w słuchawce

słysz: „Pan Fabicki? Proszę wybrać 10 osób na spotkanie, bo z setką ludzi nie będę rozmawiał. No, to tyle, dziękuję, do widzenia”. Chodziło o to, że napisaliśmy list otwarty młodych filmowców przeciwko polityce kulturalnej, która zarzyniła polskie kino, a ja zbierałem podpisy. Nominacja Oscarowa pomogła mi natomiast dostać się do telewizji. Zadzwoniła Ela Tarnowska z redakcji teatru i zaproponowała mi wyreżyserowanie sztuki Marka Pruchniewskiego „Lucja i jej dzieci”. Ale w kinie trwał kryzys.

Dlatego zapisał się pan, dyplomowany reżyser, do szkoły Wajdy?

Studiowałem w czasie, gdy łódzka uczelnia była niedofinansowana, brakowało

była sanitariuszką. Jako nastolatek myślałem głównie o ich bohaterstwie. Ale potem zacząłem zadawać sobie pytania: „Co wojna robi z jednostką? Czy można walczyć i zachować człowieczeństwo?”. Chciałem tę historię opowiedzieć inaczej. Spędziłem sporo czasu z człowiekiem, który był pierwowzorem bohatera. On zdezerterował z armii, a po wejściu Rosjan uciekał z Warszawy. Polacy ukryli go i uratowali przed NKWD. Człowieczeństwo zwróciło mu swój dług. Niestety, okazało się, że w Polsce jeszcze nie dojrzelismy do takiej historii. A Niemców to nie interesowało. Oni już swoje traumy przerobili w „Upadku” czy „Sophii Scholl – ostatnich dniach”. Nie mogłem znaleźć koproducenta.



nam warsztatów. A szkoła Wajdy dawała praktykę. I możliwość kontaktu z Wojciechem Marczewskim czy Edwardem Żebrowskim. Darzę ich ogromnym szacunkiem, utrzymujemy kontakt do dziś. Pokazywałem im wersję montażową „Miłości”. I jeszcze Agnieszce Holland.

Nie chcę zamieniać się w buchaltera, ale policzę jeszcze raz: „Miłość” pokazuje pan prawie siedem lat po wejściu do kin „Z odzysku”.

A po drodze głośno było o pana innych projektach. Film o powstaniu warszawskim wydawał się interesujący i nowoczesny. Chciał pan patrzeć na sierpień '44 roku oczami okupanta – młodego Belga wcielonego do Wehrmachtu. Dla mnie to był ważny projekt. Wychowywałem się w kulcie sierpnia '44. Mój wuj, jako trzynastolatek, walczył, ciotka

A dlaczego nie zrobił pan „Bonobo Jingo”?

Za ten scenariusz nagrodę w Rzymie dla najlepszego projektu europejskiego dostaliście z Mieczysławem Krzelem w 2007 r.

Przez dwa lata nie udało nam się sprowadzić szympansa na próbne zdjęcia. Chore przepisy stanowiły, że zwierzę pod ścisłą ochroną można przywieźć jedynie w celach naukowych lub do zoo, a nie w celu komercyjnym. Cyrki były straszne, oparło się o głównego lekarza weterynarii Polski. Wreszcie małpa przyleciała z Hollywood. Miała na imię Suzy, była genialnie wyszkolona, grała jak z nut, na planie wszystkich uwiodła. Spędziła z nami trzy dni. Dzięki temu udało się zrobić kosztorys filmu i zgłosić pakiet do PISF-u, ale to trwało tak długo, że zaczęliśmy już pracę nad „Miłością”.

Wróci pan do „Bonobo Jingo”?

Złożyliśmy raz jeszcze wniosek do PISF-u, czekamy na decyzję. Mamy koproducentów z Niemiec, Danii, Norwegii. Tyle że nie zagra już u nas Suzy. Do filmu nadaje się tylko młody szympan, będziemy musieli zatrudnić młodszą małpę.

Ten film chciał pan podobno nakręcić dla córki. Ale Lucja zdążyła już skończyć 14 lat.

Jest jeszcze siedmioletnia Helenka. Może zdążymy, zanim wyrośnie. A tak naprawdę mnie też potrzebne jest wytchnienie. Kiedyś chciałem zrobić coś lżejszego po „Z odzysku”. Teraz muszę odbić się od „Miłości”. To było doświadczenie bardzo wyczerpujące emocjonalnie. Małpa byłaby do tego świetna, to naprawdę bardzo dobry projekt. Może więc tym razem się uda.

Czas, w którym człowiek odbija się od muru niemożności, musi być bardzo trudny.

To jest wliczone w ten zawód. Zdarza się najlepszym. Choć oczywiście niełatwo to przeżyć. Ja kocham kino. Nieawidzę okresu zdjęciowego, bo mnie wyniszcza emocjonalnie i fizycznie. Na planie nigdy nie siedzę, stale chodzę. Potem bolą mnie nogi, kręgosłup. Ale jednocześnie uwielbiam to, kocham pracować z aktorami, bardzo lubię montaż. Właściwie każdy etap powstawania filmu jest dla mnie fascynujący. Kiedy nie kręcę, potrafię żyć. Spełniam się w roli wykładowcy. W szkole gdyńskiej uczę reżyserii, w Łodzi prowadzę seminarium w studium scenariuszowym, które sam kiedyś skończyłem. Czasem robię jakąś reklamówkę. I mam rodzinę, która jest dla mnie najważniejsza. To piękne partrzeć, jak dorastają córki. Cieszy się sukcesami żony, która jest pisarką. Jej ostatnia książka – „Second Hand” jest świetna i zbiera bardzo dobre recenzje. A kino? Za nim po prostu tęsknię.

Na następny pana film nie będziemy więc czekać kolejnych siedmiu lat?

Nie wiem, co będzie dalej. Życie potrafi zaskakiwać. Ale oczywiście chcę wyjechać na plan jak najszybciej.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Marcin Koszałka, Polska, 2013, Kino Świat, 75 min



DOKUMENT SPORTOWY

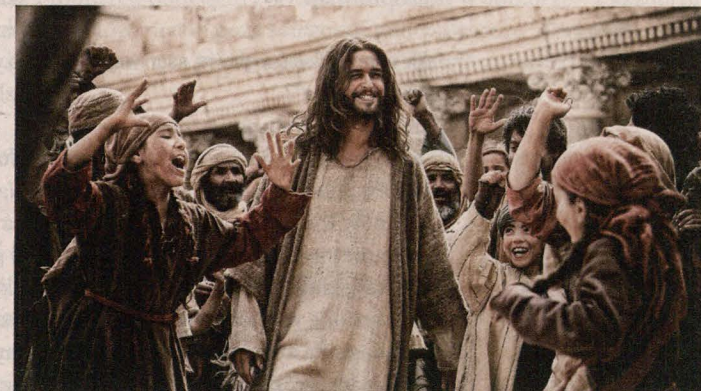
Będiesz legendą, człowieku

Rzut oka do szatni polskiej reprezentacji przygotowującej się do mistrzostw, a następnie występującej na Euro 2012. Problem w tym, że treść dokumentu, czyli brak „myśli taktycznej i szkoleniowej” przekłada się tu także na formę. Koszałka potrafi świetnie oddać degrengoladę działaczy („zrobiony” Grzegorz Lato na trybunach), apatii i bezwład szkoleniowców oraz ogólny prymitywizm całego towarzystwa. Niestety, materia filmowa rozlała mu się w szwach. W połowie filmu odsuwa na drugi plan głównego bohatera, Damiana Perquisa, na pierwszy wprowadza kolejne postaci (Marcina Wasilewskiego, ojca Perquisa), zrywa ciągłość narracyjną, całość okrasza niezrozumiałymi animacjami etc. Ambitna porażka.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Biblia pauperum

Amerkański kanał History wyprodukował najnowszą wersję Biblii w obrazkach i ku powszechnemu zaskoczeniu odniósł niebywały sukces – serial „The Bible” ma najwyższą oglądalność wśród oferty kablówek. Biblia z 13 mln widzów na odcinek pobiła nawet takie czarne konie jak „Walking Dead” (11 mln) czy ukochany przez amerykańskich widzów import z Wielkiej Brytanii „Downton Abbey” (8 mln). Dla porównania wielki hit HBO „Gra o tron” gromadził przed telewizorami publiczność oscylującą „tylko” między 3 a 4 mln. Żywy dowód zwycięstwa cywilizacji życia nad cywilizacją śmierci. W końcu Biblia jest wciąż najlepiej sprzedającą się książką, więc jej adaptacja też była skazana na sukces. Zwłaszcza że ogromna amerykańska widownia chrześcijańska rzadko dostaje od raczej liberal-



nym nadawców ofertę zgodną z jej światopoglądem. Serial został wyprodukowany z rozmachem, który budzi podziw, biorąc pod uwagę stosunkowo skromny budżet (20 mln dol. – niemal tyle HBO wydało na produkcję samego pilota innego swojego serialu „Zakazane imperium”).

Dzięki wykorzystaniu mediów społecznościowych czy wypuszczeniu promocyjnego singla „Mary

Did You Know” w wykonaniu rapera CeeLo Greena serial wyraźnie celuje w gusta młodszej publiczności. Jak mówi producent Mark Burnett, jego celem było zapobieganie „biblijnemu analfabetyzmowi wśród młodzieży”. Najwyraźniej pomagają mu w tym wyposażone w umiejętności sztuk walki anioły, które burzą Sodomę, czy plakatowo przystojny Jezus, u którego trudno doszukać się choćby śladu semickiej urody. Słowem: ignorancja bardzo się przydaje przy oglądaniu. Będzie hit.



ROZMAWIA ANGELIKA KUCIŃSKA

Jestem bardzo współczesnym dzieciakiem

Nieźle kręci. Robił teledyski dla głównych rozgrywających – Drake'a, Katy Perry i Lany Del Rey. Debiutancką płytą sam domaga się awansu do pierwszej ligi. **Yoann Lemoine a.k.a. Woodkid** – reżyser, który został muzykiem.

się zgodnie ze scenariuszem. Ale też dlatego tak bardzo lubię pracę ze zwierzętami – do niczego ich nie zmusisz, musisz być elastyczny i umieć szybko reagować.

A pisanie muzyki obrazami to też zбочzenie reżyserskie? Twoja debiutancka płyta brzmi bardzo filmowo.

Zdecydowanie tak, mam to zapisane w DNA. Z jednej strony myślę wizualnym ekwiwalentem dźwięku – czyli obrazem, którym później zilustruję muzykę, a z drugiej – obrazami, które mnie zainspirowały.

Jakie obrazy miałeś w głowie, nagrywając „The Golden Age”?

Bardzo różne. Futurystyczne science fiction, filmy Tarkowskiego, epickie sceny z filmów Spielberga, emocjonalne piękno filmów Terrence'a Malicka. Inspirowało mnie mnóstwo rzeczy: od różnych gatunków kina przez książki po obrazki znalezione w Internecie. Współczesna fotografia i malarstwo barokowe. Kocham klasyczną sztukę, cała historia człowieka jest zamknięta w obrazie.

A czym jest tytułowy złoty wiek, który – jak śpiewasz – się skończył?

To dzieciństwo. Płyta zaczyna się inicjacją bohatera, jego wejściem w dorosłość, porzuceniem niewinności – wszystko,

co go od tej pory spotka, wszystkie tarapaty, w które się wchodzi i wszystkie refleksje, które te problemy sprowokują, ukształtują jego charakter.

Twoje teledyski zawsze były sentymentalne, a teraz jeszcze nagrałeś płytę o końcu beztroski. Masz jakiś problem z upływem czasu?

Nie, ale lubię obserwować sam proces. Mam obsesję na punkcie przeszłości i przyszłości. Historia dzieciaka z mojej płyty rozgrywa się na przestrzeni całego tysiąclecia. Zaczyna się tuż przed pierwszą wojną światową – w zakurzonej, ale jeszcze pięknej i jasnej przeszłości. Kończy się obrazami z filmów SF – w przyszłości, w kosmosie.

Wolałbyś żyć w przeszłości czy przyszłości?

Na pewno w przyszłości. Moja muzyka brzmi nostalgicznie, bo grzebanie w przeszłości jest rodzajem psychoanalizy – tak, robiąc właśnie taką muzykę, rozwiązuję też swoje prywatne problemy. Ale jestem bardzo współczesnym dzieciakiem, który spędza całe dnie, grając na konsoli albo siedząc na portalach społecznościowych. Przyszłość mnie intryguje – zawsze ciekawsze jest to, co niewiadome.

11 maja Woodkid zagra w Warszawie na Free Form Festival

Jak często chodzisz do zoo?

Nie chodzę do zoo, nie znoszę zoo. Kocham zwierzęta – co widać w moich teledyskach, więc nic dziwnego, że pytasz – ale zoo wpędza mnie w depresję.

A skąd fascynacja zwierzętami?

Zбочzenie reżyserskie. Kiedy pracujesz ze zwierzętami, nigdy nie wiesz, czego się spodziewać – nie jesteś w stanie przewidzieć efektu. Czasem kończy się rozczarowaniem. Potrzeba sprytu, żeby opanować zwierzę na planie. To niesamowity trening dla reżysera. Wiesz, bywa i tak, że pracuję nad konceptem teledysku trzy miesiące, po czym w dwie minuty muszę zapamiętać o tych trzech miesiącach pracy, bo zwierzę na planie nie zachowuje



Woodkid, „The Golden Age”, Universal

Platy ocenia Angelika Kucińska



Devendra Banhart, „Mala”, Warner

👍👍👍👍

INDIE FOLK

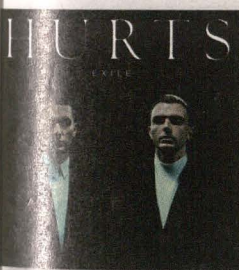
Esencja z Banharta

Hipis celebryta. To się kłóci? Devendra Banhart arogancko twierdzi, że wreszcie nagrał płytę dla każdego. I ciężko się z nim nie zgodzić.

Z celebrytą to oczywiście minimalna przesada – w końcu na portalach plotkarskich wyładował tylko jako anonimowa randka słynnej aktorki. Ale za to można wierzyć w teorię, że nową płytą – najlepszą w dorobku – wyjdzie poza hermetyczne grono fanów pokręconego folku. Bo używa najmocniejszego z argumentów – piosenki. Bez przegadanych eksperymentów, nadętych instrumentalnych partii i psychodelicznego jamowania (wszystkiego próbował wcześniej). „Mala” to alternatywne przeboje – zwarte, nośne, posłuszne nieśmiertelnej prawdzie, że dobrym refrenem można wszystko. Folkowe w prostocie, urocze w absurdzie tekstów (jest tu nawet piosenka o świętej Hildegardzie z Bingen). To esencja Banharta – niewymuszone melodie i abstrakcyjne historie. Wyciągnięta na tyle skutecznie, że można nie znać jego poprzednich albumów, ale tego przegapić nie wypada.



MATERIAŁ PRASOWY (3)



Hurts, „Exile”, Sony

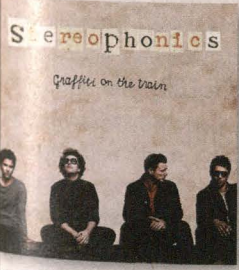
👍👍👍

POP

Cierp razem z Hurts

Wyrachowani, sprytni, a może po prostu zdolni? Hurts mają patent na perfekcyjny pop, którym żyły listy przebojów 30 lat temu.

Szkoda tylko, że poza perfekcją... No właśnie, czego brakuje? Emocji? Są, podkreślone do granic tolerancji – w przedramatyzowanych tekstach, rozdmuchanych stadionowym zapałem refrenach i nedorzecznie teatralnych pozach wokalisty. Charyzmy? Może, chociaż doskonała stylizacja na synthpopowy chłód z lat 80. imponuje naturalnym wyczuciem tematu. Przyjemności? Zdecydowanie – na drugiej płycie brytyjskiego duetu wszystkiego jest za dużo, bo najbardziej kiczowatą dekadę w historii muzyki pop Hurts traktują śmiertelnie poważnie. Problem w podejściu powoduje problemy w odbiorze – z każdej piosenki robią spektakl dla nadwrażliwych licealistów mocno poza kategorią „guilty pleasure”. Przepych, patos, przesada. I kontynuując tę litanię brzydkich słów na „p” – świetnie opakowany, ale tylko produkt.



Stereophonics, „Graffiti on the Train”, EMI

👍👍

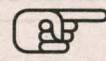
INDIE ROCK

Bez przeboju

Zespół po przejściach, piosenki nie pierwszej świeżości. Stereophonics wracają, tylko po co?

Zawsze lepiej grali, niż nagrywali, bo to, czego nie było słyhać na płytach, potrafili nadrobić występami na żywo. Opinia świetnego zespołu koncertowego przekładała się na regularne bookingi na największych scenach brytyjskich festiwali. Ale albumowo walijskie Stereophonics to niestety zespół z kiepską statystyką: przebój raz na trzy płyty. I na nowej refrenów brak. Cherlawe melodie, popłuczyny po britpopie. Inna sprawa, że „Graffiti on the Train” to ich prywatne zwycięstwo – triumf determinacji nad podłymi okolicznościami. Pierwszy perkusista zapił się na śmierć, drugi odszedł z zespołu w trakcie nagrań i bez powodu. Ale prawdę mówiąc – kto chciałby grać w zespole, który nikogo nie obchodzi.





Zanim zaczął kręcić filmy, próbował sił jako posłuszny wyrobnik. Bartosiak&Klinke pytają Jacka Borcucha o pierwszą pracę → 76



ANDRZEJ HOŁDYS

Czas ekstremów

Czy po **szalonej** zimie w pogodzie na Ziemi przyjdzie równie **szalone lato**? Jeśli tak, czeka nas niezły rollercoaster. Planeta zaczyna się z nami bawić w ciepło – zimno.

Pogoda, jak wiadomo, bywa kapryśna, ale takiego nagromadzenia ekstremów na globie, z jakim mieliśmy do czynienia podczas ostatniej zimy, naukowcy nie pamiętają. Z jednej strony straszliwe upały w Australii, z drugiej – największe od dekad opady śniegu na półkuli północnej. Bliskie zera temperatury w Indiach

i zarazem odwilż na wyjątkowo ciepłej Islandii. Pokryta śniegiem pustynia Takla Makan i najcieplejszy od 100 lat Spitsbergen. Podzwrotnikowe śnieżycy na Bliskim Wschodzie i południu Chin, a za północnym kołem podbiegunowym – rekordowo mała w styczniu powierzchnia lodu morskiego na Oceanie Arktycznym.

Markus Donat, naukowiec z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii w Sydney, nie dziwi się specjalnie tym szaleństwom pogody. Dosłownie parę dni temu wraz z kilkunastoma naukowcami z ośmiu państw opublikował raport z badań nad skrajnościami klimatycznymi na globie. Jego grupa zebrała i podała analizie dane archiwalne z 70

tys. stacji meteorologicznych na Ziemi. Doszła do wniosku, że w ciągu ostatnich trzech dekad częstotliwość ekstremów pogodowych na planecie wzrosła o połowę. – W ciągu kolejnych trzech dekad ten trend może jeszcze przyspieszyć – mówi naukowiec.

Jego zdaniem średnie wartości temperatur – dobowych, miesięcznych i rocznych – coraz mniej mówią o tym, co naprawdę się dzieje na globie. Nasilają się bowiem kontrasty. – Pierwsza połowa miesiąca może być skrajnie gorąca, druga – o wiele chłodniejsza od normy. A cały miesiąc, po uśrednieniu wyników pomiarów, uznany zostanie za przeciętny. Niesłusznie – zauważa Donat. To samo, jak twierdzi, dotyczy różnic pomiędzy poszczególnymi regionami globu oraz pomiędzy ziemskimi półkulami. – Jedna może się rozgrzać, a druga w tym czasie będzie doświadczała fal mrozów. Średnia wyliczona dla całej planety przestaje pokazywać rzeczywisty obraz zmian klimatycznych – twierdzi Donat. Ostatnie miesiące były tego doskonałą ilustracją.

W Moomba 49,6°C w cieniu

Zbieg okoliczności sprawił, że tego samego marcowego dnia, w którym na łamach pisma „Journal of Geophysical Research” ukazywał się raport Donata i jego współpracowników, na antypodach ujrzała światło dzienne jeszcze jedna publikacja naukowa. Nosiła wiele mówiący tytuł „Wściekle lato” i szczegółowo opisywała dość apokaliptyczne zdarzenia, które za sprawą wytrąconej z równowagi pogody rozegrały się w Australii w ciągu kilkunastu wcześniejszych tygodni. Furia żywiołów – upałów, pożarów i nawałnic – kosztowała życie wielu ludzi.

Australia jest dość ciepłym kawałkiem lądu. Notuje się tu jedne z najwyższych temperatur na globie. Ale takiego lata jak ostatnie ten kontynent nie doświadczył od początku prowadzenia regularnych pomiarów meteorologicznych, czyli – z grubsza – w ciągu ostat-

W poniedziałek, 7 stycznia, na dwóch trzecich powierzchni Australii termometry pokazały w dzień 42°C lub więcej.

nich 100 lat. Nie padł co prawda absolutny rekord temperatury maksymalnej (choć było blisko), ale nie w tym rzecz. Istotniejsze jest to, że straszliwe upały po raz pierwszy objęły niemal cały kraj i okazały się wyjątkowo uporczywe.

Najgorsze były pierwsze dwa tygodnie roku. W poniedziałek, 7 stycznia, na dwóch trzecich powierzchni Australii termometry pokazały w dzień 42°C lub więcej. W najchłodniejszych miejscach, nielicznych i położonych głównie na północy kraju, mierzono 30–32°C. Ale najokropniejsze było to, że fala gorąca nie chciała odejść. Dzień lub dwa ekstremalnego skwaru można jakoś przetrwać, ale co zrobić, gdy zabójczy żar płynie z nieba tygodniami? W osadzie Birdsville w stanie Queensland temperatura przekraczała 40°C przez 31 kolejnych dni. W Alice Springs – miasteczku w samym środku kontynentu – było tak przez 17 dni. W ponad 100 miejscowościach pobite zostały re-

W ciągu ostatnich trzech dekad częstotliwość ekstremów pogodowych na planecie wzrosła o połowę. Według naukowców, m.in. z Australii, którą nękały niedawno pożary, ten trend może jeszcze przyspieszyć.

kordy wszech czasów. W Sydney zanotowano 45,8°C. Najwięcej, bo 49,6°C, pokazał termometr w osiedlu górniczym Moomba w południowej części Australii. Piekło, koszmar, zgroza – ludziom brakowało słów, by nazwać to, czego doświadczały.

Gorące i suche powietrze łatwo rozpała pożary, nawet na względnie chłodnej Tasmanii. Zwykle latem temperatury nie przekraczają tam 20–22°C. Tym razem były o kilkanaście stopni wyższe, a skwarowi towarzyszyły silne wiatry. Pod koniec grudnia wyspa zapłonęła. W ciągu 100 dni ogień strawił ponad 100 tys. ha lasów i buszu, zniszczył setki domów, odciął od świata kilka tysięcy ludzi, których wywożono helikopterami i statkami. Na kontynencie pożary też wybuchły, głównie na spalonym słońcem południu. Łącznie objęły 160 tys. ha buszu. Wyobraźcie sobie teren o wymiarach 40x40 km zamieniony w dwa tygodnie w pogorzelnisko. Żar zabijał zwierzęta i wypalał rośliny. W wyniku odwodnienia na ziemię spadło kilka tysięcy latających lisów – wielkich nietoperzy o ponadmetrowej rozpiętości skrzydeł. Na kilku farmach zniszczonych przez płomień zginęło 10 tys.



owiec. Zbiory pszenicy – Australia jest drugim na świecie eksporterem tego zboża – były mniejsze o jedną czwartą.

Meteorolodzy australijscy już podsumowali lato. Pobiło wszelkie rekordy pomiarów. W styczniu średnia temperatura miesięczna dla całego kontynentu, wyliczona na podstawie danych z dnia i nocy, wyniosła 29,7°C. Grudzień i luty były niewiele chłodniejsze. Dla przykładu w lutym w stanie Victoria temperatury przez trzy tygodnie utrzymywały się powyżej 32°C.

Australia, Rosja, Polska?

Autorzy „Wściekłego lata” zwracają uwagę, że klimat antypodów ociepla się nieprzerwanie od połowy XX w. Podobnie jak Donat są zdania, że stopniowy wzrost temperatur prowadzi do lawinowego wzrostu częstotliwości ekstremów. – Oceniamy, że prawdopodobieństwo pojawienia się fali gorącego powietrza jest dziś w Australii pięciokrotnie wyższe niż pół wieku temu. Temperatura roczna wzrosła w tym czasie o 1°C. Co będzie, jeśli podniesie się ona o kolejne 2–3°C? – zastanawia się współautor raportu Blair Trewin, klimatolog z Australijskiego Biura Meteorologicznego (odpowiednik naszego IMGW). – Rekordowe lato nie było anomalią, lecz konsekwencją zmian zachodzących od dawna w klimacie Australii – dodaje.

Pytany, co bezpośrednio napędza ten wzrost temperatur na jego kontynencie, wskazuje oceany, w których akumuluje się większość ciepła przechwytywanego w atmosferze przez gazy cieplarniane emitowane przez człowieka. – Temperatury na powierzchni mórz oblewających Australię są od paru lat bardzo wysokie. Coraz cieplejszy ocean zaczyna rządzić naszym klimatem. W tym roku znacznie opóźnił nadejście deszczy monsunowych. I stąd ten żar – mówi Trewin.

Australia biła rekordy, ale nie była wyjątkiem na półkuli południowej. Wyższe od normy temperatury odnotowano na innych lądach leżących na południe od równika (z wyjątkiem Antarktydy oczywiście). Południowa Afryka, Chile i Argentyna – wszędzie



było gorąco. Czasami wraz ze skwarem przychodziły ulewne deszcze powodujące wylewy rzek. Powodzie wystąpiły w Mozambiku i Malawi, we wschodniej Brazylii, a także w Indonezji i Malezji, gdzie szalał ten monsun, na który tak długo czekali Australijczycy. W końcu dotarł do nich pod koniec lutego, jak zwykle podtapiając wschodnie wybrzeże kontynentu.

– Prawdopodobnie było to najcieplejsze w historii lato na półkuli południowej. Dowiemy się tego pod koniec marca – mówi Donat. Dalsze jego spostrzeżenia warte są szczególnej

Na początku grudnia w Zagrzebiu w ciągu jednej doby spadło 40 cm śniegu, w Kijowie – pół metra.

uwagi. – Obie półkule coraz silniej się nagrzewają w ciągu lata. Rosną temperatury minimalne w nocy i maksymalne za dnia. Te pierwsze nawet szybciej. Wiosny stają się coraz cieplejsze i powoli upodabniają się do sezonów letnich. Ma to swoje plusy, bo wydłuża się okres wegetacyjny, ale i minusy, bo dłuższy jest też okres zwiększonego ryzyka pożarowego – wylicza.

Donat zwraca też uwagę, że australijska gorączka przychodzi po rekordo-

wo ciepłym roku w Ameryce Północnej. W USA już drugi rok trwa katastrofalna susza. Wcześniej, w 2010 r., tropikalne upały przez prawie miesiąc nękały europejską część Rosji, inicjując olbrzymie pożary. – Ryzyko pojawienia się takiej fali gorąca w Europie, Chinach czy USA stale rośnie. Nikt nie powinien być zaskoczony, że w końcu zaczynają one przychodzić – ostrzega naukowiec.

Białe szaleństwo

Wiemy już, co może dziać się latem na takim ocieplającym się globie. A co się dzieje zimą? Jeśli chodzi o naszą półkulę, najkrótsza odpowiedź brzmi: pada śnieg. Bardzo dużo śniegu. W grudniu zasypał lądy o łącznej powierzchni 46,3 mln km kw. półkuli północnej, czyli mniej więcej jedną trzecią wszystkich. To był rekord grudnia w historii pomiarów – ogłosili naukowcy z Global Snow Laboratory przy Rutgers University w USA. W styczniu nie było już tak rekordowo, ale wciąż znacznie powyżej średniej, podobnie w lutym.

Za tę nadwyżkę białego puchu odpowiada głównie Eurazja, choć od stycznia zaczęło mocno sypać także w Ameryce Północnej. Śnieg pojawiał się w nieoczekiwanych miejscach, na przykład na chińskiej pustyni Takla Makan. Latem temperatury dochodzą tu do 50°C. A zimą? W styczniu tego roku zjechały 20 stopni poniżej zera, a z siarczystym mrozem przybył też śnieg. Pojawił się

on także w Szanghaju, a nawet jeszcze bliżej tropików – w południowych prowincjach chińskich Hunan, Yunnan i Guizhou, gdzie pół miliona ludzi szukało ratunku przed inwazją chłodu. Sypnęło, i to obficie, na Bliskim Wschodzie – w Syrii, Libanie, Jordanii i Izraelu. Na wzgórzach wokół Jerozolimy pokrywa śniegu miała 30 cm grubości.

Rekordy padały w Europie i za oceanem. Na początku grudnia w Zagrzebiu w ciągu jednej doby spadło 40 cm, w Kijowie – pół metra, najwięcej w 130-letniej historii pomiarów. Pod koniec tego miesiąca olbrzymie śnieżycy pojawiły się w północnej części USA i Kanadzie. Montreal w ciągu 24 godzin został zasypany 47 cm śniegu (rekord pomiarów). Jednak nic nie może się równać z huraganowym wirem, który w lutym przeoczył się przez północno-wschodnią część USA. Był niewiele słabszy od Sandy i pozostawił po sobie warstwę śniegu o grubości od pół metra do metra. Tyle spadło tam w dwa dni.

Skąd tyle śniegu? Przyczyna jest ta sama co w przypadku australijskiej fali gorąca: wzrost temperatur na globie. Po prostu im cieplej, tym śnieżniej. W cieplejszej atmosferze mieści się więcej pary wodnej. Zimą zderza się ona z masami mroźnego arktycznego powietrza. I w efekcie mamy – jak mówią Ame-

rykanie – „snowmageddon”. Śnieżycy, które szalały na Bliskim Wschodzie, w Chinach czy w północno-wschodniej części USA, karmiły się parą wodną dostarczoną przez Morze Śródziemne, Pacyfik i Atlantyk. Również w Europie największe opady śniegu występowały tam, gdzie ciepłe powietrze morskie zderzało się z mroźnym powietrzem nagle spływającym z północy.

Zimnem w zwrotnik, ciepłem w biegun

Te nagłe rajdy arktycznego powietrza okazały się szczególnie dotkliwe. Mróz pełzył przez wnętrza lądów, oddalone od mórz i najbardziej wychłodzone. W styczniu we wschodniej Syberii temperatury spadły poniżej -50°C (w Australii było wtedy o 100°C cieplej!). Jedna arktyczna fala zawędrowała aż do południowej Turcji i Syrii, drugiej udało się dotrzeć do Indii! To ona zostawiła po drodze trochę śniegu na pustyni Takla Makan. W indyjskich stanach Bihar, Uttar Pradesh i Pendżab, a także w północnym Bangladeszu mrozu i śniegu nie było, ale temperatury spadły do poziomu 2–3°C, najniższego odnotowanego kiedykolwiek przez lokalne stacje meteorologiczne. Inwazji chłodu towarzyszyła zimna, przenikliwa mgła. Setki ludzi, głównie

bezdolnych biedaków i dzieci, zmarło z wychłodzenia.

W tym samym czasie w Reykjavíku na Islandii było 5–6°C. To dopiero szaleństwo pogody! Odwilż panowała też w południowej Grenlandii oraz na północnych krańcach Półwyspu Skandynawskiego. Cały styczeń i większość lutego były w tej części globu wyjątkowo ciepłe. Dlaczego? Odpowiedź zna Władimir Aleksiejew pracujący na Uniwersytecie Alaski w Fairbanks. Z jego analiz i symulacji komputerowych wynika, że była to zasługa coraz cieplejszego Atlantyku. Zimą podgrzewa on mocniej Arktykę, a ta miesza w pogodzie na całej półkuli północnej. Masy powietrza zamiast jak dawniej przesuwają się głównie z zachodu na wschód, wędrują jak ogłupiałe z północy na południe i odwrotnie. Gdy jedne niosą ciepło za koło polarne, wywołując tam odwilż, inne zanoszą mróz niemal pod zwrotniki. – Arktyka jest dziś jak otwarta lodówka, która ochoczo dzieli się chłodem z najbliższym otoczeniem – obrazowo tłumaczy Aleksiejew.

Cyrkulacja powietrza na półkuli północnej nie tylko pobłądziła, ale także zwolniła. Jeden typ pogody potrafi się utrzymywać tygodniami nad jakimś regionem. Latem może to być fala gorąca, zimą – fala mrozów. – Takie pogodowe klincze to nic dobrego – mówi Władimir Petouchow, naukowiec z Poczdamskiego Instytutu Badania Klimatu. Jego badania, których wyniki właśnie opublikował, wskazują, że gdyby nie pogodowe blokady, nie byłoby ani obecnej suszy w USA, ani rekordowych upałów w Rosji w 2010 r. i w Europie w 2003 r. – Ekstrema pogodowe stają się szczególnie groźne, gdy trwają zbyt długo. Nie są już wtedy kaprysem pogody, który może nam najwyżej zepsuć dzień lub dwa. Zamieniają się w zjawisko zagrażające zdrowiu i życiu ludzi oraz powodujące znaczne straty materialne i gospodarcze. Lepiej byłoby się przygotować do takich wizyt – zaleca naukowiec. Święte słowa. Słońce lada dzień przekroczy równik i zacznie rozgrzewać półkulę północną. Żegnajcie, zimowe ekstrema, witajcie – letnie!

W czasie kiedy północ zasypywały rekordowe ilości śniegu (zdjęcie obok), na półkuli południowej trwało niespotykane ciepłe lato.



MONIKA BRZYWCZY

Wybiera Agnieszka Błońska

Najpierw była aktorką praktykującą w offowych grupach teatralnych, takich jak Gardzienice czy Equaldoubt. Potem sama zaczęła reżyserować. Nic więc dziwnego, że jako swoje najważniejsze fetysze wymienia **ciało i ruch**, sprzeczności i gotowość do zmian, które pozwalają jej zachować świeże spojrzenie na współczesny teatr.

W 2003 r. wyjechała do Londynu do szkoły teatru ruchu. Rok później w walijskim Cardiff razem z Seanem Palmerem założyła grupę teatralną Equaldoubt. Ich debiutancki spektakl „Suffocation” („Duszność”) został nagrodzony w 2006 r. na festiwalu Malta w Poznaniu. Chwilę później Agnieszka rozpoczęła studia reżyserskie w Bristol Old Vic Theatre School. Teraz mieszka nad morzem w Kornwalii, ale w domu jest rzadko. Wciąż podróżuje między Polską a Anglią. W warszawskim Teatrze Ochoty wyreżyserowała właśnie spektakl „Fale” według powieści Virginii Woolf, w którym bada sposoby budowania tożsamości oraz jej granice. Tuż przed premierą opowiedziała nam o tym, co konstruuje jej osobowość.

1 Nauka

Nudzi mnie życie bez nauki, świadomość, że nie ewoluuję. To może być nauka nowego języka, ludzi w nowej kulturze, rozwijanie się przy kolejnych projektach, które zmuszają do zgłębienia danej epoki, filozofii, myśli. Potrzebuję nowych wyznań.

2 Podróż

Wpływa na postrzeganie świata i samego siebie. Kształtuje. Wymaga pokory. Świat, który do tej pory wydawał się

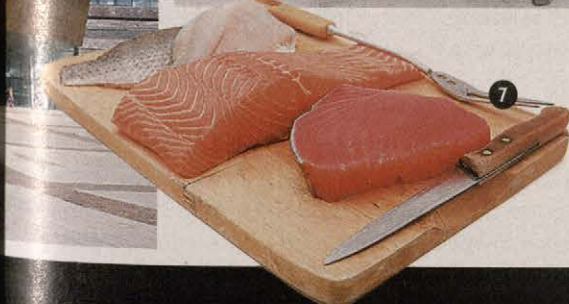
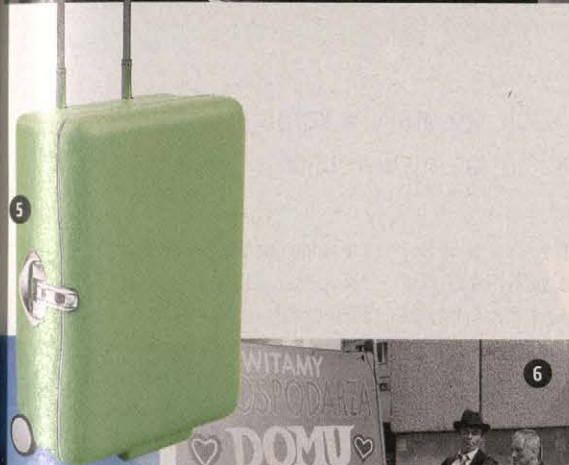
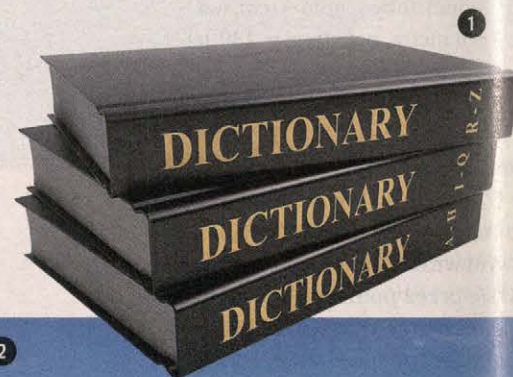
oczywisty, nagle zyskuje wielowymiarowość. Jeśli zaczniesz się buntować wobec nowego, nieznanego – giniesz. Podróż to ciągły proces uczenia się, przetwarzania i poznawania. W 2008 r. postanowiłam wrócić do Polski, osiąść w jednym miejscu. Okazało się jednak, że po kilku latach nieustannego przemierzania się nie jest to możliwe. Gdy jestem za długo w bezruchu, zaczynam się męczyć. Mieszkając w obcym kraju, musisz odnaleźć się jako mniejszość społeczna, a tym samym zmienić perspektywę patrzenia. Korzenie w kraju hydrauliczów nie są łatwym dziedzictwem w Anglii. Wywarło to duży wpływ na moją twórczość.

3 Sprzeczności

Sporo ich we mnie. Z jednej strony uwielbiam miasto, z drugiej potrzebuję przestrzeni i przyrody. Nie wyobrażam sobie życia bez ludzi, ale muszę także uciekać w samotność. Potrzebuję zarówno ciszy, jak i muzyki, ładu i bałaganu.

4 Macierzyństwo

No, to jest nowe wyzwanie! (śmiech) Dzięki pojawieniu się Zaca (Zachary ma 1,5 roku – przyp. red.) poznaję siebie na nowo, przypominam sobie świat dziecięcy, tarzanie po podłodze, lwy,



Agnieszka Błońska – reżyserka i aktorka teatralna. Absolwentka Bristol Old Vic Theatre School, School of Physical Theatre w Londynie, The Guildia Project w New Performance Laboratory, Akademii Praktyk Teatralnych Gardzienice, a także socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Na stałe współpracuje z angielskimi grupami teatralnymi: WildWorks, Desperate Men oraz DotComedy. W Polsce zrealizowała m.in. projekty: „Ten Rom to nie żaden Rom, tylko na pewno afgański terrorysta” (Teatr im. C.K. Norwida w Jeleniej Górze); „Mitosierdzie gminy” (Teatr im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu); „Exportowcy” (Teatr im. J. Słowackiego w Koszalinie); „Był sobie Dziad i Baba”; „Maria Stuart, czytanie – wykład” oraz „Grubasy” (Instytut Teatralny w Warszawie).

krokodyle i słonie. I wszystkie te momenty, które zdarzają się po raz pierwszy – pierwsza kąpiel, pierwszy śnieg, pierwsza plaża. Z drugiej strony dziecko nie zmieniło radykalnie mojego życia. Od początku zakładaliśmy z moim partnerem, że ono ma do nas dołączyć, po prostu być z nami. Oczywiście czasami jest ciężko. Szczególnie gdy próby w teatrze trwają do późnej nocy... Ale to nie jest nie do pogodzenia.

5 Walizka

Parę lat temu spakowałam najważniejsze rzeczy do walizki i wyjechałam. Na trzy tygodnie. Wróciłam po roku. Nauczyło mnie to nie przywiązywać się do rzeczy. Nie lubię gromadzić przedmiotów. Mam dwie pary dżinsów i sweter, i to mi wystarcza. Okazało się, że pisanie, czytanie czy robienie zdjęć jest tym, czego mi potrzeba, a nie zagracać świata wokół mnie.

6 Fellini, von Trier i „Alternatywy 4”

W wolnych chwilach oglądam filmy. Chętnie wracam do Felliniego – gwarantuje świat pełen magii i snu, i do von Triera, który za każdym razem od nowa niepokoi i przekracza moje oczekiwania. Ale lubię też np. „Alternatywy 4” – peerelowski absurd w najlepszym wydaniu i świat mojego dzieciństwa.

7 Dieta

Fascynują mnie diety i zdrowe jedzenie. Nie chodzi o ograniczanie się i odchudzanie, ale o to, jakiego paliwa nam potrzeba, żeby funkcjonować. Od 18 lat

jestem peskatarianką – jem ryby, nie jem mięsa. Nie ze względów ideologicznych. Po prostu czuję się znacznie lepiej, kiedy nie jem mięsa. Interesuje mnie, jak jedzenie wpływa na nasze samopoczucie, zdrowie. Być może gdybym nie była reżyserem, zostałabym dietetykiem.

8 Ciało

Wydaje mi się kluczowe w procesie konstruowania nas samych i kształtowania własnej tożsamości. Ciało to podstawowe narzędzie poznawania świata. Dlatego potrzebuję ruchu, rozwoju świadomości ciała. To mogą być najprostsze sporty, takie jak pływanie czy bieganie, ale też joga, pilates. Chcę czuć siebie, być świadoma. Ciało to też mapa, która powstaje pod wpływem działań społecznych. To widać w moich spektaklach. „Grubasy” są dyskusją o tym, czym jest ciało performatywne, analizą tego, jak duże ciało wpływa na społeczną percepcję człowieka. Spektakl „Był sobie Dziad i Baba” dotyczy z kolei tematu przemijania z perspektywy starzejącego się ciała.

9 Merc

Mało znany manchesterski muzyk. Uwielbiam...

10 Czarno-białe zdjęcie

Jedyną rzeczą, którą mam zawsze przy sobie, poza paszportem i komputerem, jest czarno-białe zdjęcie moich babci i dziadka, trzymających tatę na kolanach, który miał wtedy może rok. Daje mi ono poczucie ciągłości, przynależności i bezpieczeństwa.

ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Czeszka, koper i gumiaکی

Reżyser **Jacek Borcuch** nie ma talentu do interesów. Nie wyobraża sobie też pracy w korporacji. Ale zanim zaczął kręcić filmy, próbował się jako drobny przedsiębiorca i posłuszny wyrobnik.

Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

Sprzedając butelki w skupie w Kwidzynie. Zdarzało się też, że kupowałem oranżadę „na miejscu” w jednym sklepie, a w drugim oddawałem butelkę za kaucją. Na szczęście chyba już się przedawniło. Handlowałem też owocami z działki ojca. Wozilo się jabłka do Warmińskich Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego... Ale tak naprawdę poważne kwoty zacząłem zarabiać na obozach OHP.

Brzmi rzeczywiście poważnie.

Najpierw wylądowałem w kolejnych Zakładach Przetwórstwa. W Pakości. Myłem słoiki, pakowałem koper, a czasami inne rzeczy... To w Pakości podjąłem pewne postanowienia. Mój głos wewnętrzny krzyczał: „Nie ma chuja, żeby codziennie wstawał o piątej rano! Wolę zostać kosmonautą”. Za zarobioną kasę kupiłem sobie gitarę. Na drugim OHP byłem w Czechosłowacji w miejscowości Klatovy, niedaleko Pilzna. Harowałem na budowie i wylewałem smołę w gumiakach. Zakochałem się też w pewnej Czeszce... Było pięknie.

Robiłeś też karierę u Madziarów.

Ojciec był oficerem i miał dostęp do tajemnic wojskowych, więc cała rodzina nie mogła wyjeżdżać na Zachód. Pozostawały demoludy. Kiedyś na cztery dni wyjechałem z kolegą na Węgry. Od mamy ze szpitala wziąłem karton

biseptolu – w tamtych czasach to był lek na wszystko – od bólu brzucha po łysienie. Szczególnie dobrze działał w okolicach Budapesztu. Wziąłem też ze sobą ohydny dekatyzowaną kurtkę. Poszła jak woda. Do Polski przywiozłem dezodoranty 8x4 oraz Bac i jednokolorowe komplety szalików, czapczek i rękawiczek. Odsprzedałem to z zyskiem w Kwidzynie i od razu kupiłem sobie profesjonalny sprzęt grający – gramofon, wzmacniacz i kolumny. Zapachniało wolnością.

W wolnej Polsce wyjechałeś na Majorke. Ale tam zarabiałeś podobno tylko po to, żeby móc wrócić.

Zawsze walczyłem o przetrwanie (śmiech). Pierwszego dnia przepuściliśmy z kolegą całą kasę w knajpie, a potem przez parę miesięcy nie mogliśmy się stamtąd wydostać, bo nie było nas stać na prom. Łapaliśmy różne fuchy, ale bez większego powodzenia. Na przykład mieliśmy być ogrodnikami w ekskluzywnym hotelu. Pojechaliśmy na miejsce, a tam ani hotelu, ani zieleni (śmiech). Któregoś razu jeden facet zatrudnił nas jako stróżów nocnych na budowie. Zainstalowaliśmy się w baraku i już w nocy mieliśmy dość. Jak po ciemku zobaczyliśmy jaszczurki potwory ganiające po suficie, to uciekliśmy stamtąd w samych skarpetach. Kasa już się nie liczyła. Woleliśmy biedować.

Ale jedną noc stróżowałeś...

No pewnie! Bo nie spałem (śmiech). Pracowałem również w strasznej spekulacji jako naganiacz. Przez trzy godziny udało mi się zaprosić do środka dwie dziewczyny. Weszły i wyszły. W ten sposób skończyła się moja kariera w tym fachu. Potem się rozchorowałem. Połowa kasy, którą zbieraliśmy na powrót, poszła na moje leczenie. W końcu jednak kupiliśmy bilety na prom do Barcelony. A stamtąd stopem pojechaliśmy do domu.

Wróciłeś do Polski, by zaprzedać się korporacji.

Ale najpierw zrobiłem „Kallafiorra”. Po jakimś czasie znajoma zapytała mnie, czy nie chciałbym popracować dla agencji reklamowej. Ze może mógłbym dla nich pisać. No to poszedłem... Okazało się, że młody, ambitny i odwrotnie myślący człowiek był dla nich kimś interesującym. Dali mi na próbę parę zadań. Pamiętam jedno: „Jak byś zareklamował koncert Massive Attack?”. Odpowiedziałem bez zastanowienia: sięgnąłem po pierwszą myśl z brzęgu najbardziej oczywista: „Massive Attack na Polskę”. W ten sposób zacząłem tam pracować.

Jak długo wytrzymałeś w McCann-Erickson?

Chyba niecały rok. Może zostałbym dłużej, ale właśnie zaczynałem kręcić „Tulipany”. Dzięki tej pracy udało mi się

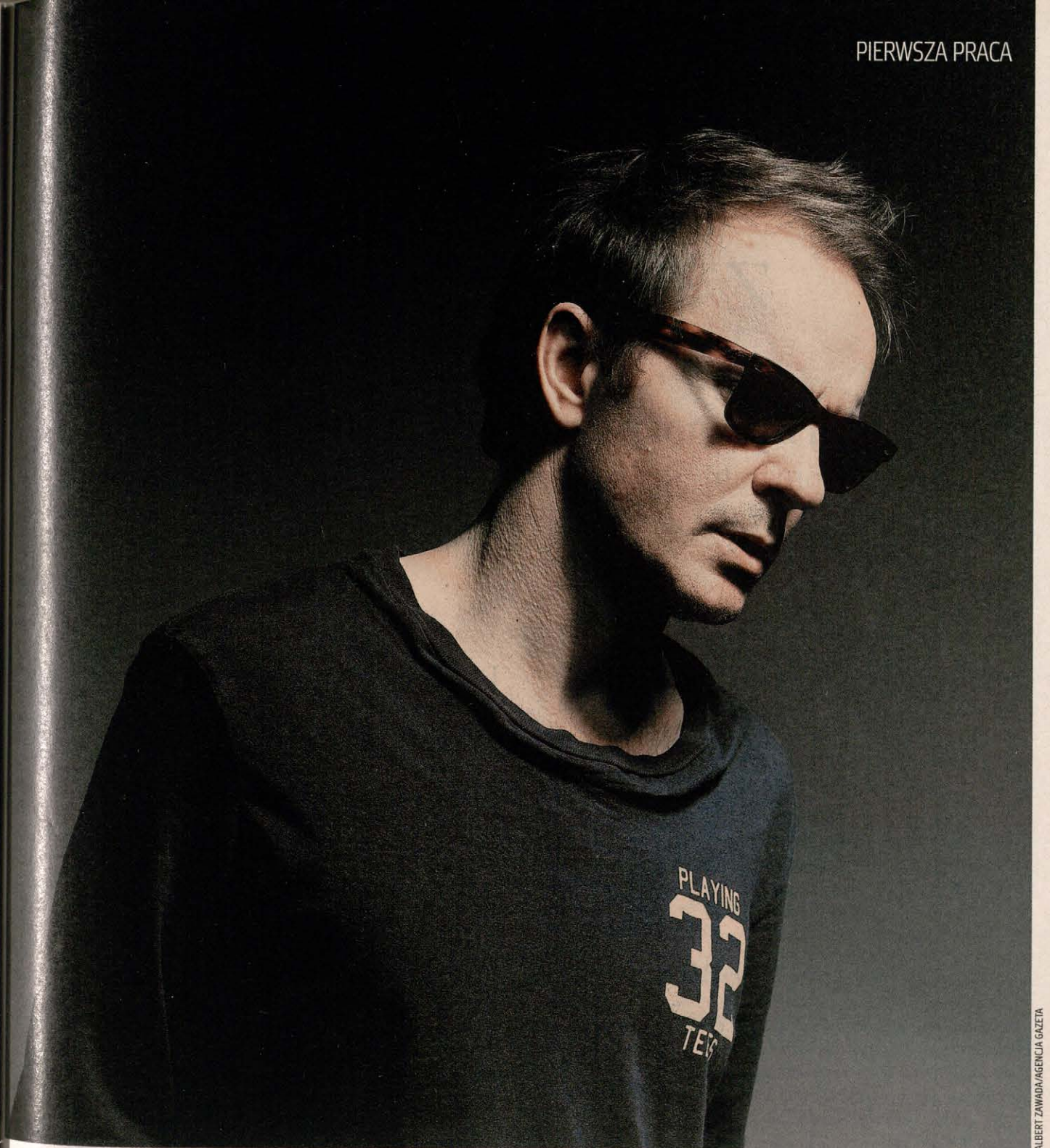
logistycznie ogarnąć całą produkcję. Zarabiałem dobre pieniądze, miałem szybki Internet i sprzęt biurowy. Praca w agencji naprawdę bardzo mi pomogła. Pierwszy i ostatni raz w życiu miałem wtedy finansową stabilność. Z drugiej strony kosztowała mnie wiele wyrzeczeń. Cały czas myślałem: „Co ja tu kurwa, robię?”.

A nie myślałeś nigdy o własnym biznesie?

Mam wrodzony brak talentu do interesów. Ale gdybym musiał, to pewnie starałbym się sprostac wyzwananiu, ponieważ moja konstrukcja psychofizyczna uniemożliwia mi dyscyplinę. Nie jestem w stanie mieć przełożonego. Tekst w rodzaju: „Musisz dziś zostać dwie godziny dłużej w pracy” jest dla mnie

niewyobrażalny. Odpowiedziałbym: „Człowieku, przecież mówisz o dwóch godzinach mojego jedyne go życia. Jestem niewierzący, mogę zaraz umrzeć, a ty chcesz mi zabrać dwie godziny, bo taki jest interes twojej firmy?!”. ☹

Bartosiak & Klinke – Wywiadowcy.pl.



ALBERT ZAWADA/AGENCJA GAZETA

Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów.

Sprawdzony program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



Pobierz program
www.rp.pl/pit
infolinia 801 15 15 15

Wpisz kod: **RZ2012PIT**
a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy

Partner projektu:

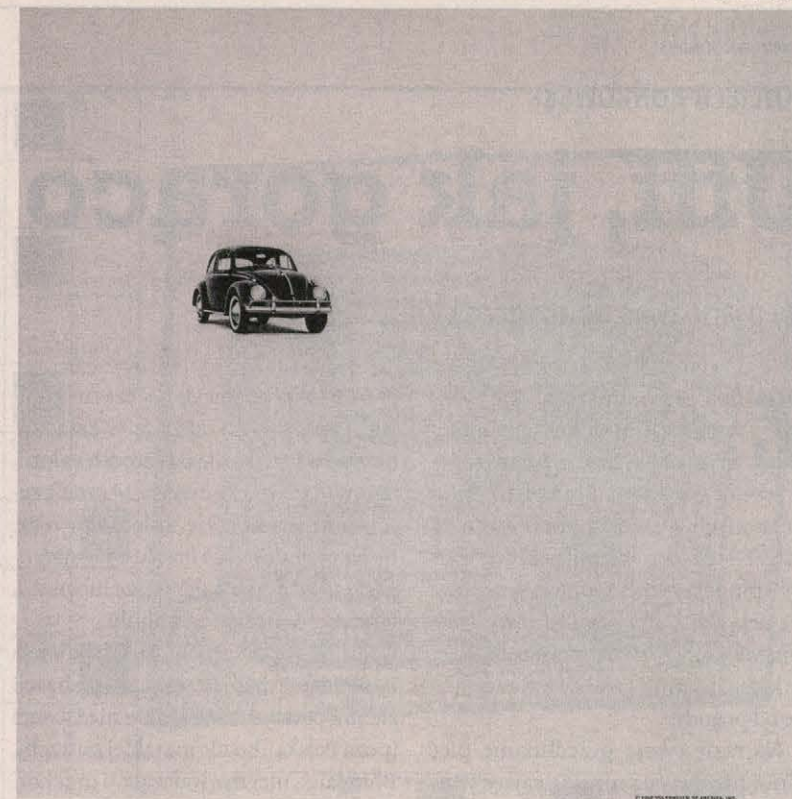


Pobudzamy myślenie **RZECZPOSPOLITA**

KUBA DĄBROWSKI

Myśl skromnie

Jak zareklamować mały niemiecki samochód?

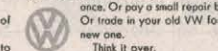


Think small.

Our little car isn't so much of a novelty any more.
A couple of dozen college kids don't try to squeeze inside it.
The guy at the gas station doesn't ask where the gas goes.
Nobody even stores it in our shape.
In fact, some people who drive our little

driver don't even think 32 miles to the gas station is going any great guns.
Or using five pints of oil instead of five quarts.
Or never needing anti-freeze.
Or racking up 40,000 miles on a set of tires.
That's because once you get used to

some of our economies, you don't even think about them any more.
Except when you squeeze into a small parking spot. Or renew your small insurance. Or pay a small repair bill. Or trade in your old VW for a new one.
Think it over.



od sprawdzonych reklamowych trików, stawia się na zrozumienie emocji potencjalnego klienta. Dopiero emocje przekuwają się w zachowania konsumenckie.

Oczywiste jest, że reklamy Volkswagena nie mogą przypominać tych amerykańskich aut – zdjęcie samochodu, a w nim uśmiechnięta rodzina/zakochana para/samotny mężczyzna, a w tle pełna aspiracji przestrzeń: przedmieścia/biurowce/malowniczy pejzaż. DDB zamierza postawić sprawę na głowie i obrócić wady garbusa, jak brzydota, przewidywalność czy nuda, w jego największe zalety. W ten sposób agencja planuje stworzyć obraz auta stworzonego dla ludzi odrzucających konsumpcyjne rozbuchanie społeczeństwa lub

nim znudzonych. Dobrego, porządnego auta dla tych, którzy są ponad to. Powstaje swoista antykampania. Jest kilka wersji reklam prasowych. Na przykład strona bez żadnego zdjęcia i hasło: „Nie musimy pokazywać ci zdjęcia nowego garbusa, wygląda dokładnie tak samo jak stary”. Reklama wymieniająca, jakich bajerów pozbawiony jest garbus, ale stwierdzająca, że dzięki małemu rozmiarowi łatwiej jest znaleźć miejsce do parkowania – hasło reklamowe „Think small” (Myśl skromnie).

Kampania chwytą. Garbus staje się pierwszym importowanym samochodem, który robi karierę w Stanach. Jego użytkownikami zostają odrzucające wartości rodziców dzieci beneficjentów gospodarczego boomu, członkowie rodzącej się kontrkultury i rzesze ludzi „myślących inaczej”. To pierwszy raz w historii reklamy, kiedy do napędzenia maszyny konsumpcji stwarza się pozory odrzucania jej.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Ufff, jak gorąco

Czy pijecie wino na rozgrzewkę?

Zima nie odpuszcza. Nie tylko w Polsce, ale i we Francji zanotowano najwyższe marcowe opady śniegu w historii. Sprzedawcy win czerwonych się cieszą, dystrybutorzy białych i różowych modlą się o słońce. Konsumpcja wina to sprawa sezonowa i na przykład dalszy wzrost rózu – najdynamiczniej rozwijającej się na świecie kategorii wina – zależy w dużej mierze od pogody.

Na razie swoje przedłużone pięć minut przeżywają rozgrzewające wina czerwone. Szczególnie takie, które mają wysoki woltaż, bo w czasie mrozów chętniej sięgamy po butelki w przedziale 15–20 proc. Nieprzypadkowo największymi znawcami porto oprócz Anglików są Norwegowie, Szwedzi i Duńczycy. Ale mocne jak porto powoli stają się też inne wina. Coraz więcej flaszek z Hiszpanii, Portugalii, Nowego Świata, a nawet z Włoch przekracza 14 proc. alkoholu. Za to coraz trudniej znaleźć na etykietce liczbę 12.

Świat stanął na głowie, bo kiedyś alkohol był w winie na wagę złota. Było go zawsze za mało. Wiele win z trudem dojeżdżało do 11 proc., psuły się i kwaśniały. Aby im pomóc, często dosypywano... cukier. Ale nie do gotowego wina, tylko do winnego moszczu przed fermentacją, dzięki czemu osiągnano więcej gradusów. Ten proces, nazwany szaptalizacją na cześć swego XIX-wiecznego wynalazcy J.A. Chaptala, uznawany był przez dziesięciolecia za podstawowy zabieg techniczny w produkcji wina. Szaptalizowano wszystkie największe wina świata, od bordeaux przez burgundy i szampany, aż po wina z całkiem ciepłej doliny Rodanu. Z kolei w opisach najlepszych roczników, gdy winogrona odpowiednio dojrzały, rutynowo pojawiała się słowo „alcoolique” uważa-

ne za wielką pochwałę. W czasach, gdy wino spożywano także (a w zasadzie przede wszystkim) jako źródło kalorii, naturalna zawartość rzędu 14 proc. czyniła z wina ambrozię. Zalecano wręcz, by po przyniesieniu flaszki z piwnicy... podgrzewać ją na kaloryferze lub piecu, by wzmóc odczucie alkoholu.

W ciągu ostatnich 20 lat sytuacja zmieniła się diametralnie. Szaptalizacji się już praktycznie nigdzie nie stosuje (poza Polską), bo nie ma takiej potrzeby. Bordeaux, niegdyś walczące o przekroczenie progu 12 proc., w każdym roczniku mają dziś 13,5–14 proc. Z kolei wina południowe coraz częściej wkraczają w sferę absurdu. 15 proc. na etykietce Primitivo, jumilla czy châteauneuf-du-pape przestało już kogokolwiek dziwić. Pojawia się 15,5, a nawet 16 proc. A ja już widziałem na skromnym winie z Apulii kosztującym 10€ ni mniej, ni więcej jak 18 proc. Tak, 18 proc. alkoholu. Naturalnego, czyli bez żadnych dolewek spirytusu, jak to się praktykuje np. w porto.

Przyczyn jest kilka. Podstawowa to globalne ocieplenie. Następnym razem, gdy jakiś mądry docent w radiu lub telewizji będzie was przekonywał, że nie ma żadnej zmiany klimatu, to wszystko przesada, ekologiczna propaganda – wysłajcie go do pierwszej lepszej winnicy. Tam mu powiedzą, że w ciągu 10 lat średnia zawartość alkoholu w winach na całym świecie wzrosła o ponad 1 proc. Winogrona lepiej dojrzewają, gromadzą więcej cukrów, a to po fermentacji przekłada się na wyższą zawartość alkoholu. Winobranie przeprowadza się dziś ponad miesiąc wcześniej niż przed 20 laty! Winorośl to czuły barometr zmian w pogodzie; sygnały, które nam wysyła, są przerażające.

Ale są i inne przyczyny. Wina ze średniej półki są dziś bardziej skoncen-



1 Le Gravillas Gigondas 2011, 15 proc., śliwki, czekolada, do dzika, ok. 65 zł

2 Nino Franco Prosecco Rustico, 11 proc., gruszka, cytryna, na wiosnę, ok. 59 zł

trowane i intensywne niż dawniej. Mają – w największym skrócie – mniej wody, czyli więcej wszystkiego innego z alkoholem na czele. Do tego dochodzą obyczają szczególnie nowych konsumentów, którzy preferują wina mocniejsze. Aby ich zadowolić, opracowano nawet nowe generacje drożdży, które z tej samej ilości cukru potrafią zrobić więcej alkoholu. Dzisiaj za to GMO płacimy słoną cenę. Pojawia się więc kontrakcja – techniki usuwania alkoholu z wina. Odwrócona osmoza, kolumna wirujących stożków albo po prostu dolewanie wody – legalne w Nowym Świecie, (na razie) zabronione w Europie.

Problem jest poważny. Im więcej alkoholu w winie, tym mniej globalnie go wypijemy. Dla winiarzy oznacza to kłopoty finansowe. Statystyczny Francuz wypija dziś trzy razy mniej wina niż tuż po wojnie. Tyle że wtedy były to wina 11-proc., które piło się od śniadania. Poza tym alkohol, który w pewnej proporcji nadaje winu smak i charakter, powyżej 14,5 proc. ten smak po prostu psuje. Pali w gardle, pozbawia świeżości, uderza do głowy. Dlatego na całym świecie (również w Polsce) rośnie popularność win białych i różowych, a wśród czerwonych obserwuje się ewidentną tendencję do win lżejszych i bardziej strawnych. Przyrody jednak nie oszukamy, do 12 proc. alkoholu nie ma powrotu. Z wyższym alkoholem trzeba się nauczyć żyć, chociaż coraz więcej konsumentów rozpoczyna zakupy od sprawdzenia pewnej liczby na etykietce. A zawartość alkoholu jest na niej rutynowo zaniżana co najmniej o 0,5 proc. ☞



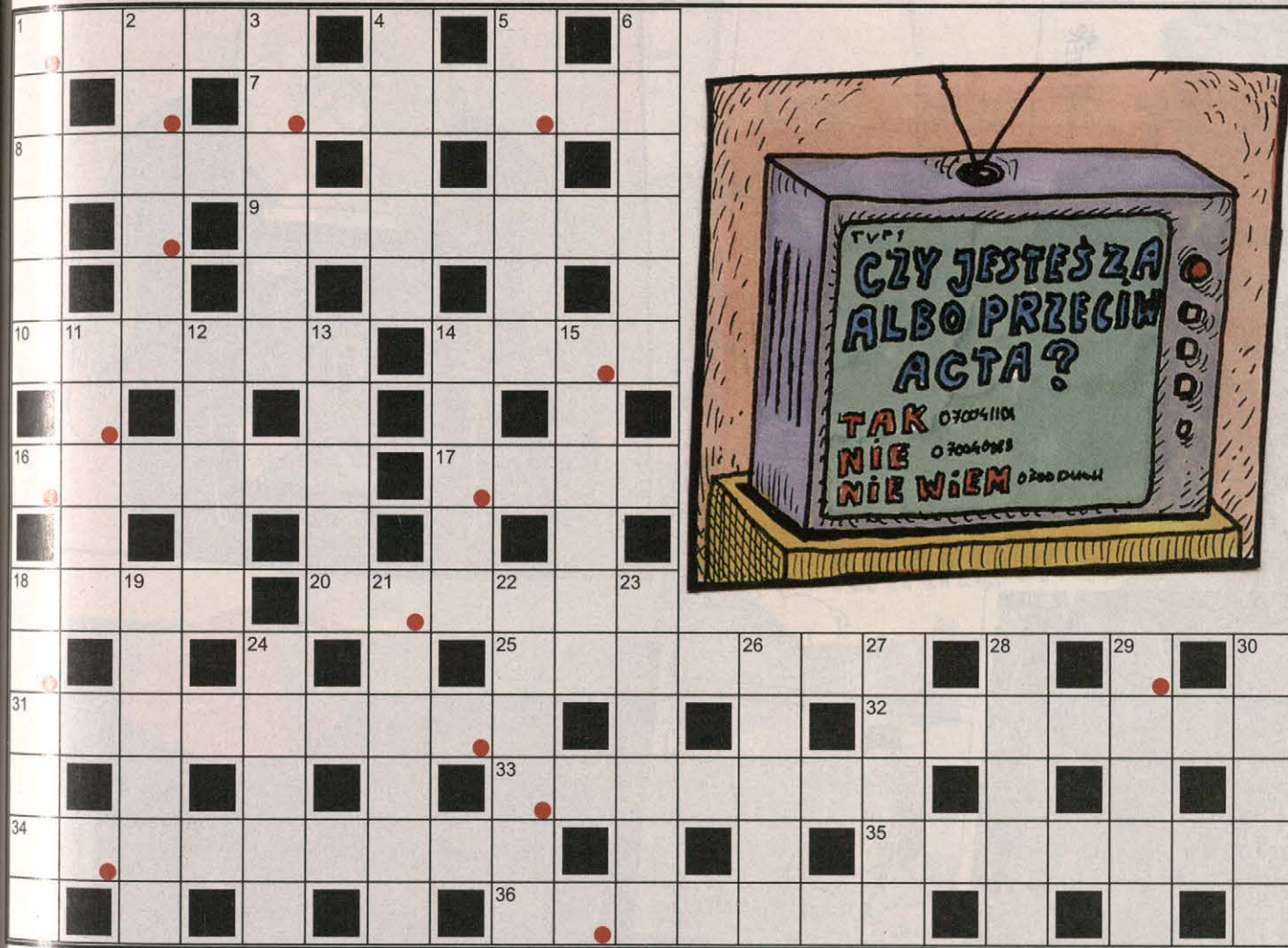
WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winicjatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

WINA

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45

litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



RYŚ: MAREK RACZKOWSKI/ARCHIWUM „PRZEKRÓJ”

POZIOMO:

- 1. NIE PUSZCZA ZAJĄZKA
- 7. PRZEŻYWA DRAMAT
- 8. PASUJE NA RYCE-RZA
- 9. PRZYSPOSOBIENIE DO ŻYCIA W RODZINIE
- 10. TRZECI BLIŹNIAK
- 14. ZRZUCA SIĘ NA WESELE
- 16. GUMKA NAĆ
- 17. ŻELAZOWA DOLA
- 18. CHODZI PO DWORZE
- 20. PRZEDMIOT EGZEKUCJI
- 25. BOGA NIE MA
- 31. POCIĄG OD DO
- 32. FUJARA NA FLECIE
- 33. CZŁOWIEK POKOJOWO ZNASTAWIONY
- 34. MINUSIŃSKI
- 35. ARTYSTA RZEŹBY
- 36. POJAZD NA LINIE

PIONOWO:

- 1. KOPYTKA SERWUJĄ
- 2. DZIECKO KOCHANOWSKIE-GO
- 3. PASUJE DO OCZU
- 4. ZJAWISKO PARA NORMAL-NE
- 5. PRACUJE W KOPALNI „WUJEK”
- 6. PRZE-MARSZ
- 11. PODKRĘCONA NA IMPREZIE
- 12. KOŁEM SIĘ TOCZY
- 13. BAŃKA NA MLEKO
- 14. JAK DZIURA W MOŚCIE
- 15. BURZY SPOKÓJ
- 18. W RAMACH UZNANIA
- 19. DOM SPOKOJNEJ STAROCI
- 21. NOCE I DNI W TELEWIZJI
- 22. WISI NA KALORYFERZE
- 23. SIADA NA OBIAD DO STOŁU
- 24. WYMAŻONA
- 26. DUŻO ŻŁOTYCH W BANKU
- 27. MIASTO KOJARZONE Z WAWELEM
- 28. SKRZYPCZE DROBIOWE
- 29. STROFUJE UKOCHANĄ
- 30. KURZE ZIARNO

Nagrodą w tym tygodniu jest książka „GO Tennis. Trening z instruktorem na filmie DVD” autor Flichtbeil Ron, wyd. Global PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesłać **NA KARTCE POCZTOWEJ** na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 11”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 24 marca 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 8

Barbara Romanowska, Łódź; Bogdan Kuropatnicki, Chmielno; Emilia Hładka, Muszkowo; Piotr Kruszczyński, Poznań; Anna Szewczyk, Radom; Irena Machowska, Kraków; Katarzyna Trzosińska, Białobrzegi; Monika Kozińska, Tarnobrzeg; Jolanta Mugał, Poznań; Kamil Zarzeczny, Piława Górna

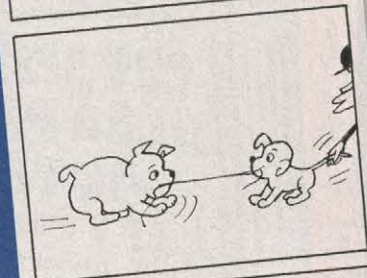
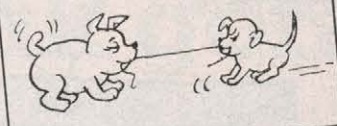
ROZWIĄZANIE Z NR. 9
KRZYŻÓWKA: WROTA PIEKIEŁ

POZIOMO: 1. NIE ZŁO TO – DOBRO 7. NIEZŁY PASZTET Z NIEJ WYROŚNIE – WĄTROBA 8. SZPIKLI NA GIEWONCIE – SOSNA 9. WYKIWAJŁO – CWANIAK 10. ROLA FILMOWA – PLAKAT 14. MIESZKANIEC BAKU – LITR 16. KLASA PIERWSZA KLASA – CZESNE 17. PYSKUJE, AŻ NIEMIŁO – GBUR 18. PUSTO STAN – BRAK 20. OKNO NA KLATKĘ – DEKOLT 25. CZEKA NA PRZELEW – KARAFKA 31. PODTOPIONY TERIER – BULTERIER 32. ODDOLNA WOLTA – REWOLTA 33. LEP NA TURYSTÓW – ZABYTEK 34. U STÓP NA SŁUP – SŁUPOŁAZY 35. SIŁA ZŁEGO – AGRESJA 36. PISZCZ KIEROWNICY – KLAKSON

PIONOWO: 1. NA WYCIĄGIENIE REKI – DOSTĘP 2. MA WIETRZNĄ RÓŻĘ – BUSOLA 3. STOSUNEK NA STOJĄCO – OWACJA 4. SZMAT CZASU – ATŁAS 5. ŁASKA NIEBIESKA – BOGINI 6. KUPIONY NA KRECHĘ – MARKER 11. OWE WYBRZEŻE – LAZUR 12. W BRZUSZEK OKRUSZEK – KAŚEK 13. TRZYMA ZA MODĘ – TREND 14. WRÓG MAGIKA – LOGIK 15. ŚWIŃSKA PRZYJEMNOŚĆ – TRUFIA 18. CZŁOWIEK Z PRZYSZŁOŚCIĄ – BOBAS 19. RYKI PUBLICI – APLAUZ 21. KATAR W UPALE – EMIRAT 22. GOLI – OKRZYK 23. ŁĄCZY ARMSTRONGA Z DOPINGIEM – TRĄBKA 24. ZGODNIE Z ROZKŁADEM – FETOR 25. ZDJĘCIE Z AFISZA – FOTOS 27. SPOSOB NA TATARA – ARKAN 28. POLE MINOWE – TWARZ 29. ROZJAŚNI GŁOWĘ W CZASIE SESJI – FLESZ 30. GDZIE DIABEL NIE MOŻE, TAM BABY POŚLE – SABAT

ROZMAITOŚCI

FLUTER



„Dziwna rzecz – ilekroć na przyjęciach dyplomatycznych pokazuje się jakąś bardzo wydekoltowana ambasadorowa – nikt nie podziwia jej wdzięków. Wszyscy patrzą na mnie! Jan XXIII



Szarmantkie ssaki

Gdzie dżentelmen zatrzymuje czas?

Niby ambicja to ostatnie schronienie bankruta, ale nie tylko. Klei się do niej również wielu idealistów, którzy pragną wyprzedzić swój czas. Albo przynajmniej jakoś go zatrzymać. Najwięcej skromnisiów tego typu można napotkać na siłowni. Unurzani w marzeniach o błyskawicznym zwarciu mięśniowym starają się wycisnąć, ile mogą, z każdej chwili. Dżentelmen hołdować modom nie musi. Jeśli wobec czasu nie ma specjalnych ambicji, a do siłowni rad byłby chodzić z innych pobudek, to chodzi tam tak jak do każdej innej... słabowni. Z zacięciem rozrywkowym. Przede wszystkim stara się nie podźwignąć, nakłada dyskretne obciążenia i co najważniejsze, często się przechadza. Wybiera urządzenia w przeciwnych końcach sali. Po co te ceregiele? Bądźmy szczerzy! Siłownia daje o wiele większe szanse niż każda słabownia (typu klub słabych podrygów) na nawiązywanie długotrwałych znajomości. Niewiele jest takich miejsc na ziemi, gdzie roi się od dam idealistek, które same sobie wywołują tak doskonale samopoczucie, że nie muszą już potem dręczyć zapracowanych dżentelmenów o codzienne endorfiny. → Ula Ryciak

Kociak tygodnia: Jędrzej Wielecki, 21 lat. Śpiewa piosenki, które sam pisze. Studiuje na drugim roku aktorstwa w Łodzi. Lubi ciężką literaturę i lekkie kino. Wie, że w tej chwili jest dokładnie tam, gdzie powinien być. Fot. **Sonia Szóstak**



„Gdy ci coś wpada do oka, pamiętaj, że to odrobina kosmosu. Julian Tuwim



KRK

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza

OFF plus camera
INTERNATIONAL FESTIVAL
OF INDEPENDENT CINEMA
12-21.04.2013
KRAKÓW



znajdź nas na: Available on the App Store Google play

www.offpluscamera.com

plus
Lider technologii LTE

Sponsorzy główni:

allegro

NOBLE BANK

SAMSUNG

Sponsorzy kultury:

KRAKÓW
krakow.pl

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partner:

INGLOT

Partnerzy medialni:

RMF

Classic

PRZEKROJ

MALEMEN

onet.

kbf

Słowarzyście Sztuki Niezależnej i Nie Tylko
OFF CAMERA

Kraków Film Commission

Gala

pap
POLSKA AGENCJA PRASOWA

STRÓER

tvn24

tvn

amazing | a'merizin |
to znaczy, że sąsiedzi pytają,
czy to naprawdę ŠKODA



Nowa ŠKODA Octavia wywołuje zachwyt. Możesz być dumny z tego, że wiesz, co dobre.

Sprawdź więcej znaczeń słowa „amazing” na www.nowaskodaoctavia.pl
Umów się na jazdę próbną, wysyłając SMS o treści ŠKODA pod numer 3377 lub skanując kod.

Koszt SMS-a zgodny z taryfą operatora GSM. W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym od 3,8 do 6,1 l/100 km, emisja CO₂ od 99 do 141 g/km.
Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie www.skoda-auto.pl

